

LEWICA
CASTING NA KANDYDATA

MACIEJ HEN
NAZWISKO ZOBOWIĄDUJE

PIESI
WOJNA O PASY

ŚLĄSK
ZŻERANY PRZEZ SMOG

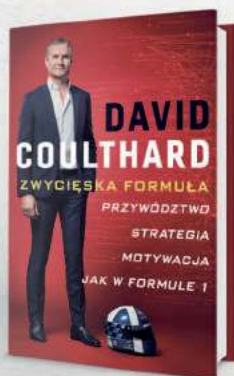
**Olga
Tokarczuk**

NIEPOKORNA



Gwiazdka 2019

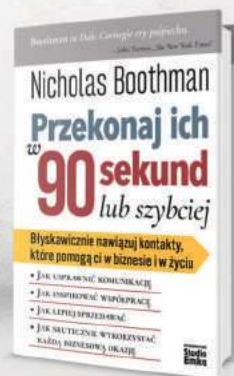
PODARUJ SOBIE CIEKAWĄ KSIĄŻKĘ



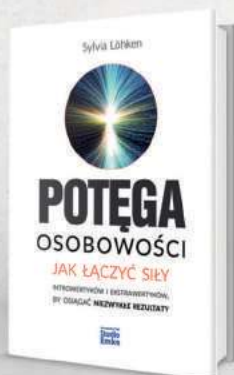
Ilość stron: **256**
oprawa: **twarda z obwolutą**
cena: **54,90 zł**



Ilość stron: **148**
oprawa: **miękka**
cena: **34,90 zł**



Ilość stron: **320**
oprawa: **miękka**
cena: **34,90 zł**



Ilość stron: **336**
oprawa: **miękka**
cena: **39,90 zł**



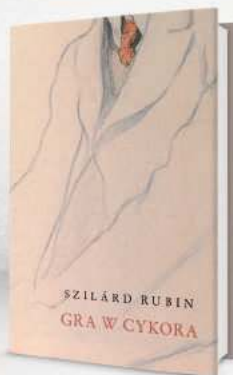
Ilość stron: **224**
oprawa: **miękka**
cena: **34,90 zł**



Ilość stron: **120**
oprawa: **twarda**
cena: **29,90 zł**



Ilość stron: **1140**
oprawa: **miękka**
cena: **69,00 zł**



Ilość stron: **224**
oprawa: **twarda z obwolutą**
cena: **34,90 zł**



Ilość stron: **576**
oprawa: **miękka ze skrzydełkami**
cena: **39,90 zł**

CYTATY

DR MAREK BALICKI,

były minister zdrowia

Co czwarty Polak potrzebował, potrzebuje lub będzie potrzebował pomocy psychiatry.

„Polska. The Times”

RAFAŁ GRUPIŃSKI,

poseł PO

Dla ludzi ważniejsze jest, co mają u siebie, niż to, co za oknem.

„Dziennik Gazeta Prawna”

MICHAŁ GORBACZOW,

były prezydent ZSRR

Do totalitarnego systemu nie wrócimy.

„Forum”

(za „Der Spiegel”)

GRZEGORZ

MARKOWSKI, muzyk

Uprawianie

rock’n’rolla powinno

być po sześćdziesiątce

prawnie zabronione.

„Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kogo łączy piłka

Tym razem daleko od polityki. Ale tylko pozornie. Czy jest na świecie coś, co budzi większe emocje niż piłka nożna? Zapewne doraźnie takie wydarzenia by się znalazły. Ale od ponad 100 lat sportem numer jeden jest piłka. A najlepsi piłkarze przebijają popularnością polityków i artystów. Ich dochody są coraz bardziej astronomiczne. Oglądalność najciekawszych meczów przekracza miliard widzów. Fenomen ten został przez naukowców przebadany i opisany na wszelkie możliwe sposoby. Ale i tak każdy trochę inaczej odpowie na pytanie, dlaczego piłka nożna jest dla niego tak ważna. Lata mijają, zmieniają się piłkarze, ich buty i stroje, piłki i stadiony, a zainteresowanie ludzi nie tylko nie maleje, ale wręcz rośnie. Dlaczego? U podstaw jest z pewnością prostota tej gry. Jej niezmiennie reguły. Piłka jest okrągła, a bramki są dwie. Niby proste, a pojęcie gracza na pozycji spalonej dla sporej części widzów jest trudno przyswajalne.

Dla mnie tym, co ludzi tak trzyma przy piłce, jest jej nieprzewidywalność. Każdy kibic to potwierdzi. Sensacyjne wyniki, które rujnowały zdrowie. Bramki padające w pierwszych sekundach meczu i dosłownie ostatnich. Widok faworytów, którzy płakali po klęsce. I niewyobrażalne szczęście tych, którzy nie mieli prawa wygrać, ale wygrali. Błyskawiczne kariery i upadki.

W piłce było już wszystko. Piszę to jako widz, ale też na 100-lecie Polskiego Związku Piłki Nożnej jako prezes i wiceprezes PZPN (1986-1991). Mówimy PZPN i większość myśli o aktualnych władzach i pracownikach biura. A przecież PZPN to strukturalnie i wioskowy klubik, i wielokrotni mistrzowie Polski Ruch Chorzów, Górnik Zabrze czy Legia Warszawa.

W strukturze PZPN są reprezentanci wszystkich zawodów. Dosłownie wszystkich. Także politycy, duchowni, policjanci, naukowcy, prokuratorzy i sędziowie. Są dziennikarze, ale też rolnicy i informatycy. Wymieniam ich, by pokazać, że struktury piłkarskie są Polską w pigułce. Piłka łączy ludzi o bardzo różnych poglądach. I jeśli chcą coś zrobić dla klubu, miasta czy reprezentacji kraju, muszą się porozumieć. Tak też było za moich czasów. Na przełomie starego i nowego systemu. Dlatego z szacunkiem myślę o moich poprzednikach, prezesach PZPN. O gen. Marianie Rybie i płk. Zbigniewie Jabłońskim oraz o wybitnym menedżerze, twórcy Igloopolu Edwardzie Brzostowskim. Mają swój wkład w 100-letnią tradycję PZPN. Historię wielu pięknych wzruszeń.

UWAGA BIBLIOTEKI

Po apelu do naszych Czytelników, by wspomóc biblioteki prenumeratą PRZEGLĄDU, mamy zgłoszenia od pierwszych darczyńców.

Jeśli zgadzacie się z naszą linią programową i poglądami naszych autorów, to wiecie, że dotarcie do dodatkowych czytelników ma sens. A skoro tak, warto ten pomysł wesprzeć. Wszystkich zainteresowanych akcją prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”. Dziękujemy!

Fundacja Oratio Recta

Nr konta:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Rodzinnie z noblistką**
Olga Tokarczuk po prostu jest nasza
- 16 Gorączka świątecznej nocy**
– rozmowa z dr. Karolem Jachymkiem
- 20 Wojna o pasy, wojna o życie**
Piesi kontra kierowcy
- 32 Śląsk pogrąża się w smogu**
Kombinowanie z grzaniem
- 58 Ani strażak, ani policjant, ani lekarz**
Marzenia młodego Polaka

PUBLICYSTYKA I OPINIE

- 12 Jakub Dymek**
Kandydat Lewicy na prezydenta?
Poczekamy
- 38 Janusz Z. Kwiatkowski**
Kto się boi Adriana

ZAGRANICA

- 24 Brexit a sprawa szkolna**
Prywatna edukacja niszczy
Wielką Brytanię
- 28 Nowe władze, niepewna przyszłość**
Korespondencja z Berlina
- 56 Zbiory imbiru**

HISTORIA

- 40 Bliźnięta wystąpi!**
Eksperymenty doktora Mengele

KULTURA

- 44 Dzieje inteligenta wyklętego**
– rozmowa z Maciejem Henem
- 48 Kulturalia**
- 66 Coming Out**

ZDROWIE

- 50 Jaskra pod nadzorem**
– rozmowa z prof. Jerzym Szaflikiem

EKOLOGIA

- 52 Okazją przez świat**
Podróżowanie w dobie katastrofy klimatycznej
- 54 Wkurzony jak dzieciół**
Rozmowy ptaków

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kogo łączy piłka
- 23 Roman Kurkiewicz**
Państwo na ręcznym
- 31 Tomasz Jastrun**
Marian, trzymaj się!
- 37 Ludwik Stomma**
Czyj jesteś? Księży
- 47 Edward Mikołajczyk**
W stajence z Zenkiem

24

ZAGRANICA

BREXIT
A SPRAWA SZKOLNA
Prywatna edukacja
niszczy Wielką
Brytanię



52

EKOLOGIA

OKAZJĄ PRZEZ ŚWIAT
Podróżowanie w dobie katastrofy klimatycznej



56

OBSERWACJE

ZBIORY IMBIRU

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ŁUKASZ GIZA/AGENCJA GAZETA



Dziewczyna i tygodnik
20 lat z PRZEGŁADEM

Anna Cieślak
Teatr jak rodzina

Kanada: jak nie populiści,
to separatyści

✉ Milcząca lewica

Przeżyłem świadomie, i to w Warszawie, druzgocącą klęskę Polski w czasie II wojny światowej oraz jej odrodzenie po wojnie. Razem z ojcem oglądałem 19 stycznia 1945 r. małą paradę zwycięstwa 1. Armii Wojska Polskiego wśród ruin, na niewielkim, odgruzowanym odcinku Alej Jerozolimskich. Niewielu ludzi stało na trasie przemarszu, ale byli wniebowzięci z powodu wkroczenia oddziałów Berlinga, choć może wielu z nich wolałoby oglądać tu Andersa na białym koniu. Pamiętam, że wszyscy byli wzruszeni, a na wieść o tym wydarzeniu mieszkańcy tłumnie wracali do zniszczonych domów. Po latach za udział w odbudowie stolicy dwukrotnie przyznano mi Złotą Syrenkę, odznakę honorową „Za Zasługi dla Warszawy”. Dziś nie mogę się nadziwić tchórzliwej postawie lewicy, która nie potrafiła obronić Dnia Zwycięstwa oraz innych upamiętnień wkładu prostych ludzi w zwycięstwo i odrodzenie państwa. Nie mogę spokojnie znosić tego odwracania biegu historii, honorowania bezmyślności przedwojennych elit, które po klęsce politycznej i wojskowej umknęły z kraju, by następnie bezmyślnie i nieodpowiedzialnie wywołać powstanie zakończone zagładą stolicy i wymordowaniem setek tysięcy jej mieszkańców. Dlaczego lewica jest taka tchórzliwa? Dlaczego nie powie w odpowiednim momencie: „Hańba”? Dlaczego pozwala odebrać sobie wszelkie zasługi w odrodzeniu państwa, w jego odbudowie, modernizacji, zmianie ustrojowej i wprowadzeniu Polski do Unii Europejskiej? W jaki sposób lewica może odbudować swoją społeczną pozycję, skoro nie umie otwartym tekstem mówić o zasługach swoich dziadów i ojców?

Andrzej Kotnowski, Warszawa

✉ Lewica w Sejmie, dzieje się?

Lewica w Sejmie OK, ale z tym działaniem się bym nie przesadzał. Pytanie jest teraz takie: czy będą cierpliwi i czy będą w stanie w dalszym ciągu się porozumiewać i ustalać, w jakich sprawach będą wspólnie głosować.

Rafał Urbanek

Jeśli lewica jest gotowa do merytorycznej dyskusji, to porozmawiajmy o tym, jak zrobić państwo opiekuńcze, w którym nie ma wysokich podatków. Bo przecież da się. Można mieć wysokie podatki, jak Szwecja, albo niskie, jak Singapur. Wszystko zależy od przyjętego modelu państwa opiekuńczego. Nasz model naśladuje niemiecki i moim zdaniem nie jest to dobra droga.

Xyz



f Zbyt dużo hałasu

Autor tekstu „Zbyt dużo hałasu” (PRZEGŁAD nr 49) pisze o tym, jak podupada budynek dawnego Technikum Tkactwa Artystycznego, szkoły, która przez ponad 100 lat była ikoną Zakopanego. To standardowe postępowanie. Wykazać straty, następnie sprzedać za grosze jakiemuś koledze, który zburzy obiekt i wybuduje w tym miejscu apartamentowiec. Modrzejewska w grobie się przewraca.

Domino

ZDJĘCIE TYGODNIA

Zdjęcie, które nie istnieje. Prezydent Duda w Belwederze przyjął ślubowanie od Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza. Na uroczystość nie zaproszono mediów. Nawet TVP!





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego rząd PiS jest tak uległy wobec administracji Trumpa?

MACIEJ KONIECZNY,
Lewica Razem

PiS nie rozumie Europy i nie czuje się w niej u siebie. Łatwiej dogaduje się z szemranymi autokratami w rodzaju Trumpa. Do tego dochodzi złudne moim zdaniem w 2019 r. przekonanie, że Stany Zjednoczone są najlepszym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Poza tym ten rząd po prostu jest uległy wobec wielkiego kapitału. Nie zapominajmy, że jedyną kwestią, którą premier Morawiecki chciał wpisać do konstytucji, o czym obwieścić w *exposé*, była prywatyzacja emerytur.

DR EDWARD KAROLCZUK,
politolog, publicysta

Polska jest państwem wasalnym. Ambasador Mosbacher publicznie krytykuje nasz rząd i wymusza na nim decyzje korzystne dla amerykańskich koncernów. Rezygnacja z podatku cyfrowego nie jest pierwszym ani ostatnim ustępstwem polskich władz ze szkodą dla całego społeczeństwa. Rozsądzające je sprzeczności rząd PiS zaciera różnego rodzaju dodatkami typu „plus”, równocześnie kreując wroga zasadniczego, jakim jest Rosja, oraz wrogów pomniejszych w postaci państw są-

siednich. Dla amerykańskich koncernów surowce strategiczne Rosji to łakomy kąsek i nigdy z nich nie zrezygnują. Unia Europejska jest potencjalnie wielkim rynkiem zbytu i konkurentem Stanów Zjednoczonych. Aby jątrzyć spory w UE, po wizycie Trumpa w Polsce nagle pojawił się problem reparacji od Niemiec. USA prowadzą globalną politykę, więc przez przypadek ich cele są zbieżne z pi-sowskimi. Stąd wspieranie doradcami w okresie wyborów, zniesienie wiz, wspieranie koncepcji Trójmorza i nadzieje, że Szczecin-Swinoujście stanie się portem przeładunkowym amerykańskiego gazu dla Europy Środkowo-Wschodniej, droższego niż rosyjski. PiS realizuje sanacyjną politykę zagraniczną: „mieć wrogów blisko i przyjaciół daleko”.

RAFAŁ GÓRSKI,
Instytut Spraw Obywatelskich

Zmienia się globalny układ sił. Wcześniej czy później dojdzie do wojny USA z Chinami. Niestety, polskie elity już zdecydowały, kto nas adoptuje. I kolejne decyzje są tego konsekwencją. A historia powinna nas uczyć – umiesz liczyć, licz na siebie. Powinniśmy grać na wielu fortepianach. Utrzymywać równy dystans

wobec wszystkich aktorów geopolitycznej szachownicy. Polska racją stanu wymaga takiego samego zainteresowania USA jak Rosją czy Chinami. Pragmatyka, a nie romantyzm, wskazuje, że warto rozmawiać z Trumpem, a jednocześnie z Putinem i Xi Jinpingiem. Przykładowo nasi rolnicy mogą więcej ugrać na handlu z Rosją i Chinami niż z USA, bo trudno, żeby konkurowali z amerykańskim rolnictwem opartym na chemii i GMO.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Nie tylko PiS jest uległy wobec jankesów. Praktycznie każdy rząd po 1989 r. prezentował uległość wobec nowego Wielkiego Brata. Czy to plan Sachsa, czy tajne więzienia, wciąganie w wojenki i ustawianie przetargi na militarne zabawki. A dlaczego? Może to wynik prowadzonej przez administrację USA polityki straszenia Putinem, który rzekomo nie myśli o niczym innym jak o położeniu łapy na Polsce, z której z kolei zrobiono konia trojańskiego rozwalającego UE. Wszystko po to, żeby napędzać i tak już zadłużoną amerykańską gospodarkę.

Not. Michał Sobczyk

Rodzinnie z noblistką

Olga Tokarczuk po prostu jest nasza – mówią w Zielonej Górze i Klenicy



Regina Dachówna

Moment wręczenia Oldze Tokarczuk Nagrody Nobla Lubuszanie obejrzą podczas bezpośredniej transmisji ze Sztokholmu w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze i w Wojewódzkiej Bibliotece w Gorzowie. Obie placówki utworzą telemost, podczas którego po pięć osób w każdej bibliotece czytać będzie fragmenty utworów noblistki. Gorzów rozpocznie czytanie o godz. 17, Zielona Góra o godz. 18.

– Będziemy się słyszeć i widzieć na telebimie. Tym gestem chcieliśmy podkreślić, jak ważna jest dla nas Olga Tokarczuk i jej twórczość. Ona po prostu jest nasza – mówi Anna Polus, zastępca dyrektora biblioteki w Zielonej Górze.

Olga Tokarczuk wiele razy gościła w Zielonej Górze, pierwszy raz jako pisarka przyjechała w 1997 r., potem z kolejnymi wizytami była w 2003, 2015 i 2017 r. W 2015 r. zamykała wystawę plenerową w centrum miasta, na Starym Rynku, poświęconą jej twórczości, zrealizowaną przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida. Wystawa nosiła tytuł: „Olga Tokarczuk na świecie. Przekłady. Odgłosy prasy. Fotografie”. Już wówczas dorobek pisarki budził duże zainteresowanie. Podczas spaceru

z zielonogórczanami po deptaku mówiła, że sentymentalnie związana jest z tą ziemią, powiedziała też: – Ludzie powinni identyfikować się z dorzecznymi rzek. My jesteśmy Odrzanami, ci znad Wisły są Wiślanami. Dziś patrzmy na Odrę, jedyną nieuregulowaną rzekę w Europie, i widzimy, jaka jest piękna i dzika. Nie wolno jej zmieniać.

Gdy dwa lata później gościła w bibliotece im. Norwida, duża Sala Dębowa nie pomieściła wszystkich. Spotkanie można było oglądać na telebimie na zewnątrz. W tym roku

ona spędziła najwcześniejsze lata dzieciństwa. Rodzina mieszkała w pałacu ponad 10 lat.

Klenica to wieś średniej wielkości (1,3 tys. mieszkańców), o 16 km oddalona od Sulechowa. Jest tu zabytkowy kościół z XIX w., szkoła podstawowa, przedszkole, biblioteka w budynku dawnego kościoła ewangelickiego oraz górujący nad wsią pałac myśliwski, wybudowany w latach 1880-1884 przez Antoniego Radziwiłła. Po wojnie w pałacu znajdowały się biura PGR, a w 1957 r. powstał tu

Słowo budynek kojarzyło mi się z budyniem, dlatego wyobrażałam sobie mój dom jako coś do jedzenia.

Olga Tokarczuk znów przyjechała na ziemię lubuską, pojawiła się w Klenicy ze szczególnej okazji.

Zespół Józefa Tokarczuka

30 czerwca tego roku było upalnie, 30 st. C w cieniu, żar lał się z nieba, ale nie zepsuł wspaniałej atmosfery, jaka towarzyszyła obchodom 50-lecia utworzenia Zespołu Ludowego Kleniczanie w Klenicy. Na uroczystość przyjechało ponad 150 osób, w tym Olga Tokarczuk z mamą, siostrą, mężem i synem. Zespół utworzył i prowadził jej ojciec Józef. Siedzibą zespołu był pałac myśliwski, w którym

Lubuski Uniwersytet Ludowy. W uniwersytetach ludowych, których idea wywodzi się ze Skandynawii, do kształceni się dorośli i młodzież.

W latach 60. wśród kadry pedagogicznej uniwersytetu w Klenicy pojawili się rodzice Olgi Tokarczuk – Wanda i Józef. Ona polonistka, on choreograf, z doświadczeniem w Mazowszu. Mama Olgi uczyła więc polskiego, tata kierował biblioteką i teatrem. Biblioteka była fascynującym miejscem dla małej odkrywczynie świata, która w Klenicy chodziła do przedszkola i podstawówki. Można tu było schować się za półkami, a kiedy już Olga nauczyła się czytać, jeszcze

zanim poszła do szkoły, zaczytywać się „W pustyni i w puszczy” albo „Baśniami polskimi”.

Józef Tokarczuk zmobilizował miejscową młodzież do nauki tańca i piosenek ludowych. W 1968 r. utworzył Zespół Ludowy Kleniczanie. Próby odbywały się w sali balowej pałacu. Wkrótce pojawiły się sukcesy. Kleniczanie trzy razy zostali zaproszeni na występy podczas dożynek centralnych w Warszawie, dwa razy wyjechali do NRD, z występami jeździli też po całej Polsce. Zespół liczył 50 osób, składał się z koła tanecznego i chóru.

Ryszard Hojka był przewodniczącym samorządu zespołu. Przez trzy lata tańczył z partnerką jako para prowadząca. W repertuarze znalazły się wiązanki krakowskie, łowickie i lubuskie. Oryginalne stroje z tych regionów Józef Tokarczuk załatwił w Warszawie. Ci, którzy znali Olę jako dziewczynkę, wspominają, że lubiła je zakładać, mogła wtedy stać się kimś innym.

Przynależność do zespołu była zaszczytem. – W Polsce za najważniejsze zespoły uważane były Mazowsze, Śląsk, Zespół Lubuski i my, Kleniczanie – opowiada Ryszard Hojka. Dla Olgi stał się wujkiem. Kiedy Józef Tokarczuk jechał np. do Sulechowa, zostawiał córkę pod jego opieką.

W 1972 r., gdy Olga miała 10 lat, Tokarczukowie wyprowadzili się do Kietrza przy granicy z Czechosłowacją. Wraz z ich wyjazdem z Klenicy zespół zaczął podupadać. Wynajęty choreograf nie zdołał go utrzymać. Zespół już nigdy się nie odrodził.

To nasza Oleńka

Uroczyste obchody jubileuszu zespołu Kleniczanie wymyśliła Aleksandra Szubert, dyrektorka Gminnego Ośrodka Kultury w Bojadłach. Ona także zna pałac z dzieciństwa, bo jej rodzice również byli nauczycielami i mieszkali w nim. Aleksandra urodziła się później niż Olga Tokarczuk i nie знаła osobiście pisarki. Ale uznała, że 50-lecie utworzenia zespołu może być pretekstem do spotkania osób, które przed laty tu mieszkały, a potem rozjechały się po kraju i po świecie. Intuicja jej nie zawiodła, na zaproszenie odpowiedziało ponad 100 osób, w tym cała rodzina Tokarczuków.

W Klenicy nikt nie był pewien, jak Olga Tokarczuk się zachowa. Wprawdzie nie wszyscy znali jej twórczość, ▶

NIEPOKORNA

Olga Tokarczuk

O swoich miejscach na ziemi

Moi przodkowie i większość przodków dzisiejszych Dolnoślązaków to ludzie, którzy się przenieśli z Kresów Wschodnich i zaczęli budować Dolny Śląsk po wojnie. Ja Dolny Śląsk traktuję trochę jako kontynuację, dziwną kontynuację Kresów, gdzie to wszystko się zebrało i zaczęło istnieć na nowo w nowej sytuacji. Zawsze mnie interesowała sytuacja pogranicza nie tylko w znaczeniu geograficznym, nie tylko dlatego, że mój dom stoi tuż przy granicy polsko-czeskiej. Zawsze mi się wydawało, że to, co się dzieje poza centrum, na peryferiach – bo centrum rozumiem metaforycznie, jako coś, co jest oczywiste, ogólnie przyjęte – zwykle okazuje się jakimś rodzajem fermentu. (...) I, oczywiście, tu od razu też wchodzi pogranicze w rozumieniu pogranicza religii i kultur, pogranicza w sensie kontestowania tej oczywistości, która zawsze zakorzeniona jest w centrum.

O skłonności do herezji

Mam rodzaj podejrliwości, że to, co ogólnie przyjęte, uważane za oczywiste – jest w jakiś sposób fałszywe. Myślę, że wzięło mi się to ze studiów psychologicznych; z wykształcenia jestem psycholożką kliniczną. Moje zafascynowanie peryferiami działania psychiki ludzkiej pchnęło mnie do studiowania psychologii i ta sama motywacja popchnęła mnie ku literaturze. Zawsze mi się wydawało, że w książkach, w powieściach, w literaturze znajdę coś takiego, co jest dopełnieniem oczywistych farmazonów, które traktujemy jako rzeczywistość, jako coś naturalnego, ogólnie przyjętego. Instynktownie zawsze penetrowałam więc te właśnie peryferie i herezje bez względu na to, czy to była herezja psychologiczna w postaci np. pacjenta chorego na schizofrenię, czy nieortodoksyjnego wyobrażenia Boga. Te dwie rzeczy pociągały mnie zawsze, tak naprawdę – od kiedy pamiętam. Wydaje mi się, że zdrowo jest być heretykiem, pod każdym względem. Być heretykiem, to znaczy być kontestatorem, oznacza: nie przyjmować za oczywistość tego, co większość ludzi uważa za oczywistość. To jest postawa z definicji twórcza, postawa, która pozwala zająć punkty widzenia na to, co postrzegamy, nieco przesunięte, nieco nieoczywiste. Właściwie każde twórcze myślenie zaczyna się od czegoś takiego.

(...) powiedziała bym, że w Polsce w ogóle brakuje mi herezji religijnych. Wydaje mi się, że od czasów, kiedy spaliliśmy bibliotekę arian w Lesznie, wielką bibliotekę pism nieortodoksyjnych, największą wtedy w Europie, zapomnieliśmy, że można kombinować, domyślać się, reinterpretować pewne prawdy. I wydaje mi się, że pogodiliśmy się z prostą wersją religii obowiązującej tutaj, straciliśmy instynkt do szperania w tym, do podważania, przez co staliśmy się mało twórczy religijnie. Jeżeli spojrzymy na polski katolicyzm z tego punktu widzenia, okaże się, że na Zachodzie, w Niemczech, nawet na Dolnym Śląsku, powstawało mnóstwo różnych reinterpretacji religijnych. Podobnie na Wschodzie, gdzie prawosławie jest religią naturalnie, niesamowicie pączkującą różnego rodzaju nieortodoksiami, które śledziłam w „Biegunach”. (...) Każda prawda, każda doktryna, która działa zbyt długo i zbyt długo jest akceptowana jako oczywista – traci zęby, wypala się. (...) Zdrowo jest więc być heretykiem. Nie dać się spalić i nie dać się wygnać, ale nieustannie być czujnym i kontestować. Dotyczy to zarówno religii, jak i polityki, ogólnie przyjętych wzorów zachowania, zdrowia psychicznego, wszystkiego.

O Nagrodzie Nobla

Okropnie się czuję z tym Noblem! Myślę, że największym przekleństwem dla kilku-set autorów na świecie, może kilku tysięcy, może kilkunastu tysięcy pisarzy i poetów, jest czekanie na Nobla. To naprawdę najgorsza rzecz, która się może zdarzyć, niepokój, do którego już niektórzy znajomi się przyznają. Na początku października roztrzęsienie rąk, jakiś rodzaj niepokoju i sprawdzanie w telewizji (śmiejcie się). Bardzo państwa proszę, żeby nie mówić o takich rzeczach, bo to jest dla mnie jakoś krępujące i okropne, i w ogóle nigdy bym sobie czegoś takiego nie życzyła, naprawdę. Nie wiem, już wolę złą recenzję w gazecie, z którą się mogę zmierzyć. A to jest nie wiadomo, czy komplement, czy, nie wiem, szpila. Tak że błagam. Nie.

Źródło: „Odra” nr 12/2019,

zapis spotkania w Domu Literatury w Warszawie w grudniu 2014 r.

▶ ale wiedzieli, że jest znaną pisarką i zdobywa nagrody, np. Nike. Jak więc ich teraz potraktuje? Pozna kogośkolwiek sprzed lat? Czas płynie, ludzie przecież się zmieniają.

Najbardziej zaskoczony jej sposobem bycia był Ryszard Hojka: – Po oficjalnych uroczystościach spotkaliśmy się na kawie w sali wiejskiej. I Olga Tokarczuk poprosiła mnie, bym do niej mówił Oleńka, jak przed laty. Taka wielka pisarka, teraz noblistka, i ja jestem z nią po imieniu! Nie znam jej twórczości, jest dla mnie za trudna, ale bardzo, bardzo się cieszę, że dostała Nobla. Przecież to nasza Oleńka!

Ludzie powinni identyfikować się z dorzeciami rzek. My jesteśmy Odrzanami, ci znad Wisły są Wiślanami.

Olga Tokarczuk w zdumienie wprawiła też koleżankę szkolną Danutę Woś. Chodziły do tej samej klasy, mimo że Olga jest rok młodsza, bo poszła do szkoły w wieku sześciu lat. – Miała tysiąc pomysłów na minutę. Wymyśliła np. bandy. Każda banda miała własne skarby. Jedna je chowała, a ta druga szukała i zabierała – wspominała Danuta Woś w „Gazecie Lubuskiej”.

Po wyjeździe Olgi koleżanki pisały do siebie do 1975 r. Potem korespondencja się urwała. Teraz spotkały się niemal po 50 latach. Bez cienia wahania Olga podeszła, poznała ją i zapytała o siostrę. Na ich wspólnych zdjęciach ze szkoły napisała: „Krysi

i Danusi Bargiel, kochanym przyjaciółce z podstawówki Olga Tokarczuk”. Danuta Woś już kupiła sobie „Księgi Jakubowe”, „Dom dzienny, dom nocny”, „Prawiek i inne czasy”. Teraz przysiadzie i przeczyta jako lektury obowiązkowe.

W klenickiej podstawówce uczy matematyki i edukacji wczesnoszkolnej. Gdy rozeszła się wiadomość o Nagrodzie Nobla dla Olgi Tokarczuk, do Klenicy przyjechało tylu dziennikarzy, że ci, którzy znają noblistkę, nie mogli się od nich opędzić. Dziś znów pani Danuta odebrała telefon z warszawskiego tygodnika.

Wśród nauczycieli szkoły podstawowej w Klenicy zrodził się pomysł, by w przyszłym roku zaprosić laureatkę i zapytać, czy zgodziłaby się zostać patronką szkoły. Także dyrekcja szpitala w Sulechowie, gdzie przyszła noblistka się urodziła, ma pomysł, by na ścianie budynku umieścić specjalną tablicę. Jest tylko pytanie – czy laureatka wyrazi na to zgodę?

Nobilitacja pałacu

Pałac myśliwski po zmianach w 1989 r. stał się placówką terapeutyczną dla dzieci i młodzieży. Na początku lat 90. pacjenci zostali przeniesieni do podobnego ośrodka

w niedalekim Zaborze i obiekt opustoszał. W końcu Urząd Marszałkowski w Zielonej Górze ogłosił przetarg na nieruchomość. Bogdan Macewicz, zielonogórzanin, przed 20 laty przeniósł się z miasta do wsi Górzynkowo, by zająć się uprawą winorośli i wytwarzaniem win. Poza winnicami i produkcją win interesuje się historią i okolicznymi zabytkami. Któregoś dnia znaleźli się wraz z żoną w Klenicy, zwiedzili XIX-wieczny kościół i zobaczyli na ogrodzeniu pałacu ogromny baner z informacją, że urząd marszałkowski ogłasza przetarg na nieruchomość. Spodobał im się zabytek i przyległy park (ok. 7 ha). Macewicz zdecydował się wziąć udział w przetargu i obiekt kupił.

Okazało się jednak, że nie wystarczy pałac kupić, trzeba jeszcze mieć pomysł na jego wykorzystanie. Projektów było wiele, ale żaden nie wydawał się korzystny. Nowy właściciel wystawił pałac na sprzedaż. Charakterystyka obiektu jest następująca: powierzchnia użytkowa prawie 2 tys. m kw., od wschodu i zachodu fasadę pałacu zdobią dwie wieże ośmioboczne. W głównej części pałacu znajduje się osiem pokoi, są też cztery łazienki, kuchnia i sala konferencyjna. W skrzydle bocznym jest dziewięć pokoi (dawniej były to pokoje dla pracowników, w tym dla nauczycieli), są łazienki i garaże. Ogrzewanie obiektu zasilane jest kotłem olejowym.

Baner z ofertą sprzedaży (cena 1,3 mln zł) wisiał trochę, ale kiedy do Kle-

Księgarnia PRZEGLĄDU poleca

MĄDRY PREZENT NA ŚWIĘTA



2 KSIĄŻKI PRL – 70 zł

3 KSIĄŻKI PROF. ŁAGOWSKIEGO – 120 zł



Olga Tokarczuk w bibliotece im. Norwida w Zielonej Górze, 2017 r.

nicy przyjechała Olga Tokarczuk, Macewicz zmienił plany. Zaprosił pisarkę do środka, bo bardzo chciała zobaczyć stare kąty. Zauważyła zmiany – ich mieszkanie zostało przerobione na kuchnię, kiedy był tu ośrodek leczniczy. Gdy już obejrzała prawie wszystkie pomieszczenia, poszła na krótki spacer do parku. W tym czasie do sali balowej weszło prawie sto osób, był także akordeonista, członkowie zespołu przypomnieli sobie dawne czasy. W Klenicy mieszka ich jeszcze kilkunastu.

Opis pałacu pojawia się w „Domu dziennym, domu nocnym” Tokarczuk: „Urodziłam się w pałacu. Był to pałac myśliwski przerobiony na szkołę. W tamtych czasach nie mówiło się »pałac«, tylko »budynek«. To słowo kojarzyło mi się z budyniem, nie z budowaniem, dlatego wyobrażałam sobie mój dom jako coś do jedzenia.

Pewnie go kiedyś nieopatrnie zjadłam, bo teraz mam go w sobie – wielopiętrową budowlę wewnątrz mnie”.

Po uroczystościach właściciel zaprosił Olę i jej rodzinę do domu w Górzycach, posiedzieli kilka godzin przy winie i Bogdan Macewicz już wiedział, że za nic nie sprzeda pałacu, bo jest on teraz nobilitowany przez Olę Tokarczuk. – To bardzo miła, mądra i bezpośrednia osoba. Wcześniej nie interesowałem się jej twórczością, ale teraz książki Olgi Tokarczuk są u nas na półkach. Żona właśnie czyta „Księgi Jakubowe”.

Na co zamierza przeznaczyć w przyszłości pałac? Może na centrum kultury, w którym będą się spotykać pisarze, artyści, luminarze nauki, nie tylko polscy, lecz również zagraniczni? – Plany zmieniłem – przyznaje – także dlatego, że jest realna perspektywa budowy mostu na

Odrze w Milsku. Dotychczas Odrę pokonywaliśmy promem, gdy będzie most, do Klenicy łatwiej się dotrze.

Opustoszały biblioteczne półki

Po wizycie Olgi Tokarczuk w Klenicy i po ogłoszeniu, że jest laureatką Nagrody Nobla, jej książki zniknęły z bibliotecznych półek. Katarzyna Tomaszewska, szefowa Gminnej Biblioteki Publicznej w Bojadłach, mówi: – Mamy całą twórczość pisarki, ale wszystkie tytuły są wypożyczone, jest kolejka, trzeba czekać.

W filii biblioteki w Klenicy chętnych jest mniej. Czytelnicy tłumaczą, że to literatura dla nich za trudna. Ale coraz więcej osób usiłuje zgłębić przesłanie autorki.

Irena Orwat z Sulechowa, kiedyś nauczycielka matematyki w Klenicy, potem dyrektorka liceum ogólnokształcącego w Sulechowie, mówi, że interesowała się twórczością Olgi, ale nie potrafiłaby streścić tych książek. Olę pamięta jako małą dziewczynkę. Była wówczas młodszą nauczycielką, z Sulechowa autobusem dojeżdżała do Klenicy do pracy w szkole. Na Tokarczuków patrzyła jak na elitę pedagogiczną. Dziś jest emerytką, żeby nie zgorzknąć, założyła uniwersytet trzeciego wieku, skupia on 130 osób. W przyszłym roku uniwersytet będzie obchodzić 15-lecie. – Z tej okazji zamierzamy Olę do nas zaprosić, ale czy zechce przyjechać? – pyta.

Regina Dachówna

52 zł

44 zł

49 zł

PAKIET ZAKŁAMANA HISTORIA POWSTANIA – 130 zł

41 zł

42 zł

40 zł

44 zł

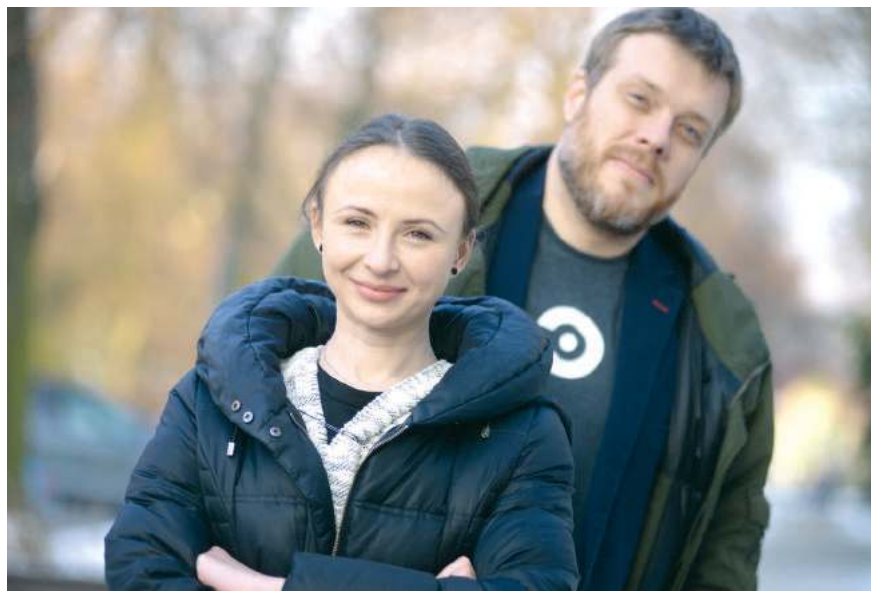
Zapraszamy do składania zamówień!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książki można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Kandydat Lewicy na prezydenta?

Poczekamy

Najważniejsza decyzja lewicy, kto wystartuje w wyborach prezydenckich, rodzi się w bólach, a proces wyłaniania kandydata jest niezrozumiały



Jakub Dymek

Prezydencka karuzela zaczęła się kręcić. Gdy do kiosków trafi ten numer PRZEGŁĄDU, będą już państwo wiedzieli, co ogłosił typowany na prezydenta celebryta Szymon Hołownia, w ciągu najbliższych dni swojego kandydata przedstawi zaś największa z sił opozycyjnych, Platforma (Koalicja) Obywatelska. Prawyborcy prezydenckie rozpoczęła Konfederacja, a PSL ma jasność, że wystawi Kosińskiego-Kamysza. PiS – czego trudno nie zauważyć – kampanię prezydencką Andrzeja Dudy zaczęło dosłownie w momencie, gdy zapieczętowano urny wyborcze 13 października. Tę wyliczankę powinna zamknąć lewica, ale na razie... nie może.

Okazuje się bowiem, że Robert Biedroń stracił animusz do kandydowania w wyborach prezydenckich, Adrian Zandberg chwilowo nie czuje się na siłach, a Włodzimierz Czarzasty ani nie wystartuje sam, ani nikogo do tego nie przygotował. W gronie trzech tenorów postanowiono więc poczekać.

I wystawić cierpliwość sympatyków na pewną próbę, dając ostygnąć rozgrzanemu do czerwoności Zandbergowi, miast – jak uczy przysłowie – kuć żelazo, póki gorące. W związku z brakiem jasnej deklaracji kogokolwiek politycy (szczególnie z dalszych ław) i sympatycy lewicy stawiają pytanie: co my ludziom powiemy, jeśli nasi liderzy naprawdę stchórzyli?

Bo o ile w kampanii parlamentarnej ujawniły się wszystkie pozytywne skutki synergii trzech pokoleń lewicy, o tyle w procesie wybierania kandydata na prezydenta zaczynają się ujawniać również jej słabości.

Przestroga

Dla lewicy wybory prezydenckie mają szczególny wymiar. W zbiorowej świadomości wyborców, polityków i lewicowej części opinii publicznej żywe są dwa wspomnienia: największej po 1989 r. dumy i najbardziej upokarzającej porażki.

Powodem tej pierwszej jest oczywiście Aleksander Kwaśniewski,

Bardzo medialna Agnieszka Dziemianowicz-Bąk ma jednak nikłe szanse i niewielu sojuszników.

uważany powszechnie za najlepszego – a z całą pewnością najpopularniejszego – prezydenta III RP. Najbardziej też wpisującego się w oczekiwania, jakie urzędowi prezydenckiemu w naszym kraju towarzyszą: że prezydentura ma być zdecydowana, ale nie dyktatorska; że ma reprezentować sobą ambicje i aspiracje społeczeństwa; że ma godzić luz i powagę, zaspokajać potrzebę dostępności, ale nie rozmieniać prestiżu urzędu na drobne. Aleksandrovi Kwaśniewskiemu, pomimo kilku spektakularnych potknięć, udało się te oczekiwania spełniać – czego dowodem było zwycięstwo w pierwszej turze wyborów na przełomie wieków.

Porażka to oczywiście Magdalena Ogórek, owoc zupełnie nietrafionego pomysłu na odmłodzenie SLD, który mimo sprzeciwów przeforsował Leszek Miller. Ogórek kompromitującą kampanią zaszkodziła lewicy na lata, a decyzja o jej wystawieniu śmiertelnie obraziła lojalnych wyborców. Dziś, w roli pokrzykującej dziennikarki TVP Info i lojalnej pracowniczki państwowych mediów, przypomina lewicy o jej najbardziej wstydliwych i autodestrukcyjnych decyzjach.

Każda rozmowa o kampanii prezydenckiej musi uwzględniać te wspomnienia i cały ich symboliczny ciężar. Dlatego również decyzja o tym, kto w 2020 r. będzie reprezentował lewicę w wyścigu o prezydenturę, rodzi się w takich bólach. A wybory niefatwo będzie wygrać, choć wiele będzie można w nich przegrać.

Adrian jest zmęczony

W 40. urodziny, przypadające na barbońkowy 4 grudnia, Adrian Zandberg cieszył się – zasłużonym

rzecz jasna – odpoczynkiem od polityki. Nie chodziło jednak wyłącznie o świętowanie. Zandberg, jak mówią współpracownicy, a czego nie zdradza jego słuszną posturą i energią publicznych wypowiedzi, „zajął się na amen”. Konieczność uczestnictwa w niezliczonych zebraniach i posiedzeniach na początku kadencji, nowe obowiązki jako pośta, zalew propozycji wywiadów i wystąpień telewizyjnych związany z wybuchem jego popularności w mediach głównego nurtu – wszystko to nadwyrężyło wytrzymałość debiutującego parlamentarzysty. W dniach po głośnym wystąpieniu sejmowym partyjni koledzy i koleżanki Zandberga starali się w jego imieniu raczej odmawiać mediom niż przyjmować ich zaproszenia.

Choć największe tytuły prasowe i telewizyjne w Polsce właściwie namaściły Zandberga na kandydata na prezydenta, i to zaledwie tydzień po jego poselskim debiucie, osoby z kierownictwa Razem mówią, że szanse na jego start są coraz mniejsze.

Co my ludziom powiemy, jeśli nasi liderzy naprawdę stchórzyli?

Zmęczenie i obawa przed przedwczesnym wypaleniem to tylko jeden z powodów. – Adrian musiałby iść do centrum, a tego nie chcemy. Co więcej, szanse na przekonanie centrowych wyborców wcale nie są wielkie – tłumaczy polityczka Razem. Do tego dochodzi obawa, że pół roku kampanii prezydenckiej pod okiem kamer TVP byłoby wyzwaniem dla rodziny Zandberga, której ten nie ma zamiaru rzucać dziennikarzom na żer. I jest jeszcze coś, czego działacze i działaczki Razem nie mówią wprost,



Senator Gabriela Morawska-Stanecka nie kojarzy się z mocno lewicową i socjalną twarzą koalicyjnego klubu.

ale co bez większego problemu da się z ich wypowiedzi wyczytać: Zandberg jest za dużym atutem w Sejmie, żeby wystawiać go na prezydenta.

Brzmi nieco nielogicznie? Być może. Ale założenie jest w gruncie rzeczy dość proste: kampania prezydencka to objazdy po Polsce, spotykanie się na bazarkach, dziesiątki tysięcy uścisków dłoni i setki *selfie* z wyborcami każdego tygodnia. Dużo teatru, trochę wymuszonej żenady (taniec do piosenek wyborczych, jak już wiemy, nie jest mocną stroną

po co on szedł do polityki? Żeby teraz powiedzieć, że kampania prezydencka to już za dużo i on nie ma siły? Zandberg jest w tym momencie największym zasobem lewicy, jej najdonioślejszym głosem i politykiem, który rekordowo zwiększył swoją rozpoznawalność. I on teraz powie, że żona mu zabroniła kandydować albo że lepiej mu na Wiejskiej? Nie kompromitujemy się.

Inny polityk Wiosny dodaje, że ewentualna decyzja Zandberga o wycofaniu się zostanie odebrana jako tchórzostwo. – Schowanie go na kolejne lata i pieszczanie się z nim nie miałyby sensu innego niż załatwienie jakiejś wewnętrznej gry partii Razem, której nie rozumiem – mówi. Z ust kolejnego lewicowego pośta słyszę jednak, żeby nie skreślać Zandberga, bo nawet jeśli ten dziś nie chce, może szybko odkryć, że nie ma wyboru.

Spekulacje próbuje ucinąć sam Zandberg, który jednego dnia dwóm różnym dziennikarzom, Rafałowi Kalukinowi w „Polityce” i Grzegorzowi Wysockiemu w „Gazecie Wyborczej”, dał do zrozumienia, że nie pali się do kandydowania. Z pozostałą dwójką tenorów Zandberg o ewentualnej kandydaturze ma jednak rozmawiać 14 grudnia. A jak mawiał brytyjski premier Harold Wilson, „tydzień w polityce to bardzo dużo czasu”.

Kobiety naprzód

Równolegle zaś trwa intensywny casting na kobietę, która mogłaby – jeśli żaden z do niedawna dość pewnych, wydawałoby się, kandydatów

Zandberga), masa wysiłku. – Po co? – mówią razemici. Adrian na sejmowej mównicy jest ich zdaniem potęgą, dzięki której zbudują kampanię na dużo ważniejsze wybory, te w 2023 r. Do tego dochodzi zupełnie szczerzy i momentami młodzieńczo naiwny zachwyt nad samym Zandbergiem, „naszym Adrianem”, którego aż szkoda wyganiać z tej Warszawy i kazać mu objeżdżać kraj, skoro tak świetnie sobie tu radzi.

– Bądźmy poważni, błagam – irytuje się na to pośtanek Wiosny. – To

PRENUMERATA



RUCH

Drogi Czytelniku!

Jeżeli nie zdążyłeś zaprenumerować PRZEGLĄDU w Poczcie Polskiej, możesz to jeszcze zrobić za pośrednictwem RUCH S.A. Zamówienia można składać do 20 grudnia 2019 r. pod numerem tel. 22 693 70 00 bądź mejlowo prenumerata@ruch.com.pl

Odbiór prenumeraty w najbliższym kiosku RUCH-u

74 zł – I kwartał 148 zł – I półrocze 296 zł – cały rok

Jeżeli chcesz otrzymywać prenumeratę do domu, do ceny podstawowej należy doliczyć koszty wysyłki

► na kandydata nie wystartuje – reprezentować lewicę w wyborach.

Przekonanie, że powinna wystartować kobieta, bierze się z trzech odrębnych refleksji i potrzeb. Po pierwsze, w badaniach, które robiła lewicowa koalicja, wyszło, że ani Zandberg, ani Biedroń wcale nie są tak mocni, jak od kilku tygodni piszą media na podstawie doraźnych sondaży. Za to ponadprzeciętnie wysoka jest reprezentacja kobiet w jej elektoracie. Gdyby więc Platforma Obywatelska wystawiła Małgorzatę Kidawę-Błońską, lewica musiałaby się liczyć z zauważalnym odpływem głosów „elektoratu prokobiecego” – tych, którzy postanowili, że zgłoszą na kobietę, jeśli taka propozycja w opozycji antypisowskiej się pojawi. Ten efekt premiowania kobiet przez wyborców był już widoczny w kampanii parlamentarnej. Po drugie, wyraźna jest (szczególnie w środowiskach młodej lewicy) presja na to, by nie zaczynać trzeciej z rzędu kampanii z mężczyznami w roli głównej – wygląda to źle, szczególnie na tle feministycznych deklaracji Klubu Parlamentarnego Lewicy. A należy pamiętać, że na listach do Sejmu nie było parytetu ani suwaka, kobiety miały zauważalnie mniej jedynek, a kształt list wyborczych oprotował Ogólnopolski Strajk Kobiet. Co zresztą skończyło się dołączeniem wartościowych kandydatek w kilku miastach. Po trzecie wreszcie, wystawienie kobiety załatwia partykularny interes trzech tenorów – bo żadna ze zgłaszanych kandydatek nie zagrozi ich pozycji.

Jakie to kandydatki? Jest ich kilka i radykalnie różnią się stopniem



Małgorzata Sekuła-Szmajdzińska jest wiceprzewodniczącą klubu Lewicy w Sejmie. W ostatnich wyborach – zdobyła 41,5 tys. głosów.

realności ich uczestnictwa w wyścigu. Na giełdzie nazwisk są Gabriela Morawska-Stanecka, Małgorzata Sekuła-Szmajdzińska, Katarzyna Sztop-Rutkowska, Jolanta Banach czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

Najbardziej medialna z nich, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ma nikłe szanse i niewielu sojuszników. – Będą teraz Agnieszce podcinać skrzydła – mówi działacz lewicy sympatyzujący z jej kandydaturą. – Jest niezależna, nieprzewidywalna, ma ambicje, chce bez oglądania się na innych budować swoją pozycję – a to irytuje wiele osób.

Trwa intensywny casting na kobietę, która mogłaby reprezentować lewicę w wyborach.

Po chłodnym rozstaniu Dziemianowicz-Bąk z Razem wciąż nie ulotniły się złe emocje. Choć, uczciwie trzeba powiedzieć, konflikt między ambitną polityczką z Dolnego Śląska a dawnymi koleżankami jest utrzymywany w cywilizowanych ramach i nie wylewa się na zewnątrz. – Wszystkie kobiety na lewicy, które są rozważane, będą gotowe do startu, lecz to, która w obecnym kontekście byłaby najlepsza, to przedmiot decyzji. Ja będę się kierować dobrem wspólnego projektu, a każda kandydatka może liczyć na moje wsparcie – koncyliacyjnie ogłosiła w dniu, w którym wyptęła jej kandydatura, na łamach wrocławskiej „Wyborczej”. Jednak jej słowa o tym, że lewica musi wystawić kobietę, są postrzegane przez krytyków jako otwarte

i nieskonsultowane z nikim żądanie wystawienia jej samej.

Ten sam działacz lewicy, który wspiera Dziemianowicz-Bąk, przekonuje mnie z kolei, że najbardziej konkretną propozycją jest dziś ta związana z najmniej rozpoznawalnym nazwiskiem – Katarzyną Sztop-Rutkowską. Dr Sztop-Rutkowska, była kandydatka na prezydenta Białegostoku, miałaby być żywym symbolem zdolności lewicy do jednoczenia: i kobieta, i ze ściany wschodniej, i wywodząca się spoza partyjnej polityki, i ciesząca się poparciem ruchów miejskich oraz ekologicznych; nie ma żadnych wrogów na lewicy i nikomu nie wadzi. Jest tylko jeden problem – dość znaczący. Jej zerowa rozpoznawalność. W wyborach samorządowych w Białymstoku Sztop-Rutkowska zdobyła zaledwie 4% głosów. W mediach społecznościowych ma poniżej tysiąca fanów. Trudno uwierzyć, że – bez względu na kompetencje i wiedzę Sztop-Rutkowskiej, która jest również założycielką Fundacji Laboratorium Badań i Działań Społecznych „SocLab” i wykłada na Uniwersytecie Białostockim – ktoś miałby odważyć się na wystawienie w wyborach polityczki całkowicie anonimowej. – Nigdy nie była poważnie rozważana – komentuje to, zaśmiewając się,

polityk bliski trzem tenorom i zasiadający we władzach klubu.

Jeszcze inny problem jest z Morawską-Stanecką. Politycy Wiosny, z którymi rozmawiam, bez wyjątku podkreślają, że wicemarszałkini Senatu jest osobą komunikatywną, świetną we współpracy i bezkonfliktową – ale niekoniecznie reprezentatywną dla klubu Lewicy i oczekiwań lewicowych wyborców, którzy chcieliby mocno socjalnej i zarazem tożsamościowej kampanii. Morawska-Stanecka nie kojarzy się, o ile z czymkolwiek się kojarzy, z mocno lewicową i socjalną twarzą koalicyjnego klubu. Jednak z grupy kobiet, o których mowa, wybór – jeśli trzy partie postanowią stawiać na kobietę – może ostatecznie paść na nią. Nikt bynajmniej się nie upiera, że to



świetna kandydatka na prezydentkę, ale nikt nie ma w pojedynkę pomysłu na znalezienie lepszej kandydatki ani siły, by ją wypromować. Największą zaletą wicemarszałkini, jak pokornie zgadzają się zwolennicy jej kandydatury, jest więc to, że ma relatywnie mało wad. Bo choć wyborcy właściwie zupełnie jej nie znają, nie ma wrogów w żadnej z trzech partii tworzących Klub Parlamentarny Lewicy.

Wszystko zależy od Platformy

Prawda jednak jest taka, że jak najpierw Schetyna zjednoczył lewicę, wypychając SLD z koalicji, tak być może PO wybierze za lewicę kandydata lub kandydatkę na prezydenta. – Jeśli wygra Kidawa-Błońska, naszym kandydatem będzie Zandberg, a jeśli Jaśkowiak, to Morawska-Stanecka, to bardzo proste – słyszę. – Zandberg jest lepszym konkurentem dla Kidawy, bo ona musi kluczyć w sprawach in vitro, aborcji, płacy minimalnej. Adrian ma zaś plus za bycie politykiem o jasnych poglądach i zdecydowanym stanowisku.

Gdyby jednak PO postawiła na Jaśkowiaka, lewica wystawi kobietę i będzie liczyć na premię wyborczą za to, że zrobiła to jako jedyna z liczących się w parlamencie partii.

Czy to nie problem, że najważniejsza decyzja personalna na lewicy jest uzależniona od tego, co postanowią działacze PO? – Taka jest polityka, a jak ktoś myśli, że jest inaczej, to polityki nie zna – ripostuje polityk z kierownictwa klubu. – W wyborach prezydenckich liczą się osobowości, trzeba móc zbudować sensowną polaryzację, odróżniać się i lewica nie może sobie pozwolić na komfort wybrania kandydata w ciemno – przekonuje. Co więcej, mówi, że nawet jeśli lewica ogłosi swoją kandydaturę jako ostatnia, nie zaszkodzi jej to, bo po drodze są jeszcze święta i noworoczna przerwa od polityki.

Czy rzeczywiście zwłoka pomaga, to kwestia dyskusyjna. Dziś Zandberg cieszy się uwagą całej Polski, ale czy będzie medialnym bohaterem jeszcze w styczniu, nie wiadomo. Z drugiej strony ci, którzy nie chcą się śpieszyć z ogłoszeniem kandydatury, liczą, że w nowym roku będą mogli czymś

obie duże partie, PO i PiS, zaskoczyć – gdy te, w typowym dla siebie stylu, będą zajęte walką na wyniszczenie. To ryzykowny zakład i kolejny kompromis z rzeczywistością.

Oczywiście wszystkie te spekulacje mogliby uciąć liderzy jedną jasną deklaracją – ale tej unikają. Mogliby przeprowadzić wewnętrzne wybory, lecz ich nie chcą. Na ich usprawiedliwienie można powiedzieć tyle, że jeszcze chwilę temu nikt się nie spodziewał, że przy trzech partiach i dwóch dynamicznych, młodych politykach nie sposób będzie znaleźć chętnego do ubiegania się o prezydenturę. Polityka jednak jest też sumą przypadków i brak przygotowania nigdy nie tłumaczy przegranych w tej grze.

Potencjalnie groźniejszą w skutkach porażką dla lewicy będzie nie przegrana w wyborach – czyli trzecie lub dalsze miejsce i niewęziej do drugiej tury – lecz walkower wynikający z przekonania, że nie traktuje się tych wyborów poważnie. I jeśli tenorzy myśla o dalszych sukcesach ich ugrupowania, ten drugi scenariusz powinien być ich nocnym koszmarem.

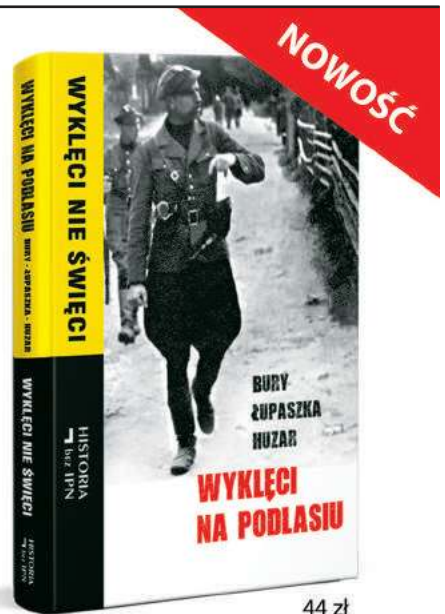
Jakub Dymek

CZTERY TOMY „Historii bez IPN”

Prawda o tych, którzy zamordowali i ograbili tysiące niewinnych cywilów.

Dramatyczny obraz wydarzeń, o których chcą zapomnieć piewcy „żołnierzy wyklętych”.

4 KSIĄŻKI W PAKIECIE TANIEJ – 150 zł



„Bury”, „Łupaszka”, „Huzar” i inni – siali strach i śmierć na Podlasiu. Dziś są na sztandarach prawicowych nacjonalistów.

**Książki
PRZEGLĄDU!**

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Gorączka świątecznej nocy

Większą przyjemność daje nam kupowanie prezentów niż ich dostawanie

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Skąd w nas ta gorączka zakupów przed świętami? Przecież nie o zaspokojenie podstawowych potrzeb materialnych chodzi.

– Jednej odpowiedzi na to pytanie nie ma, tak jak wiele jest czynników, które sprawiają, że potrzebę kupowania odczuwamy ogromną. Trzy są jednak podstawowe, m.in. perspektywa popkulturowa, czyli to, co się stało ze świętami w odbiorze społecznym.

A co się stało?

– One są już tylko fantazmatem. Patrzymy na nie – głównie za sprawą mediów, reklamy i filmów – jak na czas, w którym po prostu nie da się nie kupować. Otoczka komercyjna jest na tyle silna, że zakupy zostały wpisane integralnie w sposób ich przeżywania.

Stąd już tylko krok do decyzji o kolejnych wydatkach, zaciąganiu kredytów czy nawet wzięciu chwilówek.

– To jedno. Dwa – mówimy też o pewnego rodzaju eskapizmie. Ucieczce od codzienności i próbie stworzenia w kalendarzu (bardzo często za wszelką cenę, nawet jeśli jesteśmy spracowani i bez pieniędzy) okresu, który będzie wyjątkowy. Ale nie w rozumieniu cudu. Raczej próby zerwania z rutyną.

I w tym ma nam pomagać wyidealizowany obraz Bożego Narodzenia?!

– Zdecydowanie, przy czym rozumiany on będzie jako czas już nie tylko zakupów, dostatku, przepychu, radości z prezentów, ale po prostu pięknej uroczystości i rodzinnej atmosfery. Przecież jeśli zapytam, czym są dla Polaków święta, to niezależnie od religii, poglądów czy statusu materialnego zazwyczaj będą one mieć pozytywne konotacje. Ba, z reguły nie zabraknie w tych odpowiedziach również odniesień do dzieci – dawania im prezentów i wyczekiwania św. Mikołaja.



DR KAROL JACHYMEK

– kulturoznawca
z Uniwersytetu SWPS

A jak to się ma do szaleństwa zakupów w tym czasie?

– Chodzi o takie nasilenie pozytywnych emocji, żeby w sposób automatyczny kierować nas w stronę wspomnień, a dokładnie tego momentu, kiedy sami byliśmy dziećmi.

Dlaczego?

– Bo ta tęsknota za dzieciństwem przekłada się potem na obniżoną

Jeśli chodzimy na firmową wigilię, pijemy grzane wino i świąteczne herbaty, to pewnie, że zaraz ruszymy do sklepów.

samokontrolę i tym samym większą uległość na zakupach. Tym też tłumaczyć należy zatrzęsienie w sklepach choinek, ozdób choinkowych, pudeł z prezentami, sań z mikołajami, sztucznego śniegu i innych elementów, które są każdemu dobrze znane. I to we wszystkich sklepach, wszędzie. Wszystko to samo, bo nasze osobiste wspomnienia zlewają

się z pamięcią tłumu. Są wspólne dla wielu pokoleń.

Kiedy więc myślimy o świętach, to teraz już zawsze także o kolorze czerwonym i zielonym.

– Czy np. jowialnym jegomościu, który przynosi prezenty. Jest całe mnóstwo popkulturowych obrazków, które dotyczą dzieciństwa, a działają jak stereotypy. Bo możemy zdawać sobie sprawę, że są, ale i tak będą na nas oddziaływać. Wywołają silny impuls, sprawią, że poddamy się tym wyobrażeniom i zaczniemy działać na zasadzie prostych odruchów.

A skoro o nich mowa, to jak często ulegać będziemy w ogóle psychologii tłumu?

– Bardzo często! Bo jeśli widzimy, że dużo osób robi teraz zakupy – tegoroczny raport Deloitte pokazuje, że największa grupa badanych (38%) wybierze się po prezenty między 1 a 15 grudnia – to przecież one nie mogą się mylić. Skoro inni kupują, to muszą mieć rację. „OK, w tej sytuacji i ja idę na zakupy. Nie może być inaczej”, przyjmujemy.

I badania to potwierdzają?!

– Pokazują znacznie więcej. Jeden z eksperymentów przeprowadzono na początku XXI w. Lara Aknin, amerykańska psycholożka, sprawdzała, z czego mamy większą przyjemność: z dostawania czy z kupowania prezentów. Wbrew przekonaniu, że powinniśmy bardziej się cieszyć jako osoby obdarowywane, silniejszym bodźcem okazało się ich

nabywanie. Korzyści dla nas były z tego dużo większe. Głównie dlatego, że wtedy czujemy się lepszymi ludźmi. Poza tym, jeśli damy prezent, to my też go dostaniemy. A to rodzaj gratyfikacji.

Wcześniejsze eksperymenty pokazały, że już samo kupowanie może przynosić ulgę, uwalniać od napięcia.



Świąteczne dekoracje w sklepach pojawiają się coraz wcześniej.

– Ale i budować status, poczucie pewności w grupie, do której się aspiruje. Dodatkowo pozwalać na realizację marzeń z dzieciństwa. Co więcej, skoro święta są czasem zabiegania i chaosu, to jak pójdziemy do sklepu i możemy wybierać, nagle czujemy, że mamy kontrolę, że jesteśmy skuteczni i autonomiczni. Inna sprawa, że często będzie to jednak złudne wrażenie – nierzadko przytłoczeni bodźcami wpadamy w pułapkę i zaczynamy kupować bez zastanowienia.

Zgoda, tyle że duży wpływ będą na to miały także chwyt marketingowe.

– Tak i to ten drugi czynnik, który może sprawiać, że na święta przekraczamy ustalony wcześniej budżet. Wśród klasycznych zabiegów stosowanych w tym czasie wymienia się m.in. agresywną reklamę czy nadużywanie haseł typu: promocja, upust, zniżka, okazja...

...wypzedaże, serie limitowane, pakiet świąteczny...

– ...oferty łączone, ale też np. kody rabatowe ze sklepu możliwe do wykorzystania już tylko w sieci.

I dlaczego dajemy się złapać na takie zabiegi?

– Bo to bardzo chytrze skrojone komunikaty, które sprawiają, że chętniej sięgamy po kolejne produkty.

Bo oto dostajemy jakiś gratis. Wydaje się nam, że na tym zyskujemy. To bardzo prosty, ale i skuteczny mechanizm.

I z tego samego powodu rzadziej sprawdzamy, jaka była cena wyjściowa albo czego dotyczy promocja?

– Też, poza tym czujemy, że ktoś już za nas wykonał tę robotę. Przecież proponuje nam to, co tu i teraz jest atrakcyjne i pożądane.

Swoje też chyba robi efekt okazji.

– Zwiększa nasze zainteresowanie zakupami, bo wiele zależy i od

języka angielskiego, żeby pojechać za granicę i móc porozumieć się z wnuczką. Wywołuje w nas silną tęsknotę za bliskimi i za światem utraconych wartości. To nic innego jak marketing nostalgiczny. To musi działać!

A nielegalne praktyki? „Może w całej tej bieganinie klient tego nie zauważy”, zacierają ręce spece od reklamy.

– Pułapek różnego rodzaju nie brakuje. Weźmy manipulację ceną. Najpierw sztucznie się ją podnosi, a dopiero potem mocno obniża,

Rozpylanie zapachu cynamonu czy pierników powoduje, że znaczna część kupujących sięga po więcej towarów.

kontekstu, i od sposobu sprzedaży, w tym mnogości komunikatów promocyjnych. Tak! Ale nie zawsze muszą na nas działać komunikaty wyrażone wprost. Część marketingowców odwołuje się a to do dobroczynności – kupując nasz produkt, wspierasz ideę XYZ, a to np. do storytellingu. To oddziaływanie na wyobraźnię i emocje poprzez opowieść, silnie angażującą narrację.

Jakiś przykład?

– Mój ulubiony to reklama Allegro, ta z dziadkiem, który uczy się

bądź redukuje np. o grosz. W gruncie rzeczy to nie ma dużego znaczenia. Albo slogany „Tylko dziś”, choć w rzeczywistości promocja obowiązuje zawsze. W tym przypadku ograniczony czas promocji i pośpiech mają sprawić, że wyłączymy racjonalne myślenie i zmienimy się w „łowców okazji”.

To może jednak sieć – tam chyba trudniej będzie nas uwieść?

– Równie łatwo. Głównie dlatego, że częściej płacimy wirtualnym pieniądzem – tak bardzo nas wtedy

► nie boli, że ubywa nam kasy. Mamy również poczucie większego wyboru, na które jesteśmy bardzo fasi. W myśl zasady: im więcej, tym lepiej. Możemy weryfikować, sprawdzać, porównywać, i to zarówno parametry techniczne, jak i rekomendacje użytkowników, w Polsce i za granicą. I następna rzecz – żyjemy w bańce informacyjnej, co oznacza, że poprzez targetowanie reklam podsuwa się nam pod nos dokładnie to, co chcemy. Czujemy się ważni. Dopieszczeni. I koniec końców dzieje się tak, że jak lubimy buty, to niekoniecznie będziemy się zastanawiać, czy kolejna para, która nam się podoba, jest tą, na którą nas stać. **Sęk w tym, że marketingowcy potrafią być jeszcze sprytniejsi. Przecież od tygodni trąbili np. o Black Friday.**

– A nawet Black Week, czyli całym tygodniu wyprzedzały. Jakby tego było jeszcze mało, jest Cyber Monday, który pokazuje przy tym, jak bardzo okres przedświątecznych zakupów się wydłużył. Przecież święta z punktu widzenia reklamy i marketingu zachynają się już po Wszystkich Świętych.

A nawet wcześniej.

– Coraz wcześniej puszcza się świąteczną muzykę, nawet nie kolędy, wprowadza do sklepów

inny asortyment – swetry z reniferami i św. Mikołajem czy świąteczne zestawy upominkowe. Mnóstwo jest kodów, które odsyłają nas do globalnych sposobów przeżywania Bożego Narodzenia. A to wszystko sprawia, że święta stają się też okresem rytuałów. W praktyce: jeśli chodzimy na firmowe wigilie, pijemy

Przed nami jeszcze ładnych parę lat bycia ofiarami świątecznej gorączki zakupów.

grzane wino i świąteczne herbaty, to pewne jak w banku jest i to, że zaraz ruszymy do sklepów na towary. Swoją drogą o zakupach będzie się nam co rusz przypominać – poprzez newslettery, media społecznościowe, SMS-y...

Cały czas będziemy atakowani różnego rodzaju przekazami...

– ...których zadaniem jest wzmocnienie potrzeby kupowania, posiadania i gromadzenia. I tu dochodzimy do trzeciego czynnika dotyczącego świątecznej gorączki, czyli ekonomii behawioralnej. To stosunkowo nowy nurt ekonomii, który czerpie z psychologii i innych nauk społecznych. A zakłada, że nasze decyzje nie są podejmowane w sposób

w pełni racjonalny. Że bazujemy bardziej na emocjach i różnego rodzaju impulsach.

Jakich?

– Choćby tych wynikających z oddziaływania na zmysły. Bo dowiedziono np., że rozpylanie zapachu cynamonu albo pierników powoduje, że znaczna część kupujących sięga po więcej towarów. To prosta zależność. I równie czytelna zasada: uruchamianie odpowiednich bodźców,

w tym przypadku zapachowych, może wywołać określone zachowania.

Idąc tym tropem, sprzedaż zwiększają też jaśniej oświetlona półka, wąskie i wysokie opakowanie, złudzenie optyczne dające wrażenie ruchu, Mikołaj przed sklepem.

– Ale również sam tłum i rwetes. One także sprawiają, że doświadczamy różnego rodzaju szaleństwa, podobnie zresztą jak dzieje się to w niedziele handlowe. To przed świętami. Po świętach z kolei równie silnie reagujemy np. na оголоcone manekiny. Mają nam uzmysłwić: musimy się śpieszyć, bo zaraz okazji nie będzie. Promocja się skończy. Ktoś nas wyprzedzi. I znowu szalejemy – stąd te dantejskie sceny i szturm na półki sklepowe.

Badania Deloitte pokazują, że w tym roku na święta wydamy o 5% więcej niż rok wcześniej.

Niczego do tej pory się nie nauczyliśmy?

– Jedno to zmiana wartości pieniądza, drugie – edukacja, znajomość reklamy i prawideł marketingowych czy zachowań wynikających z ekonomii behawioralnej. Trzecie – bodźcowanie, które z roku na rok jest silniejsze. I to głównie ono sprawia, że na święta wydajemy już ponad 1,5 tys. zł; przede wszystkim właśnie na prezenty (540 zł), jak pokazał raport Deloitte.

A można w ogóle wyjść z tego błędnego koła?

– Tak, tym bardziej że do głosu dochodzą już praktyki *mindfulness*, *zero waste* i minimalizm. Tyłe że potrzeba czasu, by przyjęły się w Polsce na dobre. Wniosek jest więc jeden: przed nami jeszcze ładnych parę lat bycia ofiarami tej gorączki zakupów.



W warszawskim Domu Literatury Andrzej Żor rozmawiał z Krzysztofem Mroziiewiczem o jego książce „Delirium władzy. Kto rządzi, ten błądzi”. W spotkaniu wzięło udział wielu byłych ambasadorów i ludzi kultury. Gospodarzy reprezentował prezes Związku Literatów Polskich Marek Wawrzekiewicz.

Ta książka sprawdzi się na prezent!

Wpłata 47 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.

Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Dorota Bartosewicz

BUNTOWNIK

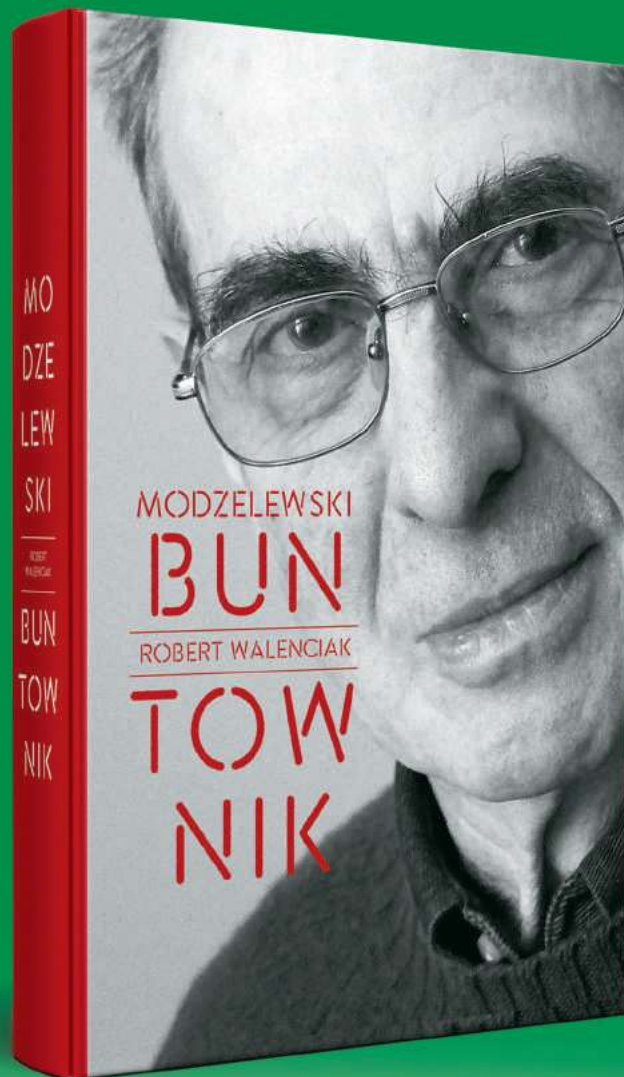
Czy można wyobrazić sobie polską politykę bez Karola Modzelewskiego?

- W roku 1956 był na warszawskim Żeraniu obok Lechosława Goździka.
- W roku 1964 wraz z Jackiem Kuroniem napisał list do partii, za który został skazany na trzy i pół roku więzienia.
- W roku 1968 rzucił hasło „Niepodległość bez cenzury!”, które skandowali demonstrujący studenci.
- W roku 1980 był pomysłodawcą nazwy związku Solidarność, a potem jego rzecznikiem.
- W III RP z buntu się nie wyleczył. Konsekwentny krytyk transformacji, a zwłaszcza planu Balcerowicza.

Gorszyło go podsycanie antykomunizmu: „Był taki czas, że walcząc z komunizmem, zbierało się guzy. A teraz, nie zbierając guzów, to jest odwaga hieny cmentarnej”.

A w ostatnich latach ostrzegał: „Celem PiS jest władza, której nie odda” – to tytuł jego ostatniego wywiadu dla „Przeglądu”.

Książka PRZEGLĄDU!



65 zł

Wpłat 65 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Anna Brzeska

Na warszawskich Bielanach rozjeżdżone bmw wjeżdża z ogromną prędkością na przejście dla pieszych – zabija mężczyznę, ten w ostatniej chwili odpycha żonę i dziecko w wózek, co ratuje im życie. Miesiąc później w Poznaniu przechodzącą na zielonym świetle ośmiolatkę potrąca prowadzony przez kobietę ford. Dziewczynka umiera na oczach matki.

Wypadki z udziałem dzieci czy młodych osób przyciągają uwagę mediów, ale w cieniu zostają setki innych pieszych, którzy co roku giną na polskich drogach. W 2019 r. (dane z 2 grudnia) zginęło ich 656, w 2018 r. – aż 803. Na samych przejściach w tym roku zdarzyły się 2864 wypadki – o 210 mniej niż rok temu. Zginęło w nich 190 pieszych – o 31 mniej niż przed rokiem. – Możemy powiedzieć, że jest pewna poprawa. Ale obserwujemy ją dopiero



Wojna o pasy, wojna o życie

Aż 90% wypadków na przejściach dla pieszych powodują kierujący

od połowy roku. Wcześniej statystyki były załamujące – mówi podinsp. Radosław Kobryś z Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji.

Wypadki na przejściach stały się powodem kolejnej publicznej debaty na temat bezpieczeństwa pieszych. Pod koniec listopada powołany został parlamentarny zespół ds. bezpieczeństwa ruchu drogowego, w którego skład weszli postawie Lewicy (przewodniczącą zespołu jest Agnieszka Dziemianowicz-Bąk), Koalicji Obywatelskiej oraz PSL-Kukiz'15. Ma on pracować m.in. nad kwestią praw pieszych, możliwością instalacji radarów przez gminy czy zwiększeniem wysokości mandatów.

W Sejmie czeka też projekt posełski przygotowany przez KO, zmieniający Prawo o ruchu drogowym. Jego głównym założeniem jest przyznanie pierwszeństwa pieszym oczekującym na wejście na pasy. Zmiany w tej kwestii zapo-

wiedział również w *exposé* premier Morawiecki.

To oni są winni

Tymczasem w mediach społecznościowych larum. Kierowcy pukają się w czoło i twierdzą, że to piesi zachowują się nieodpowiedzialnie. Zmiana przepisów jeszcze pogorszy sprawę i zwiększy liczbę zabitych pieszych, którzy „już zupełnie przestaną uważać”. „Inicjatywa, która przyniesie śmierć”, pisze na Facebooku pewien „doświadczony kierowca”. „Po prostu przybędzie klientów firm pogrzebowych”, stwierdza kolejny.

Jak będzie naprawdę? O opinię na temat proponowanych zmian pytam podinsp. Radosława Kobryśa. – Jeszcze nie widziałem projektu, natomiast kilka lat temu podobny pomysł był brany pod uwagę – mówi. – Prace nad nim były już zaawansowane, proponowane przepisy nie ujrzały jednak światła dziennego. My jako policjanci

egzekwujemy przepisy, nie oceniamy ich. Ale wiem, że np. w Norwegii piesi oczekujący na możliwość wejścia na pasy mają pierwszeństwo. I kierowcy – w tym Polacy – jakoś sobie radzą. Uważam, że podejście tych, którzy sugerują, że po zmianie przepisów piesi będą ginąć jeszcze częściej, jest raczej nieprzemyślane.

Dlaczego? Policyjny ekspert zaczyna od przypomnienia, że obecnie pieszy musi zachować szczególną ostrożność, kiedy chce przejść przez jezdnię, podobnie jak kierowca, gdy zbliża się do przejścia dla pieszych. Zadaje mi też małą zagadkę: – Proszę sobie wyobrazić, że zbliża się pani, jako kierowca, do przejścia dla pieszych. Czy jest tam jakikolwiek znak nakazujący zmniejszenie prędkości?

Odpowiadam – jak się okazuje, błędnie – że nie, jest jedynie znak informujący mnie o przejściu dla pieszych. Dodaję, że mimo braku ograniczenia prędkości i tak zwalnam i upewniam się, że nikt nie podchodzi



20 października na ul. Sokratesa w Warszawie zginął mężczyzna. Zdażył odepchnąć żonę i dziecko.

wiązku zachowania ostrożności na drodze i ograniczonego zaufania do innych użytkowników dróg, o czym mówią art. 3 i 4 Prawa o ruchu drogowym. Obecne przepisy też nie zezwalają na wchodzenie bezpośrednio przed pojazd i przypuszczam, że nikt nie planuje ich zmienić. Dyskutuje się raczej o zmianie, w której pieszy będzie miał pierwszeństwo – powiedzmy – kiedy będzie blisko krawężnika. Dodam, że to dobrze, że istnieją kierowcy – i oby było ich jak najwięcej – którzy w ogóle zauważają takie problematyczne miejsca, bo można się spodziewać, że choć teraz nie chcą zmian, i tak będą przed przejściami zachowywać szczególną ostrożność. To samo przecież musimy robić, gdy np. zbliżamy się do przejścia dla pieszych w pobliżu przystanku i wiemy, że zza stojącego autobusu czy tramwaju mogą wyjść przechodnie. Dlatego jeszcze raz – planowane przepisy nie mogą wyłączyć zdrowego rozsądku. Nie demonizowałbym ich więc już teraz, bo szczegóły mogą zaważyć na tym, jakie to prawo będzie.

do przejścia. – No i taka jest właśnie wiedza kierujących – podsumowuje ekspert. – Tymczasem przepis, który dotyczy informacyjnego znaku drogowego o przejściu dla pieszych, wprost obliżuje do zmniejszenia prędkości. To wynika z rozporządzenia w sprawie znaków i sygnałów drogowych. Ale kto o tym wie?

Zdaniem podinsp. Kobryś planowane zmiany mogą więc wywołać skutek odmienny od tego, którego obawiają się „doświadczeni kierowcy”. – Sądzę, że dzięki nowym przepisom będą jeszcze bardziej czujni – albo raczej zaczną być czujni w okolicy przejść dla pieszych.

W internetowych dyskusjach pojawiają się jednak argumenty, że istnieją takie przejścia dla pieszych, gdzie widoczność jest ograniczona. Przykład, który znalazłam na Facebooku: zebra na skrzyżowaniu, przy którym dość blisko jezdni stoją budynki. Jeśli pieszy wyjdzie zza nich i od razu wkroczy na pasy, kierujący nie będą mieli dość czasu na reakcję. Co na to ekspert?

– Być może – bo jeszcze tego nie wiemy – nowe przepisy będą tak skonstruowane, że pieszy przed jezdnią będzie musiał się zatrzymać – odpowiada podinsp. Kobryś. – Co więcej, pieszego nikt nie zwolni z obo-

Na Zachodzie już na kursie nauki jazdy przygotowuje się przyszłych kierowców do tego, by szczególnie uważali na pieszych.

I rzeczywiście – w projekcie, który znalazł się w Sejmie, mowa jest o tym, że kierowca ma obowiązek ustąpić pierwszeństwa pieszemu oczekującemu na możliwość wejścia na pasy, ale również o tym, że pieszy musi zachować szczególną ostrożność, ma się zatrzymać i upewnić, że kierujący pojazdem ustępuje mu pierwszeństwa.

Polska a Europa

Podinsp. Kobryś przyznaje, że część wypadków z udziałem pieszych wynika z ich winy, ale zaznacza, że to jedynie jedna czwarta. A jeśli chodzi o wypadki na przejściach dla pieszych, aż 90% powodują kierujący. – Zamiast martwić się o zmianę w przepisach, powinni raczej zwrócić uwagę na to, że w tym roku to kierujący byli sprawcami niemal 3 tys. wypadków na przejściach – stwierdza.

Czy plany naszych polityków są więc aż tak rewolucyjne na tle innych krajów Europy? Pierwszeństwo dla pieszych, którzy oczekują na możliwość wejścia na pasy, obowiązuje m.in. w Niemczech, we Francji, we Włoszech, w Holandii, w Belgii, w Austrii i w Szwajcarii. We wszystkich tych krajach statystyki dotyczące zabitych na drogach pieszych są lepsze niż w Polsce. Przykładowo – w Niemczech w 2018 r. zginęło 458 pieszych (na 82,8 mln mieszkańców), we Francji – 471 (na 66,9 mln mieszkańców). Co ważne, w tej drugiej pierwszeństwo pieszych na pasach – już w momencie, gdy okazują oni „wyraźną intencję wejścia na drogę” – obowiązuje stosunkowo od niedawna, bo od 2011 r. W Holandii życie na drogach straciło 54 pieszych na nieco ponad 17 mln mieszkańców. Gdyby przenieść do nas holenderskie statystyki, w Polsce ocalonych zostałoby ok. 360 osób.

W Wielkiej Brytanii prawo jest podobne jak w Polsce: pieszy na przejściu ma pierwszeństwo, gdy już na nie wkroczy. Nie oznacza to jednak, że jeśli dojdzie do wypadku, zostanie orzeczone wino pieszego, ponieważ ci, jako najbardziej

zagrożeni uczestnicy ruchu, są na Wyspach szczególnie chronieni. Każdy przypadek rozstrzygany jest więc indywidualnie. Ponadto przejścia są oznakowane nie tylko wymalowaną zebra i znakiem informacyjnym, ale również migającym pomarańczowym światłem. W 2018 r. na brytyjskich drogach zginęło 456 pieszych (na 66,4 mln mieszkańców).

Kiepsko wyglądają włoskie statystyki i sytuacja w ostatnich latach jeszcze się pogarsza. W 2017 r. zginęło 600 pieszych, a w 2018 – 609. Włochy znane są jednak z tego, że aby przejść tam przez pasy, trzeba stanowczo wtargnąć na jezdnię.

To wszystko przykłady z państw gęsto zaludnionych, których duża część jest zurbanizowana. Krajów takich jak Norwegia, Finlandia czy Islandia nie ma sensu porównywać.

Na Węgrzech, gdzie tak jak w Polsce pieszy ma pierwszeństwo dopiero w momencie, gdy wejdzie na

► pasy, w 2018 r. życie straciły 164 osoby. Statystyki wyglądają więc podobnie jak w Polsce, biorąc pod uwagę, że kraj ten ma czterokrotnie mniej mieszkańców.

Czy jednak marny wynik Węgier i Polski na tle krajów Zachodu to wyłącznie efekt różnicy w przepisach dotyczących pierwszeństwa na pasach? Oczywiście nie. – Na Zachodzie obowiązują znacznie wyższe mandaty choćby za przekroczenie prędkości. Mało kto ośmiela się jeździć zbyt szybko – zwraca uwagę Paweł Dziadkowiak, były instruktor nauki jazdy. – A dużo łatwiej jest zahamować kierowcy jadącemu 50 km/godz. Wprawdzie w krajach UE takie przepisy, jakie planowane są u nas, funkcjonują całkiem nieźle, ale tam już na kursie nauki jazdy przygotowuje się przyszłych kierowców do tego, by szczególnie uważali na pieszych znajdujących się w pobliżu przejścia. U nas kierujący nie są tego uczeni. Kładzie się nacisk raczej na to, by ustępować tym pieszym, którzy dynamicznie zbliżają się do przejścia lub już na nim się

znajdują. Nie wiem więc, czy Polska jest mentalnie gotowa na tego rodzaju zmiany.

Spójrzmy jednak na Litwę – pod wieloma względami podobną do Polski, gdzie pierwszeństwo pieszych oczekujących przy pasach wprowadzono w listopadzie 2018 r. Przed zmianą przepisów między styczniem a październikiem na pasach zginęło 15 osób. Po zmianach, w analogicznym okresie 2019 r., już tylko dziewięć.

Moralna odpowiedzialność

Szukając informacji o zasadach obowiązujących w krajach Europy, trafiam na ciekawą wypowiedź jednego z francuskich taksówkarzy dla radia France Bleu. Podobnie jak wielu naszych kierowców wytyka on niefrasobliwość pieszych, ale jednocześnie uważa to za powód do... dodatkowego chronienia ich, skoro sami o siebie nie dbają. – Wszyscy młodzi ludzie chodzą dziś ze słuchawkami. Kiedy więc widzę młodą osobę przechodzącą przez ulicę, zwalniam. Co piąta

nawet nie patrzy, czy coś się zbliża. Gdybym nie hamował, uderzałbym w takich ze trzy razy dziennie – mówi taksówkarz.

Podobnie uważa podinsp. Kobryś: – Wiemy dziś jedno: piesi giną i coś trzeba zrobić. Patrzymy na te zmiany z moralnego punktu widzenia. Czy naprawdę chcemy uczestniczyć w wypadku, w którym potracimy człowieka? Chciałbym, by kierujący rzeczywiście zdejmowali nogę z gazu, szczególnie przy przejściach dla pieszych. Ważne, byśmy nie myśleli o przepisach tylko jako o ograniczeniach, którymi jesteśmy zniewoleni. Regulacje w tym zakresie są potrzebne. Nie byłyby, gdybyśmy byli robotami, ale nie jesteśmy. Każdy z nas może popełnić błąd i wszyscy musimy te błędy przewidywać. Jeśli w innych krajach są rozwiązania, które się sprawdzają, to powinniśmy brać je pod uwagę, rozmawiać i tak zmieniać prawo, by było ono proste w egzekwowaniu i skuteczne w realizacji celów.

Anna Brzeska

Timothée Chalamet Elle Fanning Selena Gomez Jude Law Diego Luna Liev Schreiber

W deszczowy dzień w Nowym Jorku

scenariusz i reżyseria Woody Allen

JUŻ NA BLU-RAY | DVD





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Państwo na ręcznym

Spektakle komediowo-farsowe rozgrywające się ostatnimi czasy w naszym kraju – ojczyźnie krzywd wszelakich, które wyrządzano zawsze nam, a my ich nigdy nikomu – sprawiają, że dotkliwie postępuje inflacja śmiechu. Od dawna już wiadomo, że kiedy samo życie wyprzedza kabaret, kiedy realni bohaterowie fruwają na skórkach od banasia, przepraszam, banana, i rzną łbami o podłoże, trudno wymyślać historie jeszcze śmieszniejsze. Kiedy na okrągło oglądamy paradę złotoustych Suskich, kiedy do Trybunału Konstytucyjnego zostają wprowadzeni przez władzę wykonawczą Piotrowicz z Pawłowicz, kiedy prezes NIK staje się mistrzem uników w składaniu rezygnacji, do której przymusza go nieskutecznie na niespotykaną miarę (jeśli chodzi o swoich mianowantów) sam prezes Kaczyński, kiedy w konsekwencji wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE Sąd Najwyższy uznaje, że tzw. Izba Dyscyplinarna nie jest sądem, a Krajowa Rada Sądownictwa nie jest niezależna od rządu – a przedstawiciel tej ostatniej udaje, że nie słyszy, co się do niego mówi – to już nie opadają nawet ręce, bo nie mają dokąd.

Oczywiście można uznać, że tempo posypania się PiS w ostatnich tygodniach imponuje skalą, ale tak naprawdę ten moment musiał nadejść z siłą konieczności – politycznego wodospadu. Polska *de facto* od kilku lat jest rządzona w sposób pozakonstytucyjny, archaiczny, na modłę małej, despotycznej monarchii sprzed stuleci. 40-milionowym europejskim krajem dyryguje, całkowicie poza jakimkolwiek systemem odpowiedzialności, szeregowy poseł, szef partii rządzącej. Deformując instytucje, naruszając zasady i reguły ustanowione konstytucją (której martwota na wielu polach widoczna była skądinąd już dużo wcześniej), miał na celu jedynowładztwo. Nic w partii, rządzie, kraju nie miało prawa się zdarzyć bez jego wiedzy, akceptacji czy przyzwolenia. Zniknęły wszystkie kryteria (nie że-

by wcześniej funkcjonowały wzorcowo) przydatności do spożycia w maszynierii władzy oprócz jednego: ten człowiek jest nasz. Czyli nietykalny, niesprawdzalny, nieweryfikowalny, nieodwoływalny. Chyba że upublicznione zostaną przez nieprzejęte do końca media ekscesy, wybryki, gafy i inne wyskoki, których nawet własny elektorat nie kupi – to się go zdejmie z oczu, przesunie gdzie indziej i tam da ponadgodziwie zarobić. Ale tak współczesnym państwem rządzić się nie da, to jest nieogarnialne. Tak mógł brylować sobie udzielny książę 300 lat temu – tak się nie da organizować życia sporej wielkości państwa. Nie ma możliwości, żeby się nie pomylić, nie przeoczyć, nie zareagować za późno, a co najgorsze – na oczach wszystkich nieskutecznie.

Mleko kompromitacji się rozlało. Prezes jest nagi, bezsilny, bez władzy.

Jarosław Kaczyński, marzący od zawsze o byciu „emerytowanym zbawcą narodu” (takim wyznaniem podzielił się ponad 20 lat temu z wywiadującą go Teresą Torańską), od kilku lat ogrzewał się w gabinecie na Nowogrodzkiej poczuciem, że sen się spełnił. Że marionetkowość działa. Że na pstryknięcie palcami (jeśli akurat to potrafi...) powołuje i odwołuje premierów, rządy, że władza bezwolnym parlamentem, że na każde skinienie ma podpis umownej głowy państwa, zwanej dotąd prezydentem. Że sam jeden włada wszystkim i wszystkimi. I przed nikim nie musi się tłumaczyć, za nic nie odpowie, jak to sam określił, wparowując onegdaj na trybunę sejmową: cała władza poza jakimkolwiek trybem. I nagle ziarno piasku w tym beztrybowym kole autorytarnej władzy, jeden kamyczek nie do zmiążdżenia, przynajmniej w tempie, do jakiego prezes przywykł, czyli natychmiast.

Namaszczony na szefa konstytucyjnej Najwyższej Izby Kontroli, wcześniejszy

wice- i minister finansów Marian Banaś, który z racji swoich uwikłań nigdy nie powinien pełnić tych funkcji, nie dał się zmusić do ustąpienia. I nie ma formalnych mocy, żeby go ze stanowiska usunąć. Mafijny zabieg, polegający na zwolnieniu jego syna z wysokiej posady w państwowym banku – nie zadziałał. Może za chwilę zadziała coś innego, akurat takich pomysłów tej władzy, próbującej karać sędziów za wydawanie wyroków nie po jej myśli, nie brakuje. Ale mleko kompromitacji się rozlało. Stało się to, co u Andersena – prezes jest nagi, bezsilny, bez władzy. Mylił się nieraz, ale odwoływał raz za razem, bez zmużenia oka i bez jęku sprzeciwu. A tu widowiskowo nadział się na pancernego Mariana i odbił jak od muru, którego ist-

nienia nawet nie podejrzewał. Takie obnażenie niemocy władcy może pozornie cieszyć (nie rozśmieszać). Tak naprawdę jednak zapowiada zarówno bez-

pardonową walkę o sukcesję (jeśli Banaś pokonał Kaczyńskiego, to może on?), jak i demonstrację siły wobec innych słabszych. Polska będzie teraz płacić cenę za oddanie władzy małemu księciu. A świat jest gdzie indziej. Szkoda nas, szkoda kolejnej dekady. Tylko Kaczyńskiego mi nie szkoda. Ale co to za pociecha? Nawet już nieśmieszna.

ROMAN KURKIEWICZ

HALO RADIO
MEDIUM OBYWATELSKIE

PONIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
CZWARTEK / 21:00 - 23:00

SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

Zuzanna Muszyńska

12 grudnia odbędą się w Wielkiej Brytanii przedterminowe wybory parlamentarne. 181 tygodni po referendum brexitowym może dojść do trzeciej z kolei zmiany na fotelu premiera. Ale ktokolwiek na nim zasiądzie, na pewno będzie absolwentem elitarnej szkoły.

Robert Verkaik, autor książki „Posh Boys: How the English Public Schools Ruin Britain” (Salonowi chłopcy. Jak angielskie szkoły prywatne rujnują Brytanię), twierdzi, że Anglia jest placem zabaw chłopców z męskich szkół prywatnych, takich jak Eton College, do którego uczęszczał premier Johnson. Im bliżej grona brexitosprawców, tym wyższy odsetek absolwentów elitarnych szkół średnich i wyższych.

Bogaci w służbie biednych

Najbardziej znane elitarne szkoły mają długą historię. Winchester College przy Oxford University ufundował niejaki William z Wykeham w 1382 r., Eton powstało w 1440 r., St Paul's w 1509 r., Westminster – w 1560 r. Szkoły te, zwane wtedy publicznymi, miały zapisaną w statutach minimalną liczbę najbiedniejszych uczniów. Jednak tylko dzieci z bogatych rodzin zapętniały szkolną kasę.

Według Roberta Verkaika od początku szkołom publicznym towarzyszyły snobistyczne praktyki. Uczniom z warstw niższych groziły obelgi i wykluczenie, dostawali najgorsze miejsca w bursach, a posiłki jedli później, w Eton – przy osobnych stołach. W system inicjacji wpisana była przemoc, do której stosowania prawo mieli prefekci – uczniowie seniorzy, wyznaczeni do opieki nad młodszymi. Biedniejsi uczniowie, podobnie jak ubożsi nauczyciele, chętnie pełnili służbę u bogatych kolegów. Tak narodził się system faggingu. *Fagmaster* miał nieograniczoną władzę nad „podopiecznym”.

W Eton po brutalnych meczach przypominającej rugby *wall game* zmaltretowane, ledwo żywe ofiary pozostawiano samym sobie. Zadawać i przyjmować ból w równych proporcjach, krzawić ducha zespołowego, tłumić indywidualizm, rozwijać



Brexit a sprawa szkolna

Im bliżej grona brexitosprawców, tym wyższy odsetek absolwentów elitarnych szkół średnich i wyższych

odwagę i lojalność – po takim treningu z boisk rugby, futbolu i krykieta schodzili gotowi do zadań żołnierze, misjonarze i zarządcy Imperium. W I wojnie światowej z 900 tys. poległych aż 35 tys. kształciło się w szkołach prywatnych. Na frontach II wojny światowej połowa generałów dywizji kończyła jedną z 26 czołowych szkół prywatnych. Początkowe, niekorzystne doniesienia z frontu tak komentował George Orwell: „Prawdopodobnie bitwa pod Waterloo została wygrana na boisku Eton, lecz początkowe bitwy kolejnych wojen zostały na nim przegrane”. Również za kryzys

sueski z 1956 r. – kojarzony z ostatecznym zmierzchem Imperium – odpowiadali, zdaniem Verkaika, alumni szkół prywatnych, którzy zdominowali rząd premiera Edena.

Gdy w latach 80. thatcherzyści próbowali postawić szkolnictwo na głowie – plan całkowitej prywatyzacji wyciekł do prasy i został częściowo unicestwiony – w Eton College uczył się Boris Johnson. Młodzieży przypomniano co dzień podczas porannego apelu o budowniczych Imperium. Co zrobicie, pytano, by tamten sukces powtórzyć? Więc zrobili – brexit.

Brexit to tylko gra

Partię Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) założył w 1993 r. prof. Alan Sked, eurosceptyk. Jedynym jej celem było opuszczenie Unii Europejskiej. Niedofinansowana i źle zorganizowana, ustąpiła miejsca Referendum Party, powołanej przez multimilionera Jamesa Goldsmitha.

Goldsmith, potomek przybyłych z Niemiec w XVI w. Goldschmidtów, nie odziedziczył wiele z fortuny zubożałego rodu, ale mógł się cieszyć – nieukończoną – edukacją w Eton. Dorobił się na ryzykownych inwestycjach. Część zdobytej fortuny postanowił przeznaczyć na brexit. W kampanii wyborczej 1997 r. jego partia zdobyła zaledwie 2,6% głosów. Kilka

Przybysze z daleka, ubrani w trzyczęściowe garnitury, są ozdobą miasteczka Eton.

miesiące później Goldsmith zmarł na raka. Większość członków Referendum Party przeszła pod skrzydła Nigela Farage'a.

Młodego Farage'a pamiętają w Dulwich College, jednej z najstarszych szkół prywatnych, przede wszystkim z powodu faszyzujących poglądów. W czasie kampanii brexitowej „Independent” opublikował anonimowy list o poczynaniach Farage'a w czasach szkolnych. Ktoś przypomniał sobie jego fascynację własnymi inicjałami, NF, takimi samymi jak skrót od National Front (Front Narodowy, partia białych suprematystów). W pamięci kolegi zapisały się również antysemickie zaśpiewy Nigela: *gas'em all, gas'em all, gas'em all* („Żydz do gazu” w wersji polskich neonazistów). Farage nie wyparł się niczego. Przypisał swoje zachowania zwyczajnej ponoć młodszej fascynacji ekstremizmami. Autora listu oskarżył o emocjonalne nieogarnięcie tematu brexitu. Dulwich College tego nie skomentował.

Farage, podobnie jak Goldsmith, dorobił się w City jako makler giełdowy, po czym przerzucił się na lukratywną działalność antyestablishmentowca.

Czy chodziłeś do szkoły?

Jest wysoce prawdopodobne, a według Verkaika niemal pewne, że premiera Camerona ekscytowało ryzyko, gdy stawiał wszystko na brexitową kartę. Od lutego do czerwca 2016 r. Brytyjczyków zalano ściekiem kłamstw. Była to najbardziej nieuczciwa kampania w historii kraju. Boris Johnson porównywał Unię Europejską do nazistów, David Cameron groził, że wyjście z Europy skończy się wojną. Verkaik oskarża Camerona o kampanijną woltę w imię lojalności wobec paczki starych etończyków – poświęcił dla nich swój cel i walczył dalej po dżentelmeńsku, czyli nijak. Vince Cable, minister biznesu w rządzie Camerona, ocenił debatę brexitową jako „dwie grupy uczniów bijących się na poduszki w internacie”.

Johnson nazajutrz po referendum wycofał najważniejsze kampanijne deklaracje i pojechał na mecz kry-

kieta. Cameron zrezygnował z polityki. Podpisał wartą 800 tys. umowę z wydawcą na publikację wspomnień i zajął się biznesem. „W obliczu nieistniejącego już Imperium Brytyjskiego i z ludnością sprzeciwiającą się praktycznie wszystkim przedsięwzięciom militarnym Europa wydaje się jedynym (bezpiecznym) patriotycznym placem zabaw w miasteczku. Skrzykując najwierniejszych i wywołując w nich walecznego ducha, politycy mogą uderzać

Anglia jest placem zabaw chłopców z męskich szkół prywatnych, takich jak Eton College, do którego uczęszczał premier Johnson.

w churchillowskie tony bez robienia czegokolwiek”, pisze Verkaik. Brytyjczy, którym było dotychczas obojętne, jakie elity nimi rządzą, brukselskie czy westminsterskie, nagle obudzili się w innym kraju.

Oprócz wsparcia finansowego kwotą 24 mln funtów kampania brexitowa otrzymała wielką pomoc „moralną” od starych etończyków. Cambridge Analytica, doskonała maszyna do produkcji emocji, której firmą matką jest SCL Group braci Oakes (Eton), zagrała na antyimigracyjnych nastrojach i przyniosła zwycięstwo.

Baza danych starych etończyków zawiera 16 tys. adresów z całego świata. Alumni rozpoznają się po akcencie i krawatach, a także słynnym powiedzeniu: „Czy chodziłeś do szkoły?”. Premierzy, były Cameron i obecny Johnson, nie tylko chodzili do tej samej szkoły, ale również brali udział w tych samych rozróżach studenckich. Ten drugi za stłuczone okno w restauracji miał przesiedzieć noc w areszcie. Nie pomogło mu to, gdy w czasie zamieszek w Londynie w 2011 r., za jego burmistrzowania, grillowali go dziennikarze.

Państwa w państwie

W 2001 r. dwóch młodych hakerów odkryło kartel cenowy, włamując się do poczty elektronicznej administracji swojej szkoły w hrabstwie Kent. Uwadze ekonomistów nie uszła groźba powstania „bańki czesnego”. W 2006 r. weszła w życie ustawa kontrolująca charytatywny

status szkół prywatnych. Działalność edukacyjna miała odtąd nie wystarczać do zwolnienia szkół z podatku korporacyjnego. Skończyło się jednak niczym – szkoły odwołały się do Sądu Najwyższego, który nakazał kontrolowanie kryteriów charytatywności... im samym.

Za „etońskich” rządów premiera Camerona nikt się nie spodziewał dokonywania rewolucyjnych zmian w szkolnictwie. Natomiast rekordowo nieelitarny rząd Theresy May ruszył na wojnę ze szkołami prywatnymi. Dostały wybór: albo zwiększą nabór uczniów z niższych klas społecznych i zachowają dofinansowanie z kasy państwowej, albo stracą status instytucji charytatywnych.

Niestety, rząd May wraz z utratą większości w parlamencie szybko stracił zainteresowanie walką na kilku frontach.

Gdy premier w pierwszych tygodniach urzędowania negocjowała brexit, 11 maturzystów z Eton zasiadło przy marmurowym stole na Kremlu (Theresa May ciągle czekała na zaproszenie od prezydenta Putina). Etończykom pomógł w zorganizowaniu spotkania bp Tichon, duchowy przewodnik Putina, który gościł w Eton jako prelegent. Rady, jak rozmawiać w czasie dwugodzinnej wizyty, by nie zdenerwować prezydenta, udzielił chłopcom Peter

Baza danych starych etończyków zawiera 16 tys. adresów z całego świata.

Reznikov, etoński nauczyciel podejrzewany o związki z KGB. Szkoła nie autoryzowała spotkania. Media w Moskwie i Londynie odkryły sekret i zrobiły wokół „jedenastki z Eton” wielki dym.

KGB doskonale wie, gdzie opłaca się rekrutować – w inkubatorach elit politycznych. Przygodę z agentami miał m.in. młody David Cameron, podróżujący po Krymie pomiędzy maturą w Eton a studiami na Oksfordzie. Agenci potrafią liczyć – w latach 1900-1979 jedna czwarta tek ministerialnych w rządzie brytyjskim trafiła w ręce etończyków.

► Wszystko na sprzedaż

Do magicznego kręgu najlepszych szkół należą Eton, Harrow, Winchester, St Paul's, Westminster i Charterhouse. Kolejne 20 to tzw. krąg zewnętrzny. Oferując podobnie wysoki poziom nauczania, szkoły rywalizują na wartości dodane – baseny, teatry, serwisy pralnicze i taksówkowe. Zdarzają się i stajnie.

Niewielu chłopców z Eton skończyło Eton College. Przybysze z daleka, ubrani w trzyczęściowe garnitury, są ozdobą miasteczka. Od kilkuset lat jego ekonomia uzależniona jest

David Cameron i Boris Johnson nie tylko chodzili do tej samej szkoły, brali również udział w tych samych rozróbach.

od obecności szkoły. Co roku we wrześniu pierwszaki maszerują w towarzystwie rodziców do lokalnych banków po karty debetowe. Zakupy u krawca, w sklepach ze sprzętem sportowym czy meblarskich, opłaty za lekcje muzyki i wycieczki szkolne drenują kieszenie rodziców. Chłopcom sugeruje się noszenie przy sobie drobnych na napiwki dla lokajów i pokojówek. Do tego dochodzi koszt „automatycznych darowizn” na rzecz szkoły, pobieranych z kont rodziców. Sumując, rachunek opiewa na ok. 70 tys. funtów za pierwszy rok. Na konto szkoły wpływa 47 mln funtów czesnego. Dodatkowe zaplecze finansowe to obecnie pół miliarda funtów. Na majątek Eton składa się m.in. 398 budynków, wiele zabytkowych, i 175 tys. dzieł sztuki.

Pytam syna, studenta University of Surrey, co sądzą o tym wszystkim jego koledzy z akademika. – Myślą, że na całym świecie jest podobnie jak w Anglii – pada odpowiedź.

– Swoje szanse na przyszłość widzę dość optymistycznie; jestem w tej chwili zatrudniona na czas nieokreślony – mówi dr Joanna Bagniewska, wykładowczyni zoologii na Uniwersytecie w Reading i popularyzatorka nauki na Oksfordzie. – Ponieważ jestem Polką, ominęła mnie dyskryminacja klasowa; obcokrajowcy nie wpasowują się łatwo w podziały północ/południe, klasizm, elityzm.

Cały świat zjeżdża do Anglii, by kształcić swoje dzieci – dynastie

rządzące, potomstwo rosyjskich oligarchów, chińskich magnatów i baronów naftowych z Zatoki Perskiej. Spadek wartości funta jeszcze wzmocnił pozycję szkół brytyjskich jako złotego standardu. Nie tylko poziom życia w internatach i dostęp do najlepszych na świecie uniwersytetów, ale również gwarancje prywatności i bezpieczeństwa są priorytetem rodziców. W 2017 r. Eton College zatrudnił jako szefa ochrony jednego z najlepszych specjalistów od antyterroryzmu w Królestwie.

Trwa intensywny nabór zagraniczny. Praga stała się przyczółkiem dla kandydatów z Rosji, a Hongkong – z Chin. Media donoszą o przypadkach sześciocyfrowych sum „darowizn” sugerowanych rodzicom w zamian za przyjęcie dziecka. Przez kilkanaście ostatnich lat podwoiła się liczba „zamorskich” studentów Oxbridge; ekskluzywne uczelnie otwierają się na świat.

– Nie powiedziałabym, że to typowy trend – mówi dr Bagniewska. – Po prostu studenci spoza UK i UE płacą niemalże potrójne czesne, finansowo bardziej się opłaca ich przyjmować. A co do afer korupcyjnych, być może się zdarzają, na uniwersytetach natomiast powszechniejsze jest przymykanie oka na wymagania, jeśli np. nabór w danym roku był mizerny. Problem ten nie dotyczy Oxbridge ze względu na ogromną liczbę chętnych, raczej uczelni ciut gorszych.

Studenci spoza UK i UE płacą niemal potrójne czesne.

Swojej uczelni broni również Paweł Piwek, student drugiego roku matematyki na Cambridge: – Studenci rozumieją, że bogaci rodzice nie są powodem do szacunku, bo to nie efekt pracy dziecka. Szanuje się natomiast ludzi, którzy mają dobre wyniki naukowe, są w drużynie sportowej, angażują się w samorządzie studenckim albo stowarzyszeniach. Do tego stopnia, że ludzie bogatsi (a tacy oczywiście też są) nie starają się demonstrować statusu majątkowego. Nie ulega wątpliwości, że bycie bogatym wiele ułatwia w życiu,

ma się dostęp do najlepszej służby zdrowia, lepszej edukacji w szkole i poza nią. Ale nie można przecież zabronić ludziom wydawania pieniędzy na ich dzieci. Natomiast rzeczą niedopuszczalną jest oczekiwanie, żeby wydawali pieniądze na edukację dzieci, kiedy ich na to nie stać. Państwo powinno z dumą ścigać się ze szkołami prywatnymi, wspierając szczególnie zdolnych i pracowitych, którzy nie są bogaci.

– Co do atmosfery ekskluzywności – dodaje Paweł – jest zdecydowanie odczuwalna. Koledze dysponują dużymi majątkami (o Trinity College mówi się, że jest trzecim właścicielem ziemi w UK, po królowej i Kościele Anglii; to nieprawda, ale coś z rzeczywistości oddaje). Uroczystości w koledżu są wystawne, zdarzają się kolacje na srebrnej zastawie, z rocznikowym winem, podawane w obwieszonym obrazami koledżowym *dining hall* (słowo stołówka albo kantyna zupełnie tutaj nie pasuje).

Szkoła boli i oszukuje

Jeremy Corbyn uczęszczał do Adams' Grammar School, w której prefekci podczas wykonywania kar żądali, by ofiara trzymała głowę pod stołem – pod wpływem ciosu mimowolnie uderzała nią w spód blatu.

W jednym z głośnych skandali ujawniono powiązania szkół publicznych z siecią pedofilską w hrabstwie Sussex. Peter Ball, biskup z Gloucester, został skazany w 2015 r. na więzienie za molestowanie nieletnich. Listownego wsparcia udzieliło mu co najmniej czterech niezidentyfikowanych notabli szkół prywatnych. Wiadomo, że biskup był czynny zawodowo w 17 placówkach. Żadna nie zgłosiła w imieniu uczniów skarg o molestowanie.

Z badań psychologów wynika, że absolwenci szkół prywatnych mogą cierpieć na „syndrom szkoły z internatem”. Odsunięcie od najbliższych w bardzo młodym wieku powoduje traumę. Przemoc, nadużycia seksualne ze strony rówieśników i dorosłych opiekunów powodują utratę poczucia bezpieczeństwa. Dziecko buduje w sobie „defensywną tożsamość”. Bez miłości, dotyku wyrasta z niego niby-dorosły, w iluzji uprzywilejowania. W dorosłym ży-



Wall game w Eton.

ciu rządzi wewnętrzny małolat, niedopieczony i porzucony. Dlatego korytarze Westminsteru wypełniają duzi chłopcy. Boris Johnson celowo paraduje ufryzowany na niesforenego nastolatka. Przekonanie o elitarności wzmacnia jego pretensje do władzy.

Farage, Johnson, jak również Trump i Bannon, nie znają innej ścieżki do władzy niż ta, którą sami przeszli, ich motywacje podlegają zjawisku normalizacji. Podejmują na zimno ataki antysystemowe, przekonani, że sami doszli do wszystkiego ciężką pracą.

Z dawnych idei ostała się używana przez niektórych stara nazwa: szkoły publiczne. Szkoły prywatne od dawna jednak nie służą biednym. Przekazane im na ten cel darowizny znajdują się w rękach bogatych od stuleci. Wymóg pomocy społecznej traktowany jest bardzo luźno. Jako akt *pro publico bono* podaje się np., że mieszkańcom okolicy wolno korzystać ze ścieżki prowadzącej przez grunty szkolne.

W 2017 r. 1% uczniów szkół prywatnych zwolniono z czesnego. 33% uczniów otrzymało zniżki. Z 900 mln funtów udzielonej pomocy aż 200 mln pochodziło z kieszeni podatników. Gdyby bliżej się przyjrzeć liście najuboższych, znalazłoby się na niej dzieci z rodzin zamieszkujących luksusowe posiadłości – wystarczy zdolny księgowy i szkoła, która przytknie oko na jego pomysły. Lepiej stawiać na najbogatszych, którym w zaciszu szkolnych murów prze-

kazuje się porady, jak unikać *chavs* (*council housing and violent* – mieszkanie osiedla socjalnego i agresywny). Młody arystokratyczny *toff* może grzeszyć na wiele sposobów, ale jednego mu się nie wybaczają – bycia prostakiem. Na mecz rugby drużyny *toffów* pojedą na drugi koniec Anglii, byle grać z równymi sobie i nie musieć słuchać okrzyków *chavów*. Dwuligowy system oświaty wychowuje dwuwarstwowe społeczeństwo.

Za słabą silną wolą

15% dorosłych obywateli ma zerowy lub negatywny (pożyczki) udział w łącznym kapitale netto Królestwa, który wynosi 12,8 bln funtów (nieruchomości i oszczędności, w tym emerytalne). 14 mln Brytyjczyków

John Major wprowadził do swojego gabinetu 72% ministrów ze szkół prywatnych, rekordzistka Margaret Thatcher – 91%.

żyje w biedzie. Mobilność społeczna wykazuje tendencję spadkową. Pokolenie milenialsów pierwszy raz w czasach nowożytnych zarobi prawie na pewno mniej niż jego rodzice.

Silna rodzina, silna społeczność, silne relacje w wielkim społeczeństwie (Cameron), wspólnym społeczeństwie (May). Społeczeństwo dla wielu, nie dla kilkorga – tym hasłem wyborczym Jeremy Corbyn zmierzy się z „dokończmy brexit” Johnsona.

Corbyn zastąpił w szkole jako rebeliant, pacyfista i zapalony uczestnik debat. Jeśli zostanie premierem, czy zdoła odkupić grzechy swoich poprzedników? Oczywiście trudno byłoby mu pobić rekordy elityzmu u torysów – co drugi członek gabinetu Davida Camerona kształcił się w szkołach prywatnych, w gabinecie premier May co trzeci, u Borisa Johnsona dwóch na trzech. 45% obecnych ministrów może się pochwalić dyplomem z Oxbridge. Ale Johnson i tak jest ostatni na podium, John Major wprowadził do swojego gabinetu 72% ministrów ze szkół prywatnych, rekordzistka Margaret Thatcher – 91%.

Skoro liczby nie kłamią, Robert Verkaik proponuje wyliczankę: uczniowie szkół prywatnych to 7% ludności kraju, 17% posłów Partii Pracy, 38% torysów i ok. 50% członków konserwatywnych rządów. Wśród brexitowców chłopcy z elitarnych szkół stanowią 100%.

Co w takim razie postuluje Verkaik, by dźwignąć piątą gospodarkę z 25. miejsca w edukacyjnych tabelach? Jego zdaniem trzeba by stopniowo, bezboleśnie uśpić szkoły prywatne, a ich majątek przekazać na cel, któremu miały służyć od samego początku – oświatę dla najuboższych. Łatwo napisać, trudno wykonać, nawet jeśli Partia Pracy wygra wybory i zdoła przeprowadzić najbardziej radykalne reformy socjalne od czasów thatcheryzmu.

Najdroższa w kraju prywatna szkoła średnia znajduje się w hrabstwie Surrey niedaleko Guildford. W 2017 r. czesne za rok nauki w Hurtwood House wyniosło 42 267 funtów. Mój syn i jego koledzy studiują (też płacąc – 9250 funtów rocznie) kilka mil na zachód. Wieczorami spotykają się przy wspólnym stole i rozmawiają o swoich marzeniach. Takich zwyczajnych, by robić to, co lubią: dobrze zarabiać, podróżować.

Zuzanna Muszyńska

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Nowe władze, niepewna przyszłość

Członkowie SPD wybrali nowych przewodniczących. Ale czy to coś zmieni?

Po wielomiesięcznych przepechankach niemieccy socjaldemokraci wybrali wreszcie nowe kierownictwo. Przy czym wbrew oczekiwaniom ostatnią turę wyborów wygrali nie obecny wicekanclerz Olaf Scholz i Klara Geywitz, lecz Norbert Walter-Borjans i Saskia Esken, należący do rozłamowców koalicji CDU/CSU-SPD.

Po raz pierwszy na czele partii Willy'ego Brandta stanął tandem, ponieważ socjaldemokraci ulegli modzie na podwójne przywództwo, zapoczątkowanej przez Zielonych i Lewicę. Tak czy inaczej ta wiadomość może zaniepokoić niektórych ministrów rządu federalnego, skądinąd przekonanych, że dopłyną na topniejącej krze do kolejnych wyborów parlamentarnych w 2021 r. Tymczasem z nowym kierownictwem przyszłość Wielkiej Koalicji jest niepewna. Na ostatnim zjeździe SPD jej nowi przewodniczący dali wprawdzie do zrozumienia, że nie zamierzają bez powodu rozsadzać rządu, ale wcześniej mówili zupełnie co innego. Zresztą wśród socjaldemokratów pojawił się entuzjazm, niewątpliwie związany z nowym szefostwem, i trudno przypuszczać, że ten kurs nie zostanie w przyszłości utrzymany. Zwłaszcza że Borjans nadal uważa, że w niektórych kwestiach, takich jak ochrona klimatu bądź uporczywe trzymanie się „czarnego zera” (zrównoważonego budżetu), potrzebne będą decyzje bardziej lewicowe niż te, które do tej pory zapadały.

Jednak nowi przewodniczący SPD nie przedstawili jeszcze żadnych konkretnych planów. Borjans i Esken prowadzili kampanię w imię mglistych obietnic powrotu do lewicowych korzeni, a teraz (przynajmniej na razie) sprawiają wrażenie, jakby sami byli trochę zaskoczeni zwycięstwem. Miesiącami starali się rozbudzić emocje krytykowaniem tego, że ich partia dryfuje za bardzo ku centrum. Okazuje się, że lata tkwienia w Wielkiej Koalicji zredukowały SPD do roli przystawki chadeków i obraz ten w medialnym przekazie jest jeszcze tak mocny, że śmiało można go uznać za jedną z podstaw jej dzisiejszej tożsamości. Niemniej

jednak większość socjaldemokratów przyjęła nominację Borjansa i Esken z wyraźną aprobatą. Ich partia od dawna jest pod medialnym ostrzałem i przegrywa wybory, dlatego cieszą się, że choć przez chwilę mogą okazywać szefostwu sympatię, zamiast je potępiać.

Kim są nowe twarze na czele partii? Jedno jest pewne – nowi przywódcy nie wywodzą się z pierwszego szeregu SPD.

Tropiciel przestępców

Przed odejściem Andrei Nahles ze stanowiska szefowej SPD w maju 2019 r. 67-letni Norbert Walter-Borjans był już właściwie politycznym emerytem, objeżdżającym kraj z wykładami. Urodził się w nadreńskim Krefeldzie, gdzie uczęszczał także do

rwąta Borjansowi klęska wyborcza SPD w 2005 r. W następnych latach był m.in. radnym Kolonii i dalej pracował jako doradca. W 2010 r. otrzymał kolejną szansę w wielkiej polityce, którą wykorzystał z nadadkiem. Jako minister finansów w rządzie Hannelore Kraft zasłużył na przydomki tropiciela przestępców podatkowych. Dzięki jego nieustępliwości ujawniono nazwiska wielu zamożnych Niemców, którzy wyprowadzali dochody za granicę, chcąc je ukryć przed niemieckim fiskusem. Na „liście Borjansa” znalazł się m.in. były prezes Bayernu Monachium Uli Hoeness, którego skazano potem na kilkuletnią odsiadkę. Funkcję ministra finansów w Nadrenii Borjans pełnił do roku 2017, w którym wyborcy odsunęli SPD i Zielonych od władzy. Miał wtedy prawie 65 lat i chciał

Nowi przywódcy nie wywodzą się z pierwszego szeregu SPD. Sprawiają wrażenie, jakby byli zaskoczeni zwycięstwem.

liceum. Potem studiował m.in. informatykę w Bonn, a w 1982 r. ukończył studia doktoranckie z ekonomii na Uniwersytecie w Kolonii. Borjans został tam następnie zatrudniony jako pracownik naukowy, wyrobiwszy sobie z czasem reputację świetnego analityka rynków finansowych. Jego zdolnościami zainteresował się wkrótce lokalny rząd w Düsseldorfie, któremu Borjans zaczął posyłać swoje ekspertyzy ekonomiczne. W 1991 r. został rzecznikiem prasowym premiera Nadrenii Północnej-Westfalii i późniejszego prezydenta Niemiec Johanna Raua. Po krótkim epizodzie w Ministerstwie Finansów Kraju Saary (1998-1999) pracował przez pięć lat jako doradca gospodarczy, zanim w 2004 r. premier Nadrenii Peer Steinbrück ściągnął go znów do Düsseldorfu. Pracę w lokalnym Ministerstwie Gospodarki prze-

wieść spokojne życie w domowym zaciszu. Czy ktoś, łącznie z nim samym, mógł przypuszczać, że dwa lata później zostanie szefem najstarszej niemieckiej partii?

Niezapisana kartka

O ile Borjansa szersza publiczność zainteresowana polityką zna, o tyle 58-letnia Saskia Esken jest nową postacią. Urodziła się w Stuttgartu. Studiowała germanistykę i politologię, choć zdecydowała się na zawód informatyka i wciąż uchodzi za znakomitą ekspertkę w dziedzinie cyfryzacji. W Bundestagu zasiada od 2013 r., wcześniej była politykiem powiatowym. W prasie pojawiała się rzadko, przeważnie w roli tępicieli Schröderowskiej Agendy 2010. Jest przedstawicielką lewego skrzydła SPD oraz zwolenniczką jednego



Po raz pierwszy na czele SPD stanął tandem: Norbert Walter-Borjans i Saskia Esken.

z najgorliwszych krytyków Wielkiej Koalicji i dryfowania partii ku centrum, Kevina Kühnerta, szefa partyjnej młodzieżówki Jusos. Uchodzi za bardziej radykalną część nowo wybranego tandemu, znacznie głośniejszą sugerującą rozstanie się socjaldemokratów z rządem Angeli Merkel.

W debatach telewizyjnych poprzedzających ostatnią turę wyborów zarzucała ministrowi finansów Ołafowi Scholzowi, że nie jest prawdziwym socjaldemokratą. Gdy więc Borjans odgrywa rolę mediatora między lewą frakcją SPD a obrońcami Wielkiej Koalicji, jego współprzewodnicząca jest twardą wyrażicielką opinii, że obecny rząd RFN pod wodzą Merkel nie wypełni umowy koalicyjnej. Warunkiem pozostania w Wielkiej Koalicji będą zatem nowe, wielomiliardowe wydatki na cele socjalne i ekologiczne, w tym na wprowadzenie minimalnej płacy za godzinę w wysokości 12 euro (obecnie wynosi ona ok. 9 euro). Wówczas jednak rząd federalny musiałby odstąpić od polityki „czarnego zera”, czyli zrównoważonego budżetu, która za czasów Wolfganga Schäublego urosła do rangi racji stanu, i zdobyć się na większe inwestycje. Choć nie brakuje u socjaldemokratów takich osób jak Scholz, przestrzegających partyjnych kolegów przed naiwną wiarą w opowieść o wielkiej kasie,

która może zostać odmrożona i spłynąć kaskadą z niemieckich lodowców. Nawiasem mówiąc, ciągnący się od miesięcy proces wyborczy w SPD raz jeszcze ujawnił skrajne podziały w tej partii, czego potwierdzeniem był zresztą wynik wyborów. Borjans i Esken wygrali z Scholzem i Geywitz różnicą zaledwie ośmiu punktów procentowych.

Wielka Koalicja na włosku

Przetrwanie koalicji rządowej CDU/CSU-SPD do końca kadencji w 2021 r. uchodzi więc za jeden z najmniej prawdopodobnych wariantów. Tym bardziej że i wśród chadeków rośnie niechęć do niewygodnego sojuszu, przeradzająca się już w nieskrywany opór przeciwko kanclerz Merkel i szefowej CDU Annegret Kramp-Karrenbauer, które „podcięły partii jej konserwatywne skrzydła”. Niemiecka chadecja jeszcze nie okrzepła po wstrząsie, jakim były ostatnie dobre wyniki wyborcze skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec we wschodnich krajach związkowych. Odwieczny rywal szefowej rządu Friedrich Merz przed ostatnim zjazdem partyjnym nazwał obecną politykę CDU fatalną i okropną. Nie tylko jego zdaniem niemieccy konserwatyści płacą cenę za odruch

dryfowania ku centrum i brak liderów, którzy łączyliby talent polityczny ze zdecydowaniem.

Na razie czołowi politycy CDU i CSU wzywają jednak nowe kierownictwo SPD do podtrzymania umowy koalicyjnej. – Zawarliśmy na początku kadencji z naszym koalicyjantem dobrą umowę i nie widzę powodu, aby na półmetku cokolwiek w niej zmieniać – uważa Kramp-Karrenbauer. Podobnego zdania są wiceszefowa CDU Julia Klöckner oraz sekretarz generalny tej partii Paul Ziemiak. Do przetrwania w rządzie nawołuje SPD także Zawodowcy Zrzeszenie Związków Zawodowych (DGB). Natomiast do wyjścia z koalicji i zawarcia nowych sojuszy wzywa socjaldemokratów Die Linke. – Niemcy potrzebują wyraźnych zmian społeczno-gospodarczych, które są możliwe jedynie dzięki koalicjom na lewo od chadecji – przekonywała współprzewodnicząca Lewicy Katja Kipping w wywiadzie dla dziennika „Berliner Morgenpost”. Z nowym kierownictwem SPD czerwono-czerwony sojusz na szczeblu federalnym jest całkiem możliwy. W ostatnim wydaniu programu „Anne Will” kamery i mikrofony uchwyciły niezaprzeczalne porozumienie i dobrą chemię między paniami Esken i Kipping. Mimo powtarzanych od lat zapowiedzi, że Die Linke już za ▶

► chwilę rozpadnie się i straci poparcie, opozycja na lewo od SPD utrzymuje mocny przyczółek. – Potrzebujemy energicznej SPD i silnej Lewicy – powtarza szefowa Die Linke.

Od jednoznacznego przekazu uchylają się na razie jedynie Zieloni, którzy notują ostatnio zyski w sondażach (w niektórych nawet do ok. 24%), będąc bodaj największym beneficjentem strat partii ludowych i pretendując do roli głównej siły po lewej stronie. Przewodniczący Die Grünen Robert Habeck nie wyklucza koalicji ani z CDU, ani z SPD i Die Linke, ponieważ wszystkie te sojusze sprawdzają się również na szczeblach lokalnych. Zieloni chętnie przejęliby po SPD pałeczkę największej partii na lewo od chadecji, choć w ewentualnym czarno-zielonym sojuszu mogliby wpaść w podobną pułapkę jak tracący swój elektorat socjaldemokraci.

Zielony kanclerz?

Dlatego wielu niemieckich komentatorów uważa, że bardziej prawdopodobnym scenariuszem byłby już model lewicowej koalicji SPD-Lewica-Zieloni, zwłaszcza że ugrupowanie Habecka marzy o swoim pierwszym kanclerzu w historii powojennych Niemiec. To marzenie może jednak się ziścić wyłącznie w porozumieniu z lewicowymi partiami, nad którymi – jeśli wierzyć obecnym sondażom

– Die Grünen mieliby wciąż wyraźną przewagę, a tym samym prawo do wystawienia kandydata do Urzędu Kanclerskiego. Natomiast w sojuszu z chadecją i liberałami z FDP, zwanym potocznie jamajskim, Zieloni musieliby się zadowolić rolą młodszego partnera, względnie kilkoma ministerstwami. Zresztą trudno sobie wyobrazić, że Habeck zasiadłby powtórnie do stołu negocjacji z nieobliczalnym szefem FDP Christianem Lindnerem, który już raz nieoczekiwanie położył kres nadziejom na utworzenie jamajskiego rządu.

Tak czy inaczej, dotrwanie Wielkiej Koalicji do 2021 r. jest wątpliwe i politycy partii rządzących są na to przygotowani. Budżet Niemiec na 2020 r. został przegłosowany dzień przed ogłoszeniem wyborów w SPD. Dzięki temu możliwy stał się wariant rządu mniejszościowego, choć sama Angela Merkel stanowczo go odrzuca. Prędzej zgodziłaby się na przedterminowe wybory, choć te byłyby jednoznaczne z przedwczesnym

podobny wariant wymagałby silnej i energicznej SPD. Tymczasem mimo zmiany kierownictwa przyszłość tej partii jest jeszcze nieokreślona.

Porażka starego wyjadacza

Na pierwszy rzut oka zmiana kierownictwa SPD to wyraźny sygnał odrzucenia przez większość Wielkiej Koalicji. Prawie wszyscy bukmacherzy polityczni stawiali wcześniej na starego wyjadacza Olafa Scholza, który ze swoim stoickim spokojem pewnie przeprowadziłby partię przez rafa kolejnych kryzysów. Wszystkie iskierki nadziei w lewym skrzydle obecny wicekanclerz gasił dotąd skutecznie chłodnym pragmatyzmem. Tyle że teraz większość partyjnych kolegów położyła kres jego kanclerskim ambicjom. Scholz chciał być następnym po Gerhardzie Schröderze szefem rządu z ramienia SPD, ale niestety zabrakło mu argumentów. W wyborach mających wyłonić nowe szefostwo podjął zatem ostatnią

Co drugi socjaldemokrata jest na emigracji wewnętrznej, odrzucając nowych przewodniczących.

końcem jej kariery, którą chciała zakończyć dopiero za dwa lata. Przy czym w wypadku rozpisania nowych wyborów pojawia się nieuchronnie pytanie o kandydata chadecji na szefa lub szefową rządu. W każdym razie Annegret Kramp-Karrenbauer raczej nią nie zostanie.

Sondaże są dla nowej przewodniczącej CDU katastrofalne, także we własnym ugrupowaniu uchodzi ona za osobę, której wypowiedzi i działania rażą naiwnością, lekceważeniem i gniewnym odrzucaniem wszelkiej krytyki. Częściej w prasie niemieckiej pojawia się w tym kontekście nazwisko premiera Bawarii i szefa CSU Markusa Södera, który coraz śmielej zaznacza obecność również w politycznym Berlinie. Jedno jest pewne: bez względu na to, czy Wielka Koalicja dotrwa do 2021 r., do nowej jej odsłony na pewno tak szybko nie dojdzie. Lecz także we wspomnianym wyżej modelu SPD-Lewica-Zieloni, niewątpliwie stanowiącym krzepiącą i efektowną konstrukcję publicystyczną, przy bliższym spojrzeniu dostrzeżemy słabo trzymające szwy. Jak bowiem zauważyła Katja Kipping,

próbę wysadzenia fortecy młodych wilków, choć teraz raczej skończy na baszcie, jaką jest Ministerstwo Finansów w Wielkiej Koalicji. Chciał być odnowicielem, ale jego zamysły zostały udaremnione najpóźniej wtedy, gdy został zmuszony do wtórczenia swoich ambicji w formułę nadaną przez Angelę Merkel. A z drugiej strony czy odnowicielem SPD ma być 67-letni polityk, który już jedną nogą był na emeryturze?

Zresztą wygrana Borjansa i Eskena na razie nie zmieniła mieszanych nastrojów w partii. Co drugi socjaldemokrata jest na emigracji wewnętrznej, odrzucając nowych przewodniczących. Czy młody buntownik Kevin Kühnert, który przehorsował swoich kandydatów, sprawdzi się w przyszłości w bardziej odpowiedzialnej funkcji i zjednoczy zwaśnione frakcje? Czy SPD znów wypierze w sondażach Zielonych? Trudno sobie to wyobrazić. Obecna sytuacja niemieckich socjaldemokratów przypomina raczej postępującą degrengoladę w obozie francuskich socjalistów.

Wojciech Osiński



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Marian, trzymaj się!

Przeoglądałam listy od Jerzego Giedroycia, potrzebny mi ten, gdzie namawia mnie do napisania książki, którą właśnie napisałam. Nie mogę tego listu znaleźć. Już tracę nadzieję, gdy nagle jest! Widzę ze smutkiem, że część listów od Redaktora wyblakła, zapadła się w biel, są zupełnie nieczytelne. W ostatniej fazie istnienia „Kultury” Giedroyc stał listy faksem, a okazało się, że tusz z faksu ulatnia się jak puch na wietrze czasu. Pamiętam rok bodaj ’88, jesteśmy w redakcji „Res Publici”. Michał Komar rozmawia z Marcinem Królem, pyta, czy wiemy, że jest takie nowe, niezwykle urządzenie, nazywa się faks. Dziwna nazwa, nie mamy pojęcia, co to jest. Jakiś czas później kupiłem sobie to urządzenie i stałem z niego teksty do „Kultury”. Tą drogą czasami dostawałem od Redaktora listy. Nie zawsze to było proste, papier się zacinał, odbieranie faksów niekiedy przypominało odbiór porodu, zdawało się, że kartki wychodzą w bólach. Nie minęło wiele lat i internet zabił faks. Oto niezwykle wynalazek, który żył niezwykle krótko. A to zanikanie druku i obrazu dotyczy nie tylko tekstów slanych faksem, niemal wszystko, na czym teraz piszemy i czym piszemy, jest z nietrwałych materiałów. Zdjęcia z lat 70. już tracą kolor. To, co piszemy na komputerze, zniknie, rozplyną się w niebyt chmury, w których coraz częściej przechowujemy informacje. Mało kto drukuje listy pisane na komputerze, a jeśli drukuje, to nietrwałym tuszem na nietrwałym papierze. Co zostanie po naszej cywilizacji oprócz wielkiego śmietnika i ocieplenia klimatu?

Duda gra rolę karykatury prezydenta, ale gra ją dobrze.

Zrobiłem się wielkim fanem Mariana Banasia, trzymam kciuki, by nie dał się złamać przez liberalne media, a przede wszystkim przez PiS. Im dłużej będzie szefem NIK, tym lepiej. Jest jak pomnik rządów tej partii – przysadzisty, twardy facet na cokole. Takich pomnikowych postaci pojawi się w PiS więcej, czują, że to ostatnia kadencja rodziny, więc trzeba zachapać, co możliwe, za chwilę może być za późno. Jest wiadomość, że syn Banasia został w trybie natychmiastowym zwolniony z pracy. Mafia dała mu intratną robotę, a teraz mafia się mści na synu, bo tata nie słucha się ojca chrzestnego. Z drżeniem serca każdego ranka sprawdzam, czy szef NIK trwa na stanowisku, i wołam: Marian, trzymaj się!

Ja w krawacie – po raz pierwszy od bardzo wielu lat, nie lubię krawatów, za mocno trzymają za szyję. Ślub mojego syna Daniela w dawnym Pałacu Prymasowskim na Starym Mieście, teraz tam ładny hotel Bellotto. I taki był ślub. Wszystko ładne, smaczne, serdeczne. Po ceremonii obiad, przy jednym stole z rodzicami Justyny, jestem wdzięczny losowi, że nas połączyły nasze dzieci. Ale byli już naszą duchową rodziną, zanim się poznaliśmy. Mam jak najgorsze zdanie o instytucji małżeństwa, oprócz kochanych dzieci zwykle nic dobrego z tego nie wynika, ale teraz jestem optymistą, a optymizm pesymisty ma swoją wagę. Potem przyjęcie w podziemiach pałacu, tańczę po raz pierwszy od wielu lat. Są koledzy Daniela, niektórych pamiętam jako małych chłopców. Staje mi w oczach scena, gdy Daniel wraca z przyjacielem ze szkoły, mają po siedem lat, tornistry na plecach, przekomarzają się jak to dzieci, wyraźnie to pamiętam. Teraz jego przyjaciel jest sędzią. Należy więc do przeklętej kasty. Na przyjęciu

bardzo wielu prawników, adwokatów, sędziów, radców prawnych, jak mój syn. Wszyscy myślą tak samo o stanie rzeczy i mają silne emocje. Teraz wśród polskiej inteligencji nie ma letnich uczuć wobec PiS. To zawsze namiętne niechęć, taka sama płonęła tylko w stanie wojennym. Marysia, kuzynka Daniela, podchodzi do nas, mówi: byłam dzieckiem, lata 80., i pamiętam, jak rozmawialiście o polityce, tak samo jak teraz, kropka w kropkę.

Szymona Hołownię znam jako prezentera programu „Mam talent”. Ogląda ten program z pasją mój Antoś, więc my z nim, lubi, gdy mu towarzyszymy. Hołownia był sztywny i nieporadny w tej roli, szczególnie na tle świetnego Marcina Prokopa. Wiem, że oddany religii katolik, ale taki postępowy, coś pisze. Na pewno nie głupi, za pewne uczciwy. Ale moim zdaniem nie nadaje się. Jego rzecznikiem prasowym ma być Michał Kobosko. Zdziwiło mnie to. Znam go, był szefem „Wprost”, gdy pisałem tam felietony. Wydaje mi się, że od biedy Hołownia mógłby być rzecznikiem Michała Koboski. Wiem, że wybrzydzą, ale bieda z kandydatem na prezydenta. To musi być dobry aktor, w którym płonie żywy ogień i który dobrze odegra swoją rolę na scenie polityki. Duda gra rolę karykatury prezydenta, ale gra ją dobrze.



Rybnik położony jest w zagłębieniu. Wjeżdżając autem, na peryferiach po prostu widać ścianę smogu.

Śląsk pogrąża się w smogu

To, czym niektórzy palą, to nie jest normalny węgiel. Ludzie kupują z usypki albo ze składów, a te kombinują

Jakub Chęłmiński

Ile węgla w węglu

– Na Śląsku każdy miał kogoś na kopalni – mówi komendant Sumara. – Mój dziadek i brat byli na kopalni. Wychowałem się w familoku, sam paliłem, wiem, jak wygląda węgiel. I widzę na kontrolach, że to, czym niektórzy palą, to nie jest normalny węgiel. Ludzie kupują z usypki albo ze składów, a te kombinują. Na przykład mieszają gatunki węgla lepszy z gorszym, nie ma żadnej kontroli, nikt nie zajmuje się jakością. Dodają żwiru, polewają wodą, z tony robią tonę dwieście. Problem ma rozwiązać certyfikat jakości opatu, kłopot w tym, że na razie nie ma kto tego skutecznie weryfikować.

W składach węgla stanowczo zaprzeczają. Odwiedzam takie miejsce w pobliżu kopalni węgla Jankowice. Węgiel leży na wielkiej przymie, obok – już spakowany w workach.

– W nas uchwała antysmogowa nie uderzyła. Przecież ludzie muszą

czymś palić, dlatego teraz kupują lepszy węgiel typu orzech. Takie same ilości, co wcześniej flotu, choć wychodzi im drożej. Miałem nigdy nie handlowaliśmy, bo brudzi na placu, rozsypuje się, kurzy – opowiada pracownik składu. – Zmieniło się to, że w niepewnych czasach ludzie robią zapasy na zimę dużo wcześniej. Zaczynają już w sierpniu, boją się, że później zdrożeje. I mają rację. W zeszłym roku orzech zdrożał o 100 zł za tonę – przekonuje.

Norbert Stasiecki, właściciel składu opatu z miejscowości Żory (w dzielnicy Rój), też nie czuje się dotknięty zmianami.

– Flotów i miałów nigdy nie miałem u siebie. Tego nawet się nie opłaca składować na placu, bo robi się syf. Uchwała antysmogowa, jeśli mnie dotknęła, to na korzyść. Sprzedaje się dużo więcej węgla orzecha. U mnie jest po 800 zł za tonę.

Właściciel składu przyznaje jednak, że nie ma węgla najlepszej jakości, bo nie ma na niego popytu.

– Uchwała antysmogowa nic nie dała, smog jest teraz jeszcze większy.

Ludzie nie potrafią palić węglem, widzę to co wieczór na moim osiedlu. Robią jak dawniej: zasypują piec i zamykają, przez co okropnie dymi i to przez cały dzień. A powinno się porządnie rozpaść, aż zajmą się największe bryty i dopiero można zamknąć. Wtedy daje najwięcej ciepła.

Dlatego nawet najlepszy węgiel w takim zwykłym kopciuchu da może 30% energii. Więc nie ma sensu kupować najlepszego, tego po 25 000 kJ/kg, jak piec i tak tego nie wykorzysta. Musiałby mieć specjalną instalację rozpraszającą spaliny. Moim zdaniem w zwykłym domowym piecu nie osiągnie się nawet 21 000 kJ/kg, więc nie ma sensu przepłacać. Dlatego specjalnie nie sprzedają na składzie lepszego węgla, bo ludzie go nie chcą. Nie opłaca im się puszczać gotówki w komin – tłumaczy właściciel składu w Żorach.

Jego zdaniem także kopalnie mają strużę przy jakości paliwa opałowego. Nie mogą sprzedawać flotokonzentratów, a nie mają infrastruktury do ich przetwarzania, więc nie mają co z nimi robić. Dlatego dodają je

do węgla. Taką mieszaninę dobrego i złego paliwa sprzedają składom, a te – mieszkańcom. Stasiecki zapewnia, że on rozpoznaje „taki szwindel” i zmieszanego węgla od kopalni nie bierze. Ale inni dają się nabrać.

Wiosną 2018 r. aktywiści Polskiego Alarmu Smogowego sprawdzili, jaki węgiel można kupić w 15 składach opału w Małopolsce i na Śląsku. Pobrali próbki tego, czym Polacy palą w domach: węgla typu orzech, ekogroszku i miału węglowego. Analizę próbek przeprowadziło akredytowane laboratorium Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla w Zabrzu. Sprawdzano m.in. zawartość siarki, popiołu, wilgotność i kaloryczność oferowanego węgla.

Pierwszy wniosek po lekturze raportu pokontrolnego jest taki, że sprzedawcy bardzo rzadko informowali o parametrach sprzedawanego węgla. Nie było na nim etykiety z dokładnym składem chemicznym, wilgotnością czy zawartością popiołu.

Tylko w przypadku ekogroszku niektóre parametry były określone na workach. W reszcie przypadków sprzedawcy podawali jedynie kaloryczność i nazwę kopalni, odsyłając po więcej informacji na stronę producenta. Kupujący węgiel nie mieli zatem pojęcia, co kupują. A kupowali choćby węgiel o wilgotności sięgającej 20-30%. Czyli z 1000 zł wydanych na tonę węgla 200-300 zł płacili za wodę. I jeszcze mieli więcej dźwigania.

Klientów interesuje głównie kaloryczność węgla i tę chętnie sprzedawcy podają, choć trzeba wierzyć im na słowo. W 8 na 15 sprawdzonych przez aktywistów przypadkach była ona w rzeczywistości niższa od deklarowanej przez producenta. W przypadku najgorszej z próbek – jednego z miałów węglowych – różnica wyniosła aż 20%, co oznacza, że klient, płacąc 1000 zł za tonę, otrzymywał towar wart 800 zł. Na ogół różnice nie były aż tak duże – wahały się wokół 10%. Co ważne, były też składki, które uczciwie sprzedawały węgiel o kaloryczności, jaką podawał sprzedawca lub nawet wyższej. Na hałdach w składach można też znaleźć węgiel dobrej jakości pod względem składu chemicznego, wilgotności czy zawartości popiołu. Jak jednak klient ma odróżnić uczciwych sprzedawców od oszustów? (...)

Efekty bałaganu w handlu węglem odczuwamy wszyscy, wdychając zanieczyszczone powietrze. Samowolkę ma ukrócić ustawa o kontroli jakości węgla. Nadaje większe uprawnienia kontrolne i wprowadza kary za niezgodność deklaracji i sprzedawanego węgla dochodzące do 200 tys. zł. Wprowadza nieistniejące do tej pory narzędzie – świadectwo jakości węgla, które klienci otrzymywać mają w składach opału. (...)

Teoretycznie kopalnie nie tracą – i tak wysyłają węgiel do laboratoriów, które badają jego jakość. Świadectwa mają jedynie ukrócić proceder mieszania węgla lepszej i gorszej jakości, i sprzedaż tego ostatniego.

To jednak tylko teoria. Szczegółowe zasady określające normy paliw wydało Ministerstwo Energii. Ustalenie treści tego dokumentu trwało miesiącami, ale wszystkie projekty nowego prawa sporządzone były tak, żeby w domach można było palić słabym węglem wydobywanym w polskich kopalniach. Takim, który zawiera związki rtęci, chloru czy siarki. Błąd wytknął krakowski Wojewódzki

Problem ogrzewania węglem to problem z mentalnością. I z biurokracją.

Inspektorat Środowiska. Organizacje antysmogowe podniosły alarm, bo od tego rozporządzenia w dużej mierze zależy, co wyleci z kominów w polskich domach i co trafi do płuc Polaków. Ostatecznie rozporządzenie przyjęto na jesieni 2018 r., a jego treść daleka jest od ideału. Między innymi dopuszcza do obrotu zasiarzony węgiel, robi furtkę do sprzedaży miału węglowego. Z takich rozwiązań najbardziej zadowolone jest lobby węglowe, bo jego interesy są bardziej chronione niż zdrowie Polaków.

Strategiczna batalia ze smogiem

Strażnicy miejscy walczą ze smogiem na pierwszej linii frontu, urzędnicy magistratów próbują wygrać wojnę, planując strategiczne ruchy. Rady miast uchwalają Programy Ochrony Powietrza i Plany Gospodarki Niskoemisyjnej, które na przestrzeni lat mają doprowadzić do poprawy jakości powietrza.

W Katowicach tylko w 2015 r. dopuszczalny poziom trującego pyłu

zawieszonego w powietrzu przekroczony był przez 69 dni w roku. Czyli na ponad dwa miesiące mieszkańcy powinni wstrzymać oddech. Złe wyniki pomiarów jakości powietrza i coraz większy nacisk mieszkańców i organizacji antysmogowych sprawiły, że problem dostrzegli politycy.

Daniel Wolny z katowickiego Wydziału Kształtowania Środowiska opowiada o Planie Gospodarki Niskoemisyjnej dla tego miasta przyjętym za prezydentury Marcina Krupy:

– Ma 36 kluczowych zadań do zrobienia. Najważniejsze hasło to 10 razy 10, czyli 10 mln zł rocznie przez 10 lat na wymianę źródeł ciepła. Normalnie wydawaliśmy 2,5 mln zł, teraz będziemy wydawać cztery razy więcej – tłumaczy.

Magistrat planuje wymianę źródeł ciepła w budynkach mieszkalnych będących w 100% własnością gminy. Około 39 mln zł przeznaczono na wymianę systemów ogrzewania we wspólnotach mieszkaniowych, w których miasto jest udziałowcem. W sumie do 2030 r. chce wydać pół miliarda.

I to jednak może okazać się za mało. Do końca nie wiadomo, ile w Katowicach jest pieców do wymiany. Szacuje się, że niecałe 30 tys. kopciuchów ogrzewa 62 tys. mieszkań. Daniel Wolny zwraca uwagę, że te dane mogą mieć duży margines błędu.

– Inwentaryzacja źródeł ogrzewania jest kłopotliwa. Nie ma narzędzia prawnego, które umożliwi nam wejście do mieszkań. Różne ankiety i prośby nie spełniają swojej roli, bo nie są dokładne. Możemy oszacować liczbę pieców na podstawie spisu powszechnego, problem w tym, że to dane z 2011 r. – mówi. To stąd liczba 28 tys. kotłów grzejących w Katowicach. – Ale jak postawi pan obok siebie malucha i przegubowego ikarusa, to nie są to takie same źródła zanieczyszczeń. A samochody przecież tylko dwa – mówi Daniel Wolny.

Czym więc kierować się, jeśli nie liczbą pieców?

– Powierzchnią mieszkalną ogrzewaną węglem – mówi urzędnik.

W Katowicach ok. 33% powierzchni mieszkalnej ogrzewanej

▶ jest bezpośrednio węglem palonym w piecach. I to dopiero pokazuje skalę problemu. Nie wiadomo, jakiej jakości są to piece, zapewne najniższej klasy albo pozaklasowe kopciuchy.

Plan Gospodarki Niskoemisyjnej zakłada 250 mln zł na wymianę pieców w miejskich lokalach.

Po tej operacji zostanie jeszcze ok. 250 budynków o nieuregulowanym stanie prawnym, np. polniemieckich. Według interpretacji urzędników gmina nie może w nie inwestować.

Deklarowane sumy na papierze mogą robić wrażenie, ale aktywiści antysmogowi krytykują politykę ratusza.

– 28 tys. kopciuchów jest do wymiany. W ciągu ostatnich pięciu lat łącznie wymieniono 2,5 tys. kotłów. W takim tempie wszystkie wymienimy za 40 lat. Nie biorąc pod uwagę tego, że mogą się pojawić nowe – mówi Patryk Białas.

Gdy rozmawialiśmy, był aktywistą i współzałożycielem Katowickiego Alarmu Smogowego. Obecnie jest radnym Rady Miasta Katowice z listy Koalicji Obywatelskiej, więc musiał zrezygnować z działalności w KAS, zgodnie z podstawową zasadą apolityczności tego ruchu.

Zdaniem Patryka Białasa urzędnicy tylko pozorują działania. 16 mln zł na wymianę pieców w 2018 r. to jest nic przy planowanych wydatkach w wysokości 2,3 mld zł. Na promocję miasto wydaje rocznie 9 mln zł, na sylwestra z Polsatem 2,5 mln zł.

Wydział Kształtowania Środowiska i ratusz mieszczą się przy katowickim rynku, który niedawno został zmodernizowany i przeszedł prawdziwą metamorfozę. Urzędnicy nawet tu, wyglądając przez okno, widzą swój „ulubiony” komin.

– Każdego ranka patrzymy, jak zasmaradza cały rynek. – Słyszę.

– To może ktoś tam pójdzie, porozmawia, zaproponuje dotację?

– Kto ma tam iść?

– Na przykład straż miejska.

– I tak usłyszą, że pali węglem, a to na razie wolno. Jeszcze trzy lata może kopać.

Ja poszedłem sprawdzić. Elegancka kamienica przy ul. św. Jana wzniesiona na początku XX w. w stylu eklektycznym, z elementami neorenesansu, neogotyku i neobaroku. Na dole modne kawiarnie na



europejskim poziomie, a znad dachu unosi się czarny dym. Budynkiem zarządza Zrzeszenie Właścicieli i Zarządców Domów.

– U nas mieszkają głównie emeryci, boją się wymiany ogrzewania, bo będzie drożej. No i te formalności – mówi mi pracownica administracji ZWiZD. Kto ma przekonywać starszych ludzi do zmian, jeśli nie urzędnicy, administratorzy czy zarządcy kamienic? Na razie bierze to na siebie straż miejska w Katowicach. Komendant zapowiada, że straż będzie spotykała się z seniorami, by przekonywać ich do nowoczesnego podejścia.

Bo problem ogrzewania węglem to problem z mentalnością. I z biurokracją. Pani ze ZWiZD dzwoni po kilku godzinach i mówi, że ma jednego najemcę, który „zna się na tych piecach, bo sam chciał wymienić”. Tak to działa. Zarządca budynku odsyła do lokatora, żeby wyjaśnił zawilgości procedur, bo administracja nie umie tego opanować.

Perypetie Jerzego Bryka

Najemcą, który przekopał się przez biurokratyczne formalności, jest Jerzy Bryk, działacz Mysłowickiego Alarmu Smogowego, przedsiębiorca wynajmujący na biuro mieszkanie w centrum Katowic. Kamienica wciąż nie ma centralnego ogrzewania, a kilku pracowników siedzi przy komputerach w koszulach i marynarkach.

– Kiedy robi się zimno, ciągniecie losy, kto ma zejść do piwnicy po wiadro węgla? – pytam, bo aż trudno sobie to wyobrazić, że współczesna

firma pracuje w pomieszczeniu ogrzewanym XIX-wiecznym piecem kaflowym.

Nie, nie biegają z wiadrem po schodach. Biuro ogrzewane jest grzejnikami na prąd, ale firma odczuwa to w rachunkach, stąd pomysł na zmianę źródła ciepła. Tym bardziej że w ich kamienicy, tak jak w wielu innych, jest już instalacja gazowa. To kolejne kuriozum na Śląsku – w mieszkaniach jest gaz używany do gotowania i podgrzewania wody w łazience, ale ogrzewanie wciąż jest węglowe.

W firmie Jerzego Bryka obliczyli, że zrobienie instalacji gazowej dla studenckiego mieszkania będzie kosztować 14 tys. zł. Już ze wszystkim: z nowym piecem, kominem, podciągnięciem gazu, który jest poprowadzony w ulicy, wkładem kominowym, projektem, usługą kominarza. Dopłaty od miasta wynoszą 10 tys. zł, więc wystarczy wydać 4 tys.

– Dużo osób zdecydowałoby się na to, bo w takim mieszkaniu trzeba spalić 2-3 tony węgla na zimę. Do tego nosić go po schodach, męczyć się, wynosić popiół, rozpalać. To kompletnie bez sensu – tłumaczy Jurek.

Pozyskanie dotacji nie jest jednak tak łatwe, jak przekonują w urzędzie.

– Po złożeniu wniosku na dotację czeka się na podpisanie umowy i dopiero wtedy można prowadzić inwestycję. Nie wiem tylko, dlaczego trwa to ponad rok – opowiada Jurek. Wniosek o dotację złożyli we wrześniu 2017 r. Dostali pismo, że umowy będą podpisane pod koniec 2018 r. Wcześniej nie mogą wydać

ani złotówki, bo faktury muszą mieć daty po terminie podpisania umowy. Cały sezon grzewczy zmarnowany, choć gotowi byli wymienić instalację od razu.

Zdaniem Bryka takie podejście wiele osób zniechęca.

– W ogóle dziwne, że wspólnoty mieszkaniowe i właściciele całych kamienic nie podłączają ich od razu do centralnego ogrzewania. Na taką inwestycję, razem z modernizacją, też można dostać dotację na przykład z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. To podnosi wartość kamienicy i poszczególnych mieszkań. Ludzie nie chcą lokali ogrzewanych węglem, bo są zimne i zawilgocone. W efekcie tu w okolicy jest mnóstwo mieszkań na wynajem, które po prostu stoją puste. Nikt ich nie chce wynająć, a tym bardziej kupić na własność.

Smog z komina

Sojusznikami strażników miejskich w walce o lepsze powietrze są też kominiarze. Mundurowi w Katowicach prowadzą kontrole m.in. z przedstawicielami Korporacji Mistrzów Kominiarskich Województwa Śląskiego. Od nich dowiadujemy się, że piece i przewody kominowe są w Polsce w fatalnym stanie. Przepisy albo nie przystają do współczesnych potrzeb, albo nie są przestrzegane. I nie chodzi tylko o uchwałę antysmogową.

– W obecnej formie ta uchwała nie wnosi nic dobrego, a będzie jeszcze gorzej – mówi Tadeusz Kominek, członek Korporacji Mistrzów Kominiarskich, biegły sądowy, a na co dzień kominiarz w Rybniku. – Po pierwsze, niska emisja się nie zmniejszyła, a bije po kieszeni najbiedniejszych. Po drugie, węgiel jest bardzo złej jakości i sama zmiana przepisów tego nie zmieniła. Mamy teraz problem z bardzo dużą ilością pożarów sadzy w kominie. Zawsze do nich dochodziło, ale teraz to już jest skandal i po prostu zagrożenie życia – opowiada.

Do zapalenia sadzy dochodzi przede wszystkim w domach jednorodzinnych. Przyczyny są dwie: nie-

dostosowanie kotła do przewodu kominowego i zła jakość paliwa.

– Podam przykład z domu mego ojca, bo też mu czyszczę komin. Kiedyś wystarczyło regularnie cztery razy w roku, teraz raz na miesiąc to za mało. Za czasów PRL węgiel był dużo lepszej jakości, sortowany, przede wszystkim był pod nadzorem. Dzisiaj sprzedają wszystko. Polewają węgiel wodą, żeby był cięższy, dosypują do niego asfaltu. Ludzie o tym nie wiedzą i kupują. Z palenia kiepskiej jakości paliwa i plastiku powstają znacznie większe ilości sadzy. W czopuchu [łącznik między piecem a kominem] zbiera się mazista, szklista sadza, której kominiarz nie może wyczyścić. To prowadzi do zawężenia prześwitu kominu.

Temperatura w kominie może sięgać nawet tysiąca stopni, ale już kilkaset stopni mniej w określonych warunkach może doprowadzić do zapłonu sadzy. Od tego już krótka droga do przeniesienia się płomieni na dach. Bywały przypadki, że do zapłonu dochodziło nawet w trakcie kontroli strażaków i kominiarzy. Kilka dni przed naszą rozmową doszło do takiej

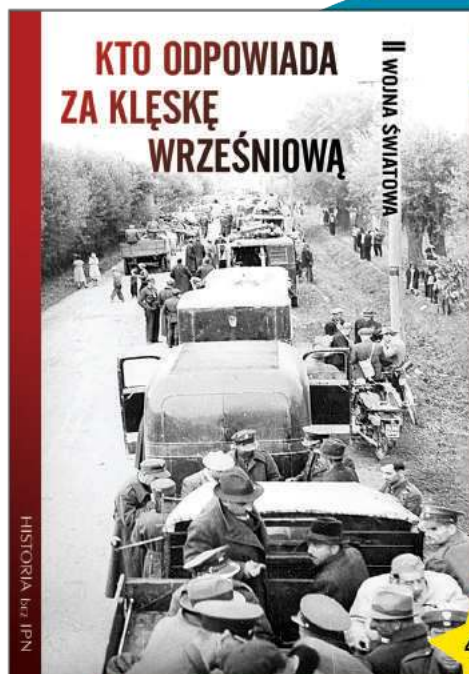
sytuacji na osiedlu Piaski w Rybniku. Ludzie mieli szczęście, zdążyli uciec. Ale zostali bez dachu nad głową. Był z drewna, spalili się doszczętnie.

Tadeusz Kominek przyznaje, że smog w Rybniku jest potężny. Przyjeżdża do biura w centrum miasta już o godzinie piątej rano, gdy gęstej zawiesiny nad miastem można niemal dotknąć.

– Rybnik położony jest w zagłębieniu. Wjeżdżając autem, na peryferiach po prostu widać ścianę smogu. Jak nie ma wiatru, po prostu nie da się wytrzymać – opowiada kominiarz, przyzwyczajony przecież do pracy w pyłe. (...)

Zdaniem kominiarza uchwała antysmogowa, zmuszająca mieszkańców do wymiany pieców na nowsze, ma luki.

– Kocioł klasy V wymaga ceramicznego wkładu kominowego, o czym bardzo rzadko się mówi. Nie wystarczy nowy piec, trzeba też wymienić instalację. Urząd miasta dotuje same piece, ale wkładów już nie. Wkład ceramiczny z montażem może kosztować nawet 5 tys. zł – tłumaczy Tadeusz Kominek.



Książka PRZEGLĄDU!

Dokumenty z okupowanego kraju i emigracji obnażają rządu sanacyjnej elity

- ★ Dokumenty powołanej przez gen. Sikorskiego komisji badającej klęskę wrześniową.
- ★ Gen. Władysław Sikorski o sanacyjnej elicie: rząd zdrady narodowej.
- ★ „Zaczęła uciekać z Kraju najpierw »góra«, nie tylko w wojsku, ale i w administracji. Nic dziwnego, mieli przecież czym uciekać i za co”.

45 zł

Wpłat 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.
W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej
Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej
priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem
InPost +14,90 zł.

► Zdarzało mu się, że klienci montowali sobie nowoczesne piece za kilkanaście tysięcy złotych, ale podłączali je do starych przewodów, oczekując od niego wydania zaświadczenia kominiarskiego, że wszystko sprawnie działa. Zapewnia, że pod taką instalacją się nie podpisze, ale da się znaleźć kogoś innego, kto za odpowiednią opłatą to zrobi. Grozi to kolejnymi kłopotami i szybką awarią. W nowoczesnych kotłach spaliny mają stosunkowo niską temperaturę i zaczynają się skraplać. Nie szkodzi to wkładowi ceramicznemu, ale tradycyjny przewód kominowy rozpadnie się wskutek wilgoci.

Familoki potrzebują pomocy

Smog w Rybniku powstaje głównie w rozległych dzielnicach domów jednorodzinnych, ale też na robotniczych osiedlach z familokami opalnymi w teorii węglem, a w praktyce czym popadnie. Tu też obowiązuje uchwała antysmogowa, więc miesz-

stawiciele klasy średniej, a najubożsi mieszkańcy miasta. Trzykondygnacyjne familoki z czerwonej cegły przy ulicach Przemysłowej i Słonecznej służyły dawniej za mieszkania dla pracowników tutejszej Huty Żelaza Silesia. Starsi Czytelnicy mogą pamiętać z PRL choćby lodówki z charakterystycznym logo „Silesia”.

Po transformacji ustrojowej w 1989 r. i upadku zakładów przemysłowych na Paruszowcu zaczęło się bezrobocie, dziś dziedziczone już w trzecim pokoleniu. Zabytkowa zabudowa poprzemysłowa mogłaby być perełką przyciągającą turystów, ale na razie Paruszowiec wita przyjezdnych dużym napisem: „Jebać policję” wymalowanym białą farbą na ceglanej ścianie.

Po podwórkach snuje się kilku mężczyzn, wyraźnie jeszcze zmęczonych wczorajszymi libacjami. Piwnice mają okienka zsypowe, ale widać, że tylko nieliczne są używane do magazynowania węgla. Za to w komórkach leżą porąbane gałęzie. Nieco dalej PKP oczyszcza właśnie z drzew

kowany węgiel, ale tego schodzi niewiele. Opowiada:

– Straż miejska chodzi i wlepia mandaty za palenie śmieci po 500 zł. Nikogo to nie odstraszy, bo jak ma zamarznąć, to woli mandat. Szczególnie że w dużej mierze są one nieściągalne.

Sprzedawca zaznacza, że to nie jest portret wszystkich mieszkańców Paruszowca. Na krawędzi ubóstwa, a właściwie już daleko za nią, jego zdaniem żyje około połowy mieszkańców osiedla. Pozostałym jakoś udaje się wiązać koniec z końcem. Jedni i drudzy muszą oddychać wspólnym smogiem. Jest marzec, a smród wciąż jest ogromny, kwaśny i duszący. I to pomimo że znad stawu wieje wiatr.

Za taki stan rzeczy trudno nawet obwiniać samorządy, bo w którą stronę nie pociągnąć, to kotdra okazuje się za krótka. Władze Rybnika starają się przywrócić Paruszowiec do życia. Osiedle objęto programem rewitalizacji – latem 2018 r. odbywały się konsultacje społeczne. Wcześniej odremontowano kilka ceglanych budynków przy ulicy Słonecznej. Potrzeby są jednak ogromne. Gdy w 2017 r. miastu udało się wygospodarować dodatkowe 2,1 mln zł, rybnicki Zakład Gospodarki Mieszkaniowej zdołał zlikwidować za to ledwie sto pieców kaflowych, podłączając do sieci centralnego ogrzewania cztery budynki. I to nie w Paruszowcu, tylko w innej części miasta. Na więcej nie starczyło. Na całkowitą odmianę Paruszowca poczekamy więc długie lata. Na razie dla „zdrowego” oddychu musi wystarczyć tężnia, którą kosztem miliona złotych wybudowano latem 2018 r. nad stawem w pobliżu ulicy Przemysłowej. Projekt wybrali sami mieszkańcy w głosowaniu w budzie partycypacyjnym. W smogu będzie wyglądała groteskowo, ale pamiętajmy, że Rybnik żyje też poza sezonem grzewczym. Wtedy można w nim oddychać pełną piersią.

Uchwała antysmogowa nic nie dała, smog jest teraz jeszcze większy. Ludzie nie potrafią palić węglem.

kańcy domów jednorodzinnych muszą wymieniać stare piece lub podłączać się do sieci centralnego ogrzewania. W 2018 r. urząd miasta przeznaczył na dotacje 5 mln zł. Można było uzyskać nawet 20 tys. zł dofinansowania. Kolejka chętnych ustawiła się już w Nowy Rok wieczorem, a pula wyczerpała się 2 stycznia. Pieniądzy starczyło dla ok. 600 pierwszych osób, choć i tak przeznaczono ich więcej, niż pierwotnie zakładano. W latach 2000-2015 Rybnik na dotacje ekologiczne wydał w sumie 10 mln zł. To kropla w morzu potrzeb, a dotacje przysługują tylko mieszkańcom domów jednorodzinnych. Oddzielny problem to robotnicze osiedla.

Najbardziej znany jest Paruszowiec. Z katowickim Giszowcem ma dziś niewiele wspólnego, choć ich pierwotne przeznaczenie było podobne – osiedle patronackie budowane przez koncern dla swoich pracowników. Mimo zasadniczych różnic w standardach życia dziś oba osiedla spowija gęsty smog. W Paruszowcu nie mieszkają ambitni przed-

nasyp kolejowy. Ściętych pni pilnuje ochrona, ale mniejsze gałęzie mogą brać okoliczni mieszkańcy. Błyskawicznie korzystają z okazji.

Dopiero co ścięte, mokre drewno to najgorszy rodzaj opału. Trudno się pali, dymi i daje mało ciepła, ale i tak wszystko od razu ładuje w piecu. Mieszkańcy cieszą się, bo dziś w domach nie będzie zimno. Codziennie muszą kombinować, bo nie stać ich nawet na najgorszy węgiel. Szczególnie jeśli zasitek na opał wydali na alkohol, bo i takie przypadki nie są tu rzadkie.

– Co mają, to przepijają. A potem palą w piecach wszystkim, co znajdują. Gromadzą stare meble, plastiki, opony, kable – opowiada sprzedawca w osiedlowym sklepie.

To tłumaczy, dlaczego na rybnickich blokowiskach znikają worki z posegregowanymi plastikowymi śmieciami, o czym opowiadali mi aktywiści z Rybnickiego Alarmu Smogowego.

Mój rozmówca w sklepie na Paruszowcu sprzedaje m.in. drobne drewno na podpałkę do pieca i wor-

Fragmety książki
Jakuba Chełmińskiego
*Smog. Diesle, kopciuchy,
kominy, czyli dlaczego
w Polsce nie da się oddychać*,
Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2019



Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Wpadła mi w ręce ciekawa książka „Państwo i Kościół w krajach Unii Europejskiej” pod redakcją Gerharda Robbersa. Pomysł był taki: rzecz składa się z 25 opracowań, mających podobną strukturę, która uwypukla relacje prawne państwa i Kościoła, napisanych przez specjalistów z 25 państw (każdy o swoim podwórku). Następnie wszystkie te referaty są wydawane w poszczególnych krajach, przetłumaczone na ich narodowe języki. Powstaje w ten sposób swoisty leksykon stosunków Kościół-państwo w UE. Wersja polska ukazała się w 2007 r., 12 lat temu, ale sprawa jest jak najbardziej aktualna, gdyż – jak poinformował mnie Jean Baubérot, dyrektor GSRL (Groupe Sociétés, Religions, Laïcités – Grupa Społeczeństwa, Religie, Laickości), której jestem członkiem – planowane są reedycje i tłumaczenia na kolejne języki. Owo bardzo cenne kompendium wiedzy obarczone jest jednak swoistym grzechem pierworodnym. Wobec 25 analiz narodowych trudne,

korzystne ustawy (istniejące wyłącznie na papierze), naruszanie istniejących ustaw (wywłaszczanie wbrew przepisom) i liczne wypadki niewyjaśnionych zgonów księży (zawsze spowodowane przez »nieznanych sprawców«) były stałymi elementami antykościelnej polityki władz komunistycznych” (s. 291-292). Ciekawe, jakie to ustawy prokościelne „istniały tylko na papierze” w czasach Gierka czy Jaruzelskiego, którzy do śmieszności starali się udobruchać Kościół, choćby wydając bez szemrania zgodę na budowę nowych obiektów sakralnych, niekiedy z uwłaszczaniem Kościoła (a nie wywłaszczaniem!) wbrew przepisom i planom np. rozwoju przestrzennego. Pytanie, czy „liczne wypadki niewyjaśnionych zgonów księży były stałymi elementami antykościelnej polityki władz”, pozostawię bez odpowiedzi. Każde dziecko przecież wie, że KC PZPR corocznie wyznaczał pogłowie księży do odstrzelenia dla zachowania równowagi w ekosystemie.

Czyj jesteś? Księży

czy wręcz niemożliwe, jest zapanowanie nad całością. Nikt nie jest specjalistą od tylu systemów prawno-konstytucyjnych naraz, a dochodzi jeszcze tło historyczne, społeczne itd. Jeżeli więc któryś autor prezentuje tendencyjne spojrzenie, a nawet palnie zupełną bzdurę, jest wysoce prawdopodobne, że ujdzie mu to na sucho. Tak też niestety się stało z częścią polską.

Autor rozdziału „Państwo i Kościół w Polsce” Michał Rynkowski dokonuje najpierw wiekopomnego odkrycia historycznego. Píše oto (s. 299): „Kościół w Polsce, włączając w to Kościół katolicki, nigdy nie były wielkimi posiadaczami ziemskimi”. Cóż, przypomnieć mu należy, że dzielono własność ziemską w Rzeczypospolitej na szlachecką, kościelną i królewską. Tadeusz Korzon obliczył, że w przeddzień rozbiorów liczba włości w królewskich wynosiła ok. 840 tys. W dobrach kościelnych (Kościół katolicki) ok. 930 tys. i ustępowała tylko liczbie poddanych w dobrach szlacheckich (dziedzicznych), gdzie stanowili oni masę największą – ok. 3 mln, czyli prawie połowę całej ludności chłopskiej. Rozbiory nie tak bardzo zubożyły kler. Na przykład „biskupstwo krakowskie po utracie dóbr, odciętych do Galicji przy pierwszym rozbiore kraju posiadało jeszcze 9 kluczków i folwarków w powiecie krakowskim, 5 w proszowskim, 1 klucz w księstwie Siewierskim, 4 w Sandomierskim, 6 w Radomskim, 4 w Wiślickim, 15 w Chęcińskim (...), czyli kluczków, miast i folwarków 44”. A i w XIX w. „mogli biskupi polscy jeździć karetami »w imię Pana Jezusa, który chodził bosko«. Uposażenie ich zdawało się sówitem nie tylko dla nas, ale i w mniemaniu ludzi owoczesnych”. „Kościół katolicki nigdy nie był wielkim posiadaczem ziemskim” – to już nie błąd, ale istne stawianie historii na głowie!

Przejdźmy do historii najnowszej: „Dwaj bohaterowie drugiej połowy XX w. – kardynałowie Stefan Wyszyński i Karol Wojtyła dawali odpór władzom komunistycznym. Pozornie

Dowiadujemy się poza tym, że duchowni otrzymują od państwa pensję „tylko wtedy, gdy są zatrudnieni jako nauczyciele religii lub kapelani wojskowi” (s. 299). Kapelani kilkudziesięciu innych instytucji, potrzebni lub niepotrzebni, chćiani i niechćiani, pracują oczywiście za co łaska. Ale faktem jest, że np. Rydzka smaruje państwo nie poprzez pobory, tylko darowizny i na tysiąc innych sposobów... Najzabawniejsze, że przytoczone dyrdymały nie są zgola w narracji Rynkowskiego potrzebne. On po prostu korzysta z okazji, by przypomnieć komu trzeba, jakim jest wiernym katolikiem i wrogiem czerwonych pajaków.

W „Potopie” Sienkiewicza jest taka scena, w której chłopski małolat zdobywa szwedzki sztandar.

„– Jak ci na imię? – spytał chłopaka pan Czarniecki.

– Michałko!

– Czyj jesteś?

– Księży.

– Byłeś księży, ale będziesz swój własny! – odrzekł kasztelan. (...)

– Wziąć go, dać mu wszelki starunek. Ja w tym, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem...”.

Dzisiaj rzeczy miałyby się inaczej:

– Jak ci na imię?

– Polak mały!

– Czyj jesteś?

– Księży.

– Byłeś księży i zostaniesz księży! – odrzekłby kasztelan. Był bowiem człowiekiem trzeźwym i uczciwym, wiedział więc, że większościowo pisowski Sejm na żadne uszczuplenie stanu posiadania Kościoła nigdy się nie zgodzi. Tym gorzej dla Michałki. Ale w końcu kogo on w naszej chrześcijańskiej i antemuralnej Rzeczypospolitej obchodzi. A prawda jeszcze mniej.

Janusz Z. Kwiatkowski

Kurz bitewny nie zdążył w Sejmie opaść po debacie nad *exposé* premiera, a już do boju ruszyły zastępy fundamentalnych liberałów. W „Gazecie Wyborczej” Witold Gadomski – komentator, ale i poseł I kadencji Sejmu z ramienia Kongresu Liberalno-Demokratycznego, oraz Błażej Lenkowski – przedsiębiorca i prezes zarządu Fundacji Liberté!, w „Newsweeku” zaś Tomasz Lis – redaktor naczelny, i Cezary Michalski. Wszyscy oni rzucili się bronić państwa przed lewicową zarazą, reprezentowaną głównie przez partię Razem, a zwłaszcza przez Adriana Zandberga. Wychodzi na to, że o ile dotychczas z Adriana można było się pośmiać, o tyle teraz Adrianem będzie się straszyć dzieci.

Kto się boi Adriana

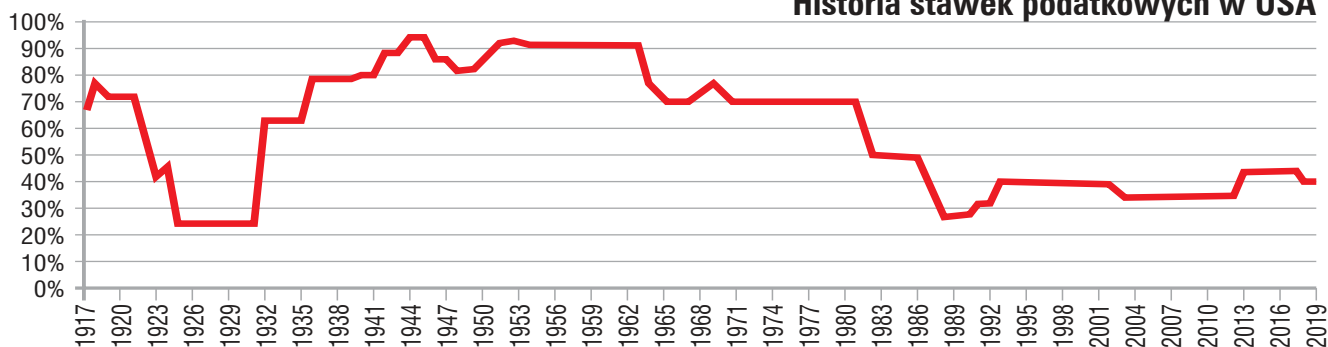
Zastępy liberałów rzuciły się bronić państwa przed Zandbergiem i lewicowym podejściem do ekonomii

i które „wprowadzają do Polski standardy cywilizujące warunki pracy, budują szerokie programy prospołeczne i upowszechniają pożądane również przez lewicę postawy” (przykładów brak). Czemu tak zasłużone firmy, przyzwyczajone do płacenia podatków w innych krajach i zapewne rzetelnie płacące podatki w Polsce, miałyby się bać perspektywy traktowania ich na równi z firmami krajowymi? Autor przyznaje wprawdzie, że kilku gigantów z branży nowych

wszyscy zbiorą na swoich kontach w ZUS kwoty wystarczające do pobierania przynajmniej najniższej emerytury. „Śmieciówki” z całą pewnością na to nie pozwolą. Utrzymywanie ich jest przerzucaniem zobowiązań na przyszłe pokolenia, które będą musiały finansować emerytury minimalne na przyzwoitym poziomie.

Także postulat podniesienia dzisiaj emerytury minimalnej do 1,6 tys. zł nie jest dowodem, że „lewica” z sentymentem wspomina czasy gospodarki

Historia stawek podatkowych w USA



Sejmowe wystąpienie Zandberga dość powszechnie zostało uznane za znakomite, ale tylko dlatego, że – jak pisze Tomasz Lis – przemówieniu „nie towarzyszyła niestety nazbyt głęboka refleksja nad jego treścią”. Otóż „nazbyt głęboka refleksja” każe autorowi zadumać się nad zaprezentowaną przez Zandberga wizją państwa, „sprowadzającą się głównie do doktryny *tax and spend*, opodatkować i wydać”. Zandberg – zdaniem Lisa – chce państwa jako „całodziennego grabieżcy”, pewnie po to, żeby odróżnić się od obecnego, które dodatkowe obciążenia fiskalne lubiło uchylać w Sejmie nocą.

Jak i kogo chce grabić Zandberg? Najpełniejszą wykładnię daje tu Błażej Lenkowski w tekście „Zandbergizm nas nie zbawi”. Otóż przede wszystkim międzynarodowe korporacje, które stworzyły mnóstwo miejsc pracy (prawda), często lepiej płatnych niż w firmach krajowych (jak często?),

technologii oszukuje na podatkach, ale „jednocześnie całkowity bilans działania wielu z tych technologicznych korporacji na polskim rynku jest pozytywny”. No to chyba należy im pozwolić nadal oszukiwać.

Niestety, „Zandberg po raz kolejny zaatakował również zwykłych przedsiębiorców”. A zaatakował ich postulatami, żeby Państwowa Inspekcja Pracy miała warunki do rzeczywistego działania oraz żeby zlikwidować „śmieciówki”. Dlaczego kontrola przestrzegania prawa pracy ma być niebezpieczna dla przedsiębiorców, autor nie wyjaśnia. Rozwodzi się natomiast nad niekorzystnym dla samych zainteresowanych zlikwidowaniem „śmieciówek”, bo jest ono „w istocie próbą realnego podwyższenia obciążeń podatkowych pracowników i pracodawców”. Tu popada w kolizję z Witoldem Gadomskim, który w tekście „Lewica zaprasza do jazdy na gapę” wyraża obawę, czy

centralnie sterowanej”, jak pisze Gadomski. To raczej wyraz troski o zapewnienie najstabszym warunków do elementarnie przyzwoitej egzystencji, co w Europie jest raczej normą niż wyjątkiem.

Neoliberalizm zawsze sprzeciwiał się „rozdawnictwu” rozumianemu jako wspieranie najstabszych ekonomicznie obywateli, jednocześnie nie mając nic przeciwko wspieraniu prywatnego biznesu wyłączeniami i ulgami podatkowymi, dotacjami itd. Zasada: uspołeczniamy koszty, a prywatyzujemy zyski, nie spotykała się z oporem. Na opór natrafiały natomiast wszelkie próby zwiększenia obciążeń podatkowych. I tu jest pies pogrzebany. Bezsportne jest chyba, że naganne są wszelkie próby ukrywania obciążeń fiskalnych pod postacią „danin solidarnościowych” czy innych wygibasów słownych, jednak obecnie sam podatek od dochodów osobistych jest w Polsce niski, i to za-

równy na tle innych krajów, jak i historycznie. Pewnie nie pamiętamy już, jak kształtowały się stopy PIT w minionych latach:

1992-1993	20, 30, 40%
1994-1996	21, 33, 45%
1997	20, 32, 44%
1998-2008	19, 30, 40%
od 2009	18, 32%

Trzystopniowa skala podatkowa była zatem regułą, najwyższa stawka na poziomie 40-45% nikogo nie dziwiła (pomijam tu istotną kwestię progów podatkowych, czyli kwot, powyżej których zaczynało się płać podatek według wyższej stawki). Tomasz Lis przypomina, że Razem proponowało kiedyś najwyższą stopę 75%, i kpiąco dopytuje, czy jest już nieaktualna, najwyraźniej traktując ją jako coś kuriozalnego. Popatrzmy zatem, jak kształtowały się najwyższe stopy podatkowe we wzorcowym dla liberałów kraju, czyli Stanach Zjednoczonych. Według Bradford Tax Institute maksymalna stopa federalnego podatku dochodowego w Stanach Zjednoczonych osiągała apogeum podczas kolejnych wojen światowych. W czasie pierwszej wzrosła z 15% w roku 1916 do 67% w 1917 i 77% w 1918. Podczas drugiej – w roku 1944 wyniosła

94% od opodatkowanych przychodów przekraczających 200 tys. dol., co odpowiada 2,5 mln dol. obecnie. Do początku lat 60. utrzymywała się na poziomie 90%, następnie została obniżona do 70%, a ustawą z 1981 r. – do 50%. Neo-liberalne podejście do obciążeń podatkowych spowodowało, że później zostały one jeszcze bardziej obniżone, co jednak nie doprowadziło do poprawy sytuacji ani klasy średniej, ani najuboższych, a jedynie zwiększyło rozpiętości majątkowe.

Wysokie stopy podatkowe jakoś nie zniechęcały do pracy ludzi o najwyższych kwalifikacjach ani nie hamowały rozwoju gospodarczego. Powyższe informacje nie są dla polskiego czytelnika nowością, przytaczał je choćby prawnik Robert Gwiazdowski w wydanej w 2001 r. książce „Sprawiedliwość a efektywność opodatkowania: pomiędzy progresją a podatkiem liniowym”.

Te polemiki z sejmowym wystąpieniem Adriana Zandberga – żeby nie powiedzieć dosadnie ataki na lewicę – spowodowane są chyba kilkuletnią nieobecnością, a przynajmniej słabą słyszalnością lewicowych koncepcji bądź ideałów w przestrzeni publicznej. I stąd zapewne traktowanie rozwiązań dyskutowanych lub nawet wprowadzanych w krajach Europy Zachodniej jako lewackich fanaberii. ■

Sekielski z Małachowskim

Tomasz Sekielski został kolejnym laureatem Nagrody im. Aleksandra Małachowskiego, przyznawanej przez Unię Pracy za niezależność dziennikarską. Dla tego środowiska, a także dla wielkiej rzeszy Polaków o lewicowych poglądach, Aleksander Małachowski – dziennikarz, polityk, opozycjonista, w III RP wieloletni poseł, wicemarszałek Sejmu w latach 1993-1997 – jest postacią legendarną. Ciągłe aktualne są jego przestrogi przed marszem prawicy po władzę i jej antydemokratycznymi działaniami. Marszałek formułował je wiele razy na łamach PRZEGLĄDU, którego był stałym felietonistą od pierwszego numeru.

Tomasz Sekielski jest dziennikarzem o wielkim dorobku twórczym. Indywidualnością. Konsekwentnie staje na gruncie prawdy. Zajmuje się problemami, które przysparzają mu zarówno dziennikarskiej sławy, jak i personalnych ataków. Przykładem jest film dokumentalny „Tylko nie mów nikomu” nakręcony wraz z bratem Markiem. Jego autor płaci wysoką cenę za swoją niezależność i odwagę. Ale jest też doceniany. Dowodem tego jest Nagroda Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego. I wcześniejsze: Grand Press, Wiktor i Telekamery. Statuetkę wręczył laureatowi Waldemar Witkowski, przewodniczący Unii Pracy. A gratulacje złożyła Krystyna Małachowska, żona Marszałka.



Laureat nagrody Tomasz Sekielski i przewodniczący Unii Pracy Waldemar Witkowski.

KSIAŻKA

Postscriptum do „Polski Ludowej”

Wywiad rzeka z prof. Andrzejem Werblanem jest kontynuacją, a raczej dopełnieniem poprzedniej książki pod tym samym tytułem „Polska Ludowa”, zapisu jego rozmów z prof. Karolem Modzelewskim. Tym razem Robert Walenciak



dopytuje byłego wieloletniego działacza partyjnego wysokiego szczebla, wicemarszałka Sejmu, o jego biografię i decyzje życiowe. A także o to, jak dzisiaj ocenia wyrażane przed laty poglądy.

W znacznej mierze jest to wykład z dziejów Polski Ludowej. Opowieść profesora historii z niemalym, wysoko ocenianym dorobkiem. Andrzej Werblan broni PRL, jej dokonań, ale daleki jest od apologetyki, pomijania faktów niewygodnych w ocenie minionego ustroju. Pokazuje uwarunkowania decyzji podejmowanych przez ówczesne władze. Chce, by czytelnik zrozumiał dylematy rządzących. I – rzecz jasna – te, które dotyczyły jego samego i jego życiowych wyborów.

Dla znawców przeszłości wiele treści nie jest nowością, ale wartość tej publikacji znacznie podnosią liczne dygresje. Wtedy ujawnia się nie profesor historii, ale świadek wydarzeń. Baczny obserwator. Niekiedy mimowolny. W pamięci zachował interesujące obrazy, bez których książki o czasach minionych byłyby nudne i jednowymiarowe.

Czy w tym wywiadzie padły wszystkie pytania, które trzeba było zadać prof. Werblanowi? Na to odpowiemy sobie sami. Po lekturze. Obowiązkowej.

Andrzej Werblan, *Polska Ludowa. Postscriptum*, rozmawia Robert Walenciak, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019

Bliźnięta wystąp!

Mengele poddawał bliźnięta okrutnym operacjom i badaniom. Wykonywano zbędne amputacje, punkcje łądźwiowe, wstrzykiwano tyfus i zakażano rany

John Ware, Gerald Posner

Obraz, jaki rozpościerał się przed oczami Mengelego wjeżdżającego pociągiem do Auschwitz, był niesamowity. Jeden obiekt z pewnością musiał zwrócić uwagę młodego naukowca – tak jak zwrócił uwagę innego lekarza, Mikłosa Nyiszli:

[...] olbrzymi, kwadratowy komin z czerwonych cegieł, zwężający się ku górze. Zdziwiły mnie wielkie jęzory ognia strzelające w niebo spomiędzy odgromników [...] Zastanawiałem się, jaka piekielna kuchnia potrzebuje takiego ognia [...] Łagodny wiatr zwiewał dym w moim kierunku. Mój nos, a później gardło, wypełnił obrzydliwy swąd palonego ciała i włosów.

W lecie słoneczny żar wypalał ziemię, a ciężki, bezwietrzny zaduch nasyczał każdy zakątek Auschwitz zapachem spalizny. W zimie obozem targaty zamiecie śnieżne, nadchodzące od strony Wisły. Większość Polaków uważała ten skrawek kraju za zbyt nieprzyjazny, by się w nim osiedlać. Himmler uważał go za idealne miejsce na największe centrum eksterminacji w realizowanym przez Trzecią Rzeszę programie ludobój-

nych do przezwyciężenia trudności – obecnych i przyszłych – dała mi już wtedy wiele do myślenia.

W momencie przybycia Mengelego do Auschwitz, w maju 1943 r., obóz mieścił już 140 tys. więźniów i zajmował obszar kilku kilometrów kwadratowych. Dr Nyiszli, węgierski Żyd pełniący funkcję patologa pod nadzorem Mengelego, był wstrząśnięty skalą przedsięwzięcia:

Wróciłem do baraku 12 tuż przed przyjazdem Mengelego. Doktor posłał po mnie i kazał mi wsiąść do swojego samochodu [...] ruszyliśmy wyboistą drogą. Przez ok. 12 minut przemierzaliśmy labirynt drutu kolczastego i przejeżdżaliśmy przez dobrze strzeżone bramy rozdzielające poszczególne sekcje obozu. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z rozmiarów KZ. Niewielu ludziom dane było rozejrzeć się po Auschwitz; większość ginęła w miejscu, do którego zostali

Dla dziesiątek tysięcy więźniów Mengele był pierwszym człowiekiem, którego zobaczyli po przybyciu do Auschwitz.

stwa. Po wizycie Himmlera w marcu 1941 r., kiedy to Reichsführer zlecił rozbudowę obozu, komendant, Rudolf Hoess, wspominał:

Padły liczby niespotykane w historii obozów koncentracyjnych. W owym czasie obóz liczący 10 tys. więźniów był uważany za wyjątkowo duży. Determinacja, z jaką Reichsführer SS naciskał na kontynuowanie rozbudowy, pomimo trud-

wysłani bezpośrednio po przyjeździe. Później dowiedziałem się, że wewnątrz elektrycznych zaskoków KZ Auschwitz przebywało w pewnych okresach ponad 100 tys. ludzi.

W olbrzymim obozie, ogrodzonym drutem kolczastym i strzeżonym przez psy SS, znajdowało się pięć krematoriów i komór gazowych. W pogodne dni ogień i czar-



Josef Mengele, należący już do Waffen SS, tuż przed wyjazdem na front wschodni w 1942 r.

ny dym wznoszący się nad płaską, bagienną równiną otaczającą Auschwitz widać było w miejscach oddalonych nawet o 50 km od obozu. Jak twierdził komendant Hoess, największa liczba Żydów, jaką udało się zagazować w ciągu 24 godzin, wynosiła 9 tys.:

Wynik ten osiągnięto w lecie 1944 r., w trakcie kampanii przeciwko Węgom, wykorzystując wszystkie instalacje z wyjątkiem trzeciej. Tego dnia z powodu opóźnień na kolei do obozu przybyło pięć pociągów (zamiast oczekiwanych trzech), a wagony były bardziej zatłoczone niż zwykle. (...)

Masowa eksterminacja była głównym – ale nie jedynym – celem istnienia Auschwitz. Był to również obóz pracy, dostarczający taniej siły

roboczej niemieckim fabrykom produkującym na potrzeby armii. Najsprawniejszym więźniom pozwalano żyć po to tylko, aby pracowali, dopóki nie umrą. Omdlałych często bito i kopano, aby stwierdzić, czy jeszcze żyją. 34 firmy – a wiele z nich, jak Krupp, AEG Telefunken, Siemens, Bayer czy IG Farben, prosperuje po dziś dzień – zarobiły fortuny na

postawy, ciągłego pogwizdywania, absurdalnych rozkazów, zimnego okrucieństwa”.

Dzień po dniu stał na swoim posterunku, patrząc na przelewający się powoli tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, wyczerpanych do kresu sił nieludzkimi warunkami podróży w wagonach bydłych. Po kolei wskazywał każdą osobę łaską i wypowia-

się na wysokości moich oczu. Czarne, błyszczące buty.

Pytał o *Zwillinge*, *Zwillinge*. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Nie wiedziałam, czy dotyczy to mnie. Wiedziałam tylko, że cokolwiek każą nam zrobić, musimy robić to szybko i dobrze. (...)

Kolejny świadek, dr Martina Puzyra, którą Mengele zatrudnił w charakterze antropologa oceniającego zewnętrzne cechy bliźniąt, widziała raz, jak „wrzeszczał na cały głos: »Bliźnięta wystąp, bliźnięta wystąp!«, biegnąc wzdłuż sznura węgierskich Żydów wysiadających z pociągu: »Rozkazywał kobietom zostawić swoje dzieci, zapewniając, że trafią pod dobrą opiekę». (...)

Pomimo że Mengele przeprowadzał eksperymenty w wielu dziedzinach medycyny – od bakteriologii po przeszczepy szpiku – jego głównym celem było znalezienie sposobu na genetyczne warunkowanie cech aryjskich u dzieci i zwiększenie licz-

Wiele dzieci ginęło na skutek dziwnego eksperymentu całkowitej wymiany krwi między dwiema parami bliźniąt.

niewolniczej pracy Żydów, Rosjan, Polaków, nielicznych alianckich jeńców wojennych, a także niemieckich więźniów sumienia. (...)

W przeciwieństwie do pozostaowania godnych warunków, w jakich egzystowali więźniowie, życie niższych rangą esesmanów strzegących obozu oraz uczestniczących w zagazowywaniu więźniów (nazywanym eufemistycznie „akcjami specjalnymi”), egzekucjach i selekcjonowaniu siły roboczej było względnie komfortowe. Każda „akcja specjalna” przynosiła im dodatkowe racje: 10 papierosów dziennie, 1/5 litra wódki i 100 gramów niemieckiej kiełbasy. Oficerowie SS, tacy jak Mengele, cieszyli się jeszcze większymi przywilejami. (...)

Dla dziesiątek tysięcy więźniów Mengele był pierwszym człowiekiem, którego zobaczyli po przybyciu do Auschwitz. Wiele osób pamięta jego schludny i zadbane wygląd. Stał na rampie i dysponował władzą nad życiem i śmiercią. Kobiety, które lubił poniżyć, każąc im paradować nago podczas selekcji, często uważały go za przystojnego mężczyznę, chociaż duża szpara między dwoma górnymi zębami nieco psuła ogólny efekt. Ci, którzy przeżyli, wspominają wrażenie, jakie wywarł na nich jego mundur SS; czarne, wyglansowane buty, białe rękawiczki, wypolerowana laska, oczy uważnie przyglądające się każdemu więźniowi, pogwizdywane przezeń arie operowe i – czasami – łagodny uśmiech.

„Jak bardzo nienawidziłyśmy tego szarlatana – mówi dr Lengyel. – Był profanacją samego słowa »nauka«. Nie mogliśmy znieść jego obojętnej

dał jedno słowo: „prawo” lub „lewo” [...] Wydawał się zadowolony z tego okropnego zadania. (...)

Czasami jednak lodowata postawa Mengelego ustępowała miejsca emocjom i podnieceniu. Było tak zwłaszcza wtedy, gdy wyszukiwał w nowo przybyłych transportach pary bliźniąt. „Krzychał *Zwillinge*, *Zwillinge*, *Zwillinge*; bliźnięta, bliź-



Po wojnie całe życie uciekał. Przydał mu się do tego brazylijski dowód tożsamości znajomego. Mengele przykrył jego fotografię własnym zdjęciem, po czym ponownie laminował dokument.

nięta, bliźnięta”, mówi Horst von Glasenapp, zachodnioniemiecki sędzia gromadzący zeznania ofiar Mengelego w latach 70. Jedną z tych ofiar, Irene Slotkin, mająca pięć lat w momencie przybycia do Auschwitz, wspomina:

Pamiętam, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz: był ubrany na zielono; ciemnozielono. Pamiętam też jego buty, znajdujące

by cięż mnogich. W akcie oskarżenia czytamy:

Sąd ustalił, że badania na bliźniakach stanowiły główny element pseudonaukowej działalności oskarżonego. Badania te miały dla reżimu nazistowskiego szczególną wartość, zwłaszcza jeśli chodzi o pożądane zwiększenie liczby narodzin przez genetyczne podwyższanie odsetka przychodzących na świat bliźniąt.

▶ Jednak Mengele nie pragnął wyłącznie poprawienia płodności niemieckich kobiet – chociaż przejawiał pewne zainteresowanie tą kwestią i przeprowadził nawet serię dziwacznych eksperymentów seksualnych. W rzeczywistości chodziło o udoskonalenie i ochronę rasy aryjskiej – z jej błękitnymi oczami, jasnymi włosami i dobrze zbudowanymi ciałami. Jakość nie mogła zostać złożona na ołtarzu ilości. Nie było mowy o osłabianiu szczepu aryjskiego.

Gdy Mengele przybył do Auschwitz, w obozie prowadzono już różnorakie eksperymenty – zwłaszcza w zakresie sterylizacji. Ich celem

było wywołanie ran w celu porównania reakcji bliźniąt. Zachodnioniemiecki akt oskarżenia uważa te czynności za „pozbawione jakiegokolwiek wartości naukowej”. Wiele „królików doświadczalnych” Mengelego ginęło na tym etapie; głównie na skutek szczególnie dziwacznych eksperymentów polegających na całkowitej wymianie krwi między dwiema parami bliźniąt. Świadek operacji, Vera Alexander, opisuje ich rezultaty:

Pewnego dnia Mengele przyniósł dzieciom czekoladę i nowe ubranka. Następnego dnia esesmani zabrali ze sobą dwójkę moich podopiecznych – Tita i Nina. Jeden z nich był garbaty. Po dwóch

Irene Slotkin i jej bliźniak René przeżyli etap testów *in vivo*. Irene mówiła, że „gdzieś w głębi umysłu cały czas dobrze o nim myślałam [...] był w końcu lekarzem i nie mógł mnie skrzywdzić. Ale oczywiście skrzywdził”.

Wyniki testów *in vivo* dawały Mengelemu tylko powierzchowne i niepełne dane. W swoim dążeniu do poznania wszystkich podobieństw i różnic między bliźniętami Mengele największą wagę przykładł do następnego etapu: sekcji ich ciał, celem porównania budowy i stanu organów wewnętrznych. Proces ten wymagał jednoczesnej śmierci badanych bliźniąt, największego skarbku Mengelego. Dr Miklos Nyiszli, przeprowadzający sekcje, wspomina:

Gdzie w normalnych warunkach można spotkać jednocześnie umierające bliźnięta? Bliźnięta, podobnie jak wszystkich innych ludzi, dzielą zmieniające się warunki życia. Jedno może zginąć, mając 10 lat, drugie – po pięćdziesiątce. W obozie Auschwitz mieliśmy jednak kilkaset par bliźniąt i tyleż potencjalnych sekcji. (...)

Zachodnioniemiecki akt oskarżenia zawiera dziewięć niezależnych zarzutów morderstwa – w sumie na 153 dzieciach „w celu przeprowadzenia sekcji”. Jeden z zarzutów wiąże się z wydanym przez Mengelego rozkazem zastrzelenia stu dzieci strzałem w tył głowy. Świadkowie twierdzą również, że czasami zwabiał bardziej oporne dzieci do krematorium, nęcąc je słodyczami, po czym

Mengele szukał sposobu na genetyczne warunkowanie cech aryjskich u dzieci i zwiększenie liczby ciąż mnogich.

było wynalezienie łatwego i wydajnego sposobu sterylizowania podbitych „ras niższych”. Płk Victor Brack, główny oficer administracyjny w Kancelarii Rzeszy, sugerował Himmlerowi, że zamiast likwidować Żydów, można by było zmusić niektórych z nich do pracy dla Niemiec pod warunkiem opracowania skutecznej metody kontroli urodzeń. Dr Horst Schumann i jego zespół zapoczątkowali więc serię eksperymentalnych kastracji za pomocą promieni X, niezwykle bolesnych dla ofiar. Jedno z zachowanych świadectw mówi o 90 kastracjach przeprowadzonych przez dr. Schumanna i jego lekarzy w ciągu jednego dnia.

Kobiety poddawano olbrzymim dawkom promieniowania, po czym wycinano im jajniki, aby określić, jaka dawka powoduje skuteczną sterylizację. Ambicja Mengelego wykraczała daleko poza chęć znalezienia prostych metod ograniczania zdolności rasy żydowskiej do reprodukcji. Bardziej interesowało go zagwarantowanie czystości rasy aryjskiej – ten program badawczy miał duże szanse uzyskania poparcia czołowych ideologów nazistowskich, co z kolei wpłynęłoby pozytywnie na karierę Mengelego. (...)

Bliźnięta poddawano okrutnym operacjom i bolesnym badaniom, często bez żadnych środków znieczulających. Wykonywano zbędne amputacje, punkcje łądźwiowe, wstrzykiwanie tyfusu i umyślne za-

lub trzech dniach esesman przyprowadził je z powrotem, w strasznym stanie. Były ponacinane. Garbus był zszyty plecami ze swoim bratem; ich nadgarstki również były ze sobą zszyte. Otaczał ich potworny fetor gangreny. Rany były zabrudzone, a dzieci płakały całymi nocami.

Jedna z ofiar, poddana eksperymentom Mengelego razem ze swoją siostrą i grupą innych bliźniąt, wspomina:

Każdej dziewczynie wstrzyknięto krew innej pary bliźniąt, podczas gdy Mengele obserwował nasze reakcje. Obie otrzymałyśmy 350 cc krwi pary chłopców, co wywołało u nas straszny ból głowy i wysoką gorączkę.

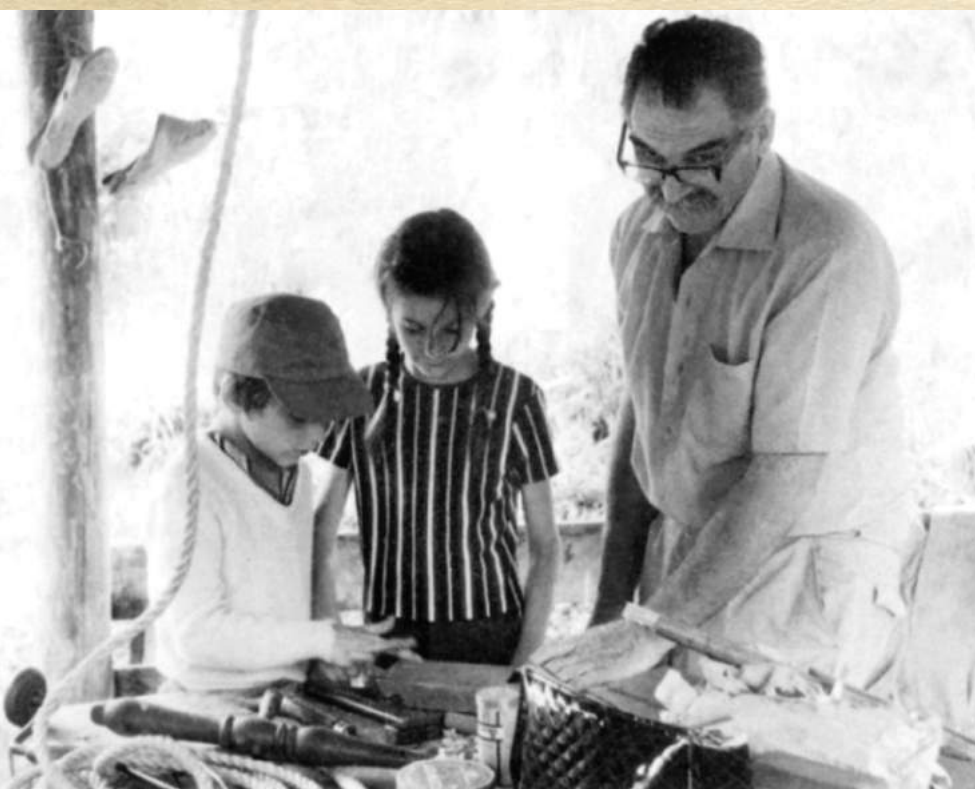
Gdy Mengele przybył do Auschwitz, w obozie prowadzono już eksperymenty – zwłaszcza w zakresie sterylizacji.

Mengele zmuszał również obie siostry do stosunków seksualnych z innymi bliźniakami, aby przekonać się, czy bliźnięta będą płodzić bliźnięta:

Z tego powodu nie pozwolił nam wrócić do pracy i starał się znaleźć dla nas odpowiednich partnerów. Kiedy sprzeciwiliśmy się, mówiąc, że taki eksperyment jest nie do zaakceptowania, powiedział, że jesteśmy więźniarkami i nie mamy w tej sprawie nic do powiedzenia.

strzelał do nich. Jedną z najczęściej stosowanych metod jednoczesnego zabijania bliźniąt były dosercowe zastrzyki z chloroformu, powodujące koagulację krwi i niewydolność serca. W zeznaniu dr. Nyiszli czytamy, że pewnego dnia Mengele uśmiercił w ten sposób 14 par cygańskich dzieci:

W pokoju przyległym do sali, w której przeprowadzano sekcje, czekało 14 płaczących par cygańskich bliźniąt. Dr Mengele, nie odrywając się



Mengele pokazuje dzieciom znajomą swoją pracownię w Careiras w Brazylii.

do nas ani słowem, przygotował dwie strzykawki – 10 cc i 5 cc. Z jednego pudełka wyjął Evipal, a z drugiego – chloroform, w 20-mililitrowych szklanych ampulkach. Następnie wprowadzono pierwsze dziecko – 14-letnią dziewczynkę. Dr Mengele kazał mi ją rozebrać, po czym położył jej głowę na stole sekcyjnym i wstrzyknął jej w ramię, dożylnie, Evipal. Kiedy dziecko zasnęło, Mengele wymacał lewą komorę serca i wstrzyknął doń 10 cc chloroformu. Dziewczynką wstrząsnął krótki spazm, po którym nastąpiła śmierć. Mengele kazał wynieść jej zwłoki do kostnicy. W ten sposób w ciągu jednej nocy zabito wszystkie 14 par bliźniąt. (...)

Osobiste okrucieństwa, których wiele opisuje zachodnioniemiecki akt oskarżenia, były zazwyczaj powodowane przez nagłe i niekontrolowane napady wściekłości. Pewnego dnia Mengele „złapał nowo narodzone dziecko rosyjskiej kobiety za głowę i [wyrzucił je] na stertę zwłok”; innym razem „tak zdenerwował się na kapo obozowego, który pozwolił więźniom przeznaczonym do zagazowania na dołączenie do kolumny więźniów kierowanych do pracy, że zastrzelił go z własnego pistoletu”.

Kolejny przypadek dotyczy starego człowieka „przeznaczonego do komory gazowej, który chciał zobaczyć się ze swoim synem, znajdującym się w kolumnie osób przeznaczonych do pracy. Mengele złapał za żelazny pręt i uderzył go w głowę tak mocno, że jego czaszka pękła, a mężczyzna zginął na miejscu”. Dalej czytamy, że „wrzucił noworodka na rozpalony piec, gdyż zdenerwowała go ciąża matki, której nie dostrzegli lekarze prowadzący selekcję, a która kwalifikowałaby ją do komory gazowej”, „zastrzelił z broni służbowej przynajmniej jednego więźnia nieznanej narodowości, gdy ten zatrzymał się na ulicy bez pozwolenia”, wreszcie „zastrzelił szesnastoletnią dziewczynę, która uciekła na dach baraku z panicznego strachu przed komorą gazową”.

Chyba najbardziej ponure oskarżenie wiąże się ze spalaniem 300 dzieci w otwartym ogniu na oczach kilku więźniów – m.in. Rosjanina, Annaniego Siłowicza Pietki:

Nadjechała duża grupa [oficerów SS], a wśród nich – Mengele. Wjechali na podwórko i zsiadli z motocykli. Obeszli dookoła palenisko. Zastanawialiśmy się,

co będzie dalej. Po pewnej chwili zaczęły przyjeżdżać ciężarówki wypełnione dziećmi. Mniej więcej 10 ciężarówek. Jeden z oficerów wydał jakiś rozkaz i ciężarówki zaczęły kolejno ustawiać się tyłem do ognia. Wtedy zobaczyłem, że znajdujące się w środku dzieci są wrzucane prosto do płonącej dziury. Zaczęły krzyczeć, kilkorgu z nich udało się wyczołgać z ognia, lecz tam czekał już oficer, który kijami wypychał je z powrotem w płomienie. Hoess i Mengele przyglądali się, wydając rozkazy.

Pierwsza grupa dzieci pochodziła z Dniepropietrowska. Komendanci strefowi powiedzieli mi, że trudno było zagazować je w komorze gazowej, zostały więc spalone. Wszystkie miały mniej niż pięć lat. Słyszałem, że spalili w ten sposób całe przedszkole albo sierociniec. Później jednak dowiedziałem się, że były to dzieci odebrane matkom. (...)

W nocy 17 stycznia 1945 r. Mengele opuścił Auschwitz, zabierając ze sobą archiwa wyników badań nad bliźniętami, kartami i ułomnymi. SS nakazało zniszczyć całą dokumentację chorób, wykresy temperatur oraz wszystkie inne dowody eksperymentów i ludobójstwa. Krematoria miały zostać wysadzone, a wszyscy pacjenci, którzy nie byli w stanie maszerować – zastrzeleń. Mengele złożył ostatnią wizytę swojej antropolog, dr Puzynie, odpowiedzialnej za pomiary cech zewnętrznych u badanych bliźniąt. „Wszedł bez słowa do mojego biura – powiedziała. – Włożył wszystkie moje papiery do dwóch pudeł i kazał wynieść je do oczekującego samochodu”.

Mając w uszach odgłos zbliżającego się radzieckiego ostrzału artyleryjskiego, Josef Mengele uciekł z piekła Auschwitz. Od tej chwili miał już zawsze uciekać.

Fragmenty książki
Johna Ware'a
i Geralda Posnera
*Mengele. Polowanie
na Anioła Śmierci
z Auschwitz*, przekład
Piotr Nowakowski, Znak
Horyzont, Kraków 2019



Wszystkie zdjęcia pozyskane dzięki uprzejmości autorów.

Dzieje inteligenta wyklętego

Traktuję swoją biografię intymną jako materiał pisarski

Rozmawia Rafał Pikuła

Świętował pan Dzień Niepodległości?

– Tak, siedziałem w domu i zajmowałem się swoimi sprawami, organizowałem 18. urodziny córki. Poza tym pracowałem trochę nad konspektem powieści „Dni z Kallimachem”. Na pewno nie brałem udziału w żadnych uroczystościach czy marszach.

Jednym z haseł największej imprezy z okazji 11 Listopada – Marszu Niepodległości – było „Dumni z pochodzenia”. Pan w książce pokazuje, że pochodzenie to taka prosta sprawa?

– W ogóle być dumnym z pochodzenia to głupota. Pochodzenie to żadna wartość obiektywna – natomiast jest to coś, do czego można mieć osobisty sentyment. Wracając do mojej książki – „Deutsch dla średnio zaawansowanych” nie jest książką historiozoficzną, chociaż historia jest tam tłem, ale to opowieść o odnajdowaniu siebie, o tożsamości, tyle że nie chodzi o tożsamość narodową. To historia odnajdowania sensu życia u jego schyłku, dostrzegania szans, gdy wydaje się, że już nic nas nie czeka. **Podróż bohatera w głąb siebie jest możliwa dlatego, że wyrusza on w podróż w czasie i przestrzeni. Gdyby nie poszukiwanie korzeni, Marek Deutsch nie odnalazłby siebie tu i teraz.**

– Kreśląc tę podróż, chciałem pokazać pewne paradoksy – uproszczenia, którymi żyjemy, i niespodzianki, które może nam przynieść grzebanie w starych szpargałach. Historia, pochodzenie, przeszłość – to wszystko nie jest jednoznaczne ani proste. Postać historyczna, którą prezentuję w książce – nie zdradzę tu, o kogo chodzi – do dziś budzi kontrowersje, funkcjonuje w dwóch przeciwstaw-



MACIEJ HEN

– autor powieści „Deutsch dla średnio zaawansowanych”

nych legendach, jako zdrajca i bohater. Obie legendy mają podłoże ideologiczne, więc tej oceny nie da się wypośredkować.

Dlaczego akurat tę opowieść wybrał pan jako tło?

– Wiedza o tym wydarzeniu nadal jest raczej skąpa i, jak wspominałem, nadal funkcjonuje ono w świadomości społecznej na zasadzie ideologicznych legend. Z drugiej strony uświadomiłem sobie, że gdzieś w Rumunii wciąż istnieje ziemia, która należała do tej postaci. Zastanawiając się, czy jest tam, na Bukowinie rumuńskiej, ślad polskiej historii, wymyśliłem bohatera, dla którego odnalezienie tego kawałka ziemi jest

życiową szansą. Potem wsia-
dłem w samochód i pojecha-
łem na południe.

Czyli do Rumunii?

– Odbyłem tę samą trasę, którą podróżuje bohater książki. Odwiedziłem Bukowinę, ale również Braszów i niektóre inne miejsca w Rumunii, a także na Ukrainie. Potrzebowałem poznać koloryt lokalny, krajo-
brazę i plenery. Wystawiłem się też na przygodę – może przydarzy mi się coś, co potem będę mógł wykorzystać w powieści. Taki risercz pisarski pobudza wyobraźnię.

Potrzebował pan przeżyć i zobaczyć swoje, żeby zawrzeć to w powieści. Może zdradzę tym fragment fabuły, ale zapytam: czy był przy okazji jakiś romans z młodą Rumunką?

– Nie, nie było żadnego romansu, ani z Rumunką, ani z Węgierką (śmiech). Powiem panu jednak, że 25-letnia Camelia miała pierwowzór, ale był to... mężczyzna. Nazywał się Ilie, był kolegą – nie

kuzynem – Florina, pracownika tamtejszego urzędu gminnego, odpowiedzialnego za promocję, który pomógł mi dotrzeć do różnych miejsc. Ilie, w odróżnieniu od Florina, świetnie mówił po angielsku i bardzo mi pomógł przy rozmowach ze starymi mieszkańcami, którzy coś pamiętali z wydarzeń z przeszłości, więc wiele scen z Camelią to po prostu zapis rzeczywistych scen z udziałem Iliego.

Ustaliliśmy, że jest w tej powieści dużo pana. Główny bohater ma tyle samo lat, wykonuje podobny zawód, jego ojciec – podobnie jak pański – jest artystą, na dodatek i pan, i pana bohater ma 18-letnią córkę. Co chce pan przez to powiedzieć?

– Podejmuję pewną grę z rzeczywistością. Oczywiście bardzo dużo zaczerpnąłem ze swojego życia, szczególnie jeżeli chodzi o historie

z okresu dzieciństwa i czasów licealnych. Pisząc fikcję, zawsze podpieram się rzeczywistością, bo ta dyktuje najciekawsze scenariusze. Ale ja mam dopiero drugą żonę, a bohater trzy byłe, poza tym moja 18-letnia córka – z tego, co wiem – nie jest w ciąży (śmiech). Dałem mojemu bohaterowi tyle z mojego wnętrza, ile mogłem. Ale jego sytuacja życiowa, realia, w których żyje, stosunki rodzinne – to nie ja.

Ważnym wątkiem powieści są relacje bohatera z ojcem. Marek pozostaje w cieniu ojca, czuje się zdominowany. Czy pana relacje z ojcem, również pisarzem (Józefem Henem – przyp. red.) są podobne?

– Relacje Marka z ojcem są trochę podobne do moich, a trochę się różnią. Na pewno ja też czułem presję ojca, uznanego pisarza, ale u Deutscha to przebiega zupełnie inaczej. Na co dzień ja jestem bardziej zdominowany przez ojca niż on, tak mi się wydaje. Na szczęście, w odróżnieniu od mojego bohatera, w sprawach literackich jestem bardziej uparty i ambitny niż Marek w sprawach plastycznych. Marek z góry zrezygnował z poważnych zamierzeń twórczych i skupia się na przetrwaniu, zarabia na życie dzięki zręczności plastycznej, ale nie realizuje siebie. Ja od zawsze chciałem znaleźć własną formę artystycznej wypowiedzi i po próbach w różnych dziedzinach uznałem, że tylko poprzez literaturę mogę powiedzieć to, co mam do powiedzenia. Zarazem jednak musiałem z czasem pozbyć się złudzeń, że z pisania się utrzymam. Literacka ekspresja to jedno, proza życia to drugie.

Ta presja ze strony ojca sprawiła, że debiutancką książkę napisał pan pod pseudonimem?

– Nie było czynnej presji ze strony ojca, ale chciałem żeby sukces mojej pierwszej książki wynikał z jej poziomu artystycznego, a nie z więzów krwi. Bo byłem przekonany, że ona odniesie sukces, i nie chciałem, żeby ten sukces przypisywano temu, że autor jest synem pisarza. Potem, kiedy się okazało, że wielkiego sukcesu, mimo dobrych recenzji, nie było, zrozumiałem, że jednak warto sięgać po wszystkie chwyt, żeby dotrzeć ze swoim przekazem do potencjalnego czytelnika. Kolejne książki napisałem więc jako Maciej Hen.

Niestety, w brutalnym świecie późnego kapitalizmu promocja jest ważniejsza niż treść. Niełatwo przebić się na rynku czytelniczym, nawet jeśli napisało się arcydzieło.

– Wtedy, przed debiutem, myślałem naiwnie, że uda mi się powtórzyć wyczyn Romain Gary'ego. On najpierw stworzył znaczący dorobek pod marką Romain Gary, potem, gdy ta „marka” zaczęła wychodzić z mody, zadebiutował na nowo, jako Émile Ajar, odnosząc oszała-

Życie to warsztat pisarza.

miający sukces. Dopiero w liście pożegnalnym napisanym tuż przed samobójczą śmiercią przyznał się do tego zabiegu. Mnie to się nie udało, więc odpuściłem, chociaż jeszcze przez pewien czas podpisywałem swoją twórczość translatorską nazwiskiem Maciej Nawariak (pseudonim, pod którym Maciej Hen wydał debiutancką powieść „Według niej” – przyp. red.).

Porównując jednak „Deutscha...” do pana wcześniejszych powieści, „Według niej” i „Solfatary”, można odnieść wrażenie, że to najnowsza publikacja jest najbardziej autobiograficzna.

– Niekoniecznie. W każdej z moich powieści jest pełno spraw osobistych. Traktuję swoją biografię

Elity finansowe i elity kulturalne już dawno się rozjechały, są na przeciwnych biegunach.

intymną jako materiał pisarski. Dokonuję różnych rekombinacji i często potem nawet mnie samemu trudno odróżnić, co było wzięte z mojego życia, a co jest czystą fikcją. Życie to warsztat pisarza.

Pana najnowsza powieść jest refleksją o smutnym losie współczesnych inteligentów, często spauperyzowanych, wyklętych, którym trudno jest w świecie współczesnej, drapieżnej ekonomii.

– Właśnie, zawsze się buntuję, kiedy ktoś kwituje mojego bohatera słowem nieudacznik. Przecież nie wpadł w tarapaty z powodu nałogów czy hazardu. On tylko nie znalazł dla siebie miejsca we współ-

czesnym świecie. Nasza epoka jest okrutna dla ludzi wrażliwych i inteligentnych. Owszem, bywał lekomyślny, popełniał błędy w życiu osobistym i zawodowym, ale widać gołym okiem, że to człowiek wartościowy, który zasłużył na lepszy los. Jeżeli ktoś powie, że Marek Deutsch sam jest sobie winien, to w pewnym sensie będzie miał rację, bo faktycznie on sam wybrał swoją wrażliwość, sposób postrzegania świata. My wszyscy, jemu podobni, sami jesteśmy sobie winni i każdy z nas może się znaleźć w takiej jak on beznadziejnej sytuacji i taka perspektywa wcale nie wydaje mi się odległą. Skojarzył mi się teraz „Głód” Knuta Hamsuna. Tam główny bohater jest takim właśnie spauperyzowanym inteligentem, już bezdomnym, któremu czasami, z rzadka, udaje się zarobić parę groszy za artykuł napisany w gorączkowym pośpiechu, na ławce w parku, ogryzkiem ołówka na wymiętym skrawku papieru – ale na co dzień błąka się bez celu po mieście w głodowym delirium.

Pana bohatera stać na wynajem mieszkania, ale jada zupki chińskie, wegetuje, liczy dosłownie każdy grosz. Czy pan – także pisarz, artysta – miał podobne problemy, trudne momenty?

– Zdarzało się. Mam też często okazję oglądać bliskich znajomych, którzy, chociaż nie są narkomanami

czy alkoholikami, żyją w strasznej biedzie. Pomimo wykształcenia, szerokiej wiedzy, kultury ich sytuacja finansowa jest tragiczna.

Deutsch mimo swojej sytuacji – trzy byłe żony, trudne relacje z córkami, bieda i rozczarowanie – okazuje się jednak wolnym człowiekiem, który ma swój honor, godność.

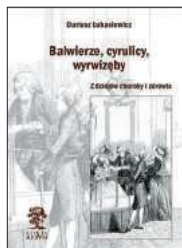
– Godność to raczej słowo używane w innych kręgach niż te, w których ja się obracam. Deutsch charakteryzuje ogólny szacunek do wszystkich, empatia, poczucie, że nie można krzywdzić ludzi, nawet jeśli wiąże się to z utratą własnych korzyści. ▶

Dariusz Łukasiewicz

Balwierze, cyrulicy, wyrzębę Z dziejów choroby i zdrowia

Silva Rerum, Poznań 2019

Jak niegdyś radzono sobie z chorobami? Metodą prób i błędów w zakresie ziołolecznictwa, a osiągnęto w tym spore sukcesy. Nie rozumiano, jak dany specyfik działa, ale ważne, że działał. Jednak wykoncypowane metody leczenia bywały także zagrożeniem dla zdrowia. Medycyna ludowa przekazywana była z pokolenia na pokolenie. Zanim pojawiła się państwowa służba zdrowia, instytucje medyczne funkcjonowały na szczeblu komunalnym czy kościelnym. Prof. Dariusz Łukasiewicz wskazuje, że „socjalizm państwowy” do pewnego stopnia był poprzedzany przez „socjalizm feudalny i kościelny”. Szlachcic pomagał poddanym w chorobie, a precyzyjniej – robiła to jego żona. Miasta miały lekarzy miejskich i szpitale. Prowadził je też Kościół, klasztory miały apteki i ogrody z ziołami. Wierzone, że sama religia miała funkcje lecznicze. Leczyły pielgrzymki, relikwie, wota oraz modlitwy. A najczęściej pozostawało liczyć na „zmiłowanie pańskie”.

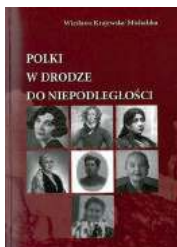


Wiesława Krajewska-Michalska

Polki w drodze do niepodległości

Wydawnictwo Atena, Warszawa 2019

Weronika, mieszkanka Zamościa, w 1918 r. miała 14 lat. Miejscowe partie polityczne utworzyły Rząd Ludowy, głoszący sprawiedliwość społeczną. Z inicjatywy Piłsudskiego legioniści z 23. brygady frontowej rozprawili się z Gwardią Czerwoną. Polak Polaka zabijał w imię wolności ojczyzny. Weronika pojęła, że wolność nie jest dla wszystkich,



i uciekła do Rosji. Przebywała tam 17 lat. Widziała, w jaki sposób Stalin oszukiwał ludzi wierzących w ideały socjalizmu. Skazana na 10 lat łagru uciekła do Polski w 1937 r. Zrozumiała, że każda obcyzna to nie ojczyzna. Tę prawdę chciała przekazać wnuczce, która w 1987 r. pragnęła wyjechać z Polski. Książka to dialog babci z wnuczką na tematy trudne, budzące skrajne emocje.

Książkę można nabyć w księgarni Atlas przy al. Jana Pawła II 26 w Warszawie.

Może to jest tożsamość inteligentka, to coś, co łączy różne osoby o podobnej mentalności?

– Jeśli przyjmujemy sobie taką definicję, że inteligenci to ludzie, którzy mają jakąś potrzebę głębszego rozumienia świata, są wrażliwi, a ta wrażliwość kształtuje pewien system wartości. Czyli inteligent to ktoś, kto ma swoje marzenia, pragnienia, ambicje i chce naprawić świat.

W pana powieści przeczytałem lapidarną definicję inteligenta. Jest to człowiek, który „wie więcej, widzi szerzej, pamięta głębiej, ale zarazem – w sensie materialnym – chce mniej”.

– Ja tak napisałem? Być może, nie pamiętam. Na ogół staram się unikać wplatania w materię powieści złotych myśli. Ale chyba mógłbym pod tym się podpisać. Tak, coś w tym jest: taki człowiek w sensie materialnym może chce mniej, ale zarazem pragnie więcej – więcej zrozumienia, prawdy, więcej sprawiedliwości i lepszego świata.

Dobrym przykładem jest dla mnie ojciec – ma już 96 lat i wciąż pisze, wciąż ma coś do powiedzenia.

Jedną z cech inteligencji, jeszcze z XIX w., była potrzeba przewodzenia narodowi, troska o dobro wspólne. W dzisiejszych czasach antyelitarnego przewrotu, gdy elity, także te kulturalne, są wrogami ludu czy narodu, spora część inteligentów rezygnuje z życia publicznego, wybiera emigrację wewnętrzną, ten spauperyzowany los.

– Być może to nie jest jeszcze kres elit. Wydaje mi się, że elita to nie żadna formacja, tylko luźny związek jednostek, które mają podobne doświadczenia i potrzeby. Elity finansowe i elity kulturalne już dawno się rozjechały, są na przeciwnych biegunach. Niestety, ludzie dysponujący kapitałem kulturowym i kapitałem władzy nie spotykają się, nie wymieniają doświadczeń i myśli, nie wspierają się wzajemnie, a szkoda.

Tytuł pańskiej książki brzmi jak podręcznik do nauki niemieckiego. Czy to taka powieściowa lekcja kosmopolityzmu, żart, a może jeszcze jakiś dodatkowy podprogowy przekaz?

– Tematem książki jest opisanie Deutscha. Mimo bogatego opisu bohatera pewne obszary z jego wnętrza wciąż pozostają dla czytelnika zamknięte. Dlatego nie jest to Deutsch dla zaawansowanych. Z drugiej strony poznajemy życie bohatera dosyć szczegółowo, więc nie jest to Deutsch dla początkujących. Ten tytuł jest trochę żartem językowym, a trochę hasłowym opisem książki. **W sumie to dobry żart, bo gdy pytałem o tę książkę w księgarni, pani powiedziała, że podręczników tutaj nie sprzedają.**

– No widzi pan, udało się. Ale wracając do pytania, to także powieść z wymową kosmopolityczną. Nazwisko Deutsch brzmi obco, ale także wskazuje na żydowskie pochodzenie. Moje myślenie jest bardzo mało narodowe. Tutaj wracam do pana pytania z początku rozmowy: mierzi mnie wszelki nacjonalizm. Chciałbym, żebyśmy stworzyli w Europie coś na kształt Stanów Zjednoczonych Europy, gdzie będą szanowane odręb-

ności kulturowe, ale gdzie kwestia narodowości nie będzie kluczowa. **Na koniec przytoczę sam początek. Zaczyna pan powieść od zdania: „Kiedy u schyłku zimy zdałem sobie sprawę, że nie potrafię już marzyć, doprowadziło mnie to do przykrego wniosku, że musiałem niepostrzeżenie przekroczyć granicę między wiekiem dojrzałym a starością”. Czy dojrzałość to czas, gdy przestaje się marzyć?**

– Mój bohater dochodzi do wniosku, że wkracza w wiek, kiedy jest z górki, jest stary i nic go nie czeka oprócz śmierci. Cały dowcip polega jednak na tym, że na sam koniec odnajduje zdolność do snucia marzeń. A jak to jest u mnie? Jak mam zły dzień, to popadam w apatię. Mimo wszystko nie pozwalam sobie na staczanie się z górki. Dobrym przykładem jest dla mnie mój ojciec – ma już 96 lat i wciąż pisze, wciąż ma coś do powiedzenia i chyba ta potrzeba wyrażania siebie go wzmacnia. Ja wciąż szukam sposobów wyrażania siebie, bo to najlepszy eliksir długowieczności.

Rafał Piłkuła

W stajence z Zenkiem

Edward Mikołajczyk

Długo to trwało, ale wreszcie się stanie. Z dużą pewnością można zapowiedzieć wielki triumf frekwencyjny kołędowej zachęty zawartej w powtarzanych latami słowach: „Pójdźmy wszyscy do stajenki”. Stanie się tak za dwa tygodnie, kiedy Telewizja Polska pokaże pierwszy wielki *show* z serii przedsięwzięć antenowych upamiętniających decyzję o objęciu muzyki disco polo misją nadawcy publicznego, a osoby Zenka Martyniuka opieką narodową. Kto wie, czy nie zdarzy się jeszcze jeden cud, skoro Polacy tak bardzo zapragnęli nowego impulsu?

Drzwi do betlejemskiej stajenki podlaskiej otworzyła Martyniukowi wola prezesa ogłoszona podczas prezentacji zimowej ramówki. Na progu przybytku, w którym urodziła się świętość, Zenek pojawi się jako „wielki muzyk i geniusz” z nadania prezesa telewizji. Ogłoszenia świętości Zenka nie rozważano podczas tego uroczystego wieczoru. W każdym razie nie ma śladów, które by na to wskazywały – ani na zachowanych taśmach, ani w sprawozdaniach gazetowych. Kurski najwidoczniej nie chciał ryzykować, bo pewnie miał przed oczami nieodległą scenę triumfalnego obściskiwania w Sejmie krystalicznego Mariana przez jego kumpli z aparatu i zobaczyć na własne oczy, jak łatwo się spada z nieba do piekła.

Chopin, Moniuszko, Szymanowski są bez szans w starciu z Martyniukiem.

Szkoda, że zrezygnował, bo właściwie są już przesłanki, aby Zenkowi otworzyć bramę do świętości.

Zenon Martyniuk bywa proszony o posługę w najważniejsze święta kościelne i telewizyjne. W najbliższe Boże Narodzenie publiczność zobaczy wielki benefis, a w sylwestra na Równi Krupowej artysta wyjdzie do ludzi trzykrotnie, w tym raz już w nowym roku.

Geniusz przyciąga do odbiorników telewizyjnych milionową widownię. Podobnych parametrów nie udało się osiągnąć żadnemu z naszych twórców do tej pory uznawanych za wielkich. Jacek Kurski wymienia zaledwie trzy nazwiska, które Martyniuk zostawił w pobitym polu, mianowicie Krzysztofa Pendereckiego, Henryka Mikołaja Góreckiego i Witolda Lutosławskiego (Kurski wymienił gołe nazwiska, imiona dopisałem tutaj z potrzeby zaznaczenia osobistego szacunku dla wielkich polskich kompozytorów). Nie wiem, czy jeszcze jakieś nazwiska prezes miał w zapasie, ale o dwóch co najmniej nie powinien był zapomnieć. Chodzi o Fryderyka Chopina i Stanisława Moniuszkę, pierwszego nie tylko ze względu na lotnisko, a drugiego nie tylko z powodu Dworca Centralnego w Warszawie. Oni przecież też są bez szans w starciu z Zenkiem.

Znaki przeznaczenia króla disco polo do świętości widać już wszędzie. Na uroczystościach weselnych obsługiwanych muzycznie przez zespół Akcent jeszcze się nie zdarzyło, żeby pan młody nie wybuchnął płaczem, kiedy Zenek zaczyna okolicznościową pieśń firmową „Dziewczyna ze snu”.

Ekspansja disco polo postępuje w Polsce w tempie nie mniejszym niż afrykański pomór świń. Już dziś całe połacie kraju wyglądają jak ze spełnionego snu inżyniera Mamonia. Ludzie, jak wiadomo, najbardziej lubią piosenki, które już znają, a najlepiej znają Martyniuka. Żyjącemu i, jak się okazuje, zdolniejszemu koledze



z Podlasia, napędzanemu pieniędzmi Telewizji Polskiej i prywatnym zapalem jej prezesa, w Zakopanem ustąpił miejsca (zza grobu) sam Karol Szymanowski, choć ma tu muzeum.

Jeszcze nie słysząc, by Martyniukowi należał się jakiś dworzec PKS czy rafineria. Nie mówi się o pomniku, ale pomnik już jest w drodze. Na walentynki 2020, czyli za dwa miesiące, szykowana jest kinowa premiera filmu fabularnego o życiu i twórczości króla disco polo. Młodego Zenka zagra Jakub Zając, dzisiejszego – Krzysztof Czeczot. Produkcję finansuje Telewizja Polska, tzn. Jacek Kurski, a jeśli on, to nieodwołalnie znaczy, że na Podlasiu wreszcie powstanie coś w hollywoodzkim stylu.

Na świecie telewizje publiczne nie kręcą filmów fabularnych z tysiąca względów, z których ani jeden nie dotyczy Kurskiego. „Mam ambicje – mówi – żeby przekraczać granice i robić rzeczy do tej pory nieosiągalne”. I to prawda, że prezes przekracza i przekracza.

Każdy kraj ma swoją muzykę disco, ale w żadnym telewizja publiczna nie zmusza abonentów do ubóstwiania królowych bądź królów obciachu.



TEATR ÓSMIESZAJĄCY

Władzy w PRL nie podobał się Teatr Ósmego Dnia założony w 1964 r. przez studentów, bo ośmieszał realia ówczesnego siermiężnego życia. Dziś spektakl będący politycznym hołdem dla tamtej grupy artystycznej ośmiesza obecne warunki funkcjonowania niezależnych scen, które dla nowej władzy stały się nierzadko wściekłymi wrogami. Nie da się ukryć, że w Polsce toczy się wojna kulturowa, przybierająca niekiedy niebezpieczne formy. W spektaklu na małej scenie Teatru Powszechnego każdy może prawdziwym pomidorem rzucić w aktora gorszyciela, ale to w sumie niewinna pieszczota. (Ciekawe, co na to powiedziałyby banki żywności). Rodzi się pytanie, jakie jeszcze wydarzenia czekają nasz teatr. Może, jak sugerują twórcy w pierwszej scenie, zostanie on wysłany na inną planetę?

Bronisław Tumiłowicz

„Ach, jakże godnie żyli”, reżyseria Marcin Liber, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 23 listopada 2019

POWINNIŚMY BYĆ INNI

Po petersburskiej premierze (1904) łajano autora, że wystawił taki nieprzychylny portret inteligencji, a sam nie potrafił złożyć porządnego dramatu. Tylko gadają, gadają, gadają i czort wie, co z tego wynika. Coś w tym jest, skoro Stanisławski nie chciał w ogóle grać „Letników”.

Podobne opinie słysząc i dzisiaj, a to najlepszy dowód, że sto lat po premierze dramat Gorkiego wciąż trafia w sedno: inteligencja odkleiła się od rzeczywistości, straciła duchowe przywództwo, porzuciła dawne ideały i zajmuje się groszorbstwem. Gorzkie to słowa, ale kto ma oczy do patrzenia, a uszy do słuchania, z łatwością znajdzie analogie. Toteż „letnicy”, czyli ludzie na wiecznym urlopie od odpowiedzialności, uwierają sami siebie. Nie potrafią znaleźć sobie miejsca albo odrobiny prywatnego szczęścia. Coś w ich życiu się nie składa, dawny entuzjazm przygaś. Słowem – atmosfera jak z Czechowa, tylko ambicje społeczne bardziej radykalne.

To wszystko widać na scenie (choć nie zawsze słysząc, najwyraźniej emisja głosu u części aktorek zawodzi) za sprawą najsilniejszych postaci, które przekonująco budują Beata Ścibakówna (to grana przez nią Maria Lwowna wypowiada kluczowe słowa sztuki: „Powinniśmy być in-



ni”), Mateusz Rusin, Krzysztof Stelmaszyk i Mariusz Benoit. W porażającej bieli (w scenografii to kolor dominujący obok zieleni) i niedookreślonej przestrzeni trwa ten dramat niespełnienia, nad którym zawsze warto się pochylić z uwagą. Tak jak to robi Maciej Prus.

Tomasz Miłkowski

Maksim Gorki, „Letnicy”, tłumaczenie Stanisław Brucy, reżyseria Maciej Prus, Teatr Narodowy, premiera 9 listopada 2019

MIEDZY OKŁADKAMI



Vanessa Savage

Kobieta w mroku

tłum. Dorota Kaczor

Sonia Draga, Katowice 2019

Thriller z domieszką horroru, w sam raz do podręcznej biblioteczki argumentów za pozostaniem singielką. Protesty zatroskanych bliskich, że to tylko fikcja literacka, łatwo odeprzeć: tak, fikcja, ale jaka sugestywna! Sarah twierdzi, że jej małżeństwo było

szczęśliwe, zaciążyła na nim dopiero depresja, w którą wpadła po śmierci matki. Ale nawet jeśli Patricka rzeczywiście wykańcza stan żony, sam pogarsza sytuację. Co słowo, to szantaż emocjonalny. Jakim jest manipulantem, widać, gdy rodzina przeprowadza się do jego dawnego domu w nadmorskim miasteczku – jakby ten zapuszczony budynek wyzwał wszystko, co najgorsze. Pa-

trick zapewniał, że chce przywrócić domowi idylliczne piękno zapamiętane z dzieciństwa, ale farba i tapety kupione za ostatnie pieniądze nie są w stanie wyegzorcyzmować przeszłości – popełnionej tu zbrodni. A może i czegoś więcej. W dodatku ktoś obserwuje Walkerów i wyraźnie źle im życzy... Makabryczny obraz rozpadu świata budowanego na kłamstwach.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

NADZWYCZAJNI

reż. Olivier Nakache i Éric Toledano,
prod. Francja, już w kinach

Filmowcy to jednak potrafią człowiekowi namieszać w głowie. Weźmy autystyków, którzy w hollywoodzkim kinie są odmalowywani jako matematyczni geniusze. W takich filmach jak „Rain Man” osoby ze spektrum autyzmu, owszem, mają problem z relacjami społecznymi, ale to cena, jaką płacą za swój geniusz. „Nadzwyczajni” to głos sprzeciwu wobec podobnych romantycznych wizji. Wśród bohaterów z autyzmem są i tacy, którzy cały czas chcieliby się przytulać, i tacy, którzy przy lekkiej tylko irytacji walą pięścią między oczy najbliższej stojącej osobie. Ale to nie oni są na pierwszym planie, lecz Bruno (świetny, zupełnie nieseksowny Vincent Cassel) i Malik (dotrzymujący mu kroku Reda Kateb), którzy prowadzą organizację opieki nad najcięższymi przypadkami.

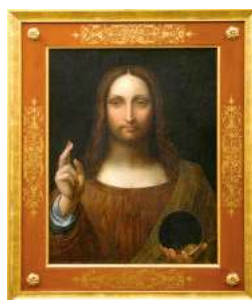
Reżyserzy Olivier Nakache i Éric Toledano nie ukrywają, że ich film to głos sprzeciwu wobec obojętnej na problem Francji, która zostawia rodziny agresywnych osób z autyzmem bez systemowej pomocy. Twórcy jednak dalecy są od lamentowania. Wolą postawić na emocje i historię. Tych pierwszych mamy tu cały wachlarz – nie da się prze-trwać projekcji bez śmiechu i bez wzruszeń. Druga skupiona jest na zarzutach, z których szefowie organizacji muszą się oczyścić. Trzyma w napięciu i wybija absurd, z którymi mierzą się podobne inicjatywy. Znalazło się w niej też miejsce na kilka innych spostrzeżeń. Do myślenia daje zwłasz-



cza refleksja o naturze społeczników. Ilu rzeczywiście czuje powołanie, a ilu w ten sposób coś sobie rekompensuje, to jedno z ciekawiej postawionych pytań. Ujmuje też egalitaryzm autyzmu. W filmie w jednym ośrodku spotykają się radykalny muzułmanin, chasyd i chłopak po wyroku, ale ani to, w co wierzą, ani to, dlaczego zblądzili, nie ma tu znaczenia. Także z tego względu, mimo trudnego tematu, „Nadzwyczajni” napętlają radością i nie pozwalają wyjść z kina bez wiary w lepsze jutro. Nic dziwnego, że we Francji film stał się przebojem i ma szansę powtórzyć wynik „Nietykalnych”, poprzedniego megahitu reżyserów.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU



LEONARDIANA W KOLEKCJACH POLSKICH

Wystawa otwiera cykl prezentacji „Co jest czym: oryginał, replika, kopia”, ukazujących dzieła z historycznej kolekcji wilanowskiej w kontekście zainteresowań i fascynacji kolekcjonerskich w Polsce. Możemy tu oglądać 39 obiektów, w tym obrazy na płótnie, desce i pergaminie oraz grafiki i rysunki korespondujące z obrazem „Zbawca Świata” („Salvator Mundi”) ze zbiorów wi-

lanowskich, stanowiącym centralny punkt ekspozycji. Współcześnie znanych jest kilkanaście wersji obrazów o takiej kompozycji, powstałych w XVI w. Ten z Wilanowa stanowi przedmiot badań historycznych i konserwatorskich realizowanych we współpracy z ośrodkami naukowymi w Polsce oraz za granicą.

WARSZAWA, MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE, DO 15 PAŹDZIERNIKA 2020

DAWNO TEMU NAD BAŁTYKIEM

Gdynia lat 20. XX w.
w obiektywie Romana Morawskiego

Dokumentację powstawania portu gdyńskiego i samej Gdyni zajmowało się wielu fotografów z całego kraju. Jednym z nich był Roman Morawski (1883-1931), który uwiecznił także sceny z codziennego życia miasta i jego mieszkańców. Morawski prawdopodobnie jako pierwszy fotograf na stałe osiedlił się w Gdyni. Ten pochodzący ze Lwowa handlowiec jest autorem wielu pocztówek z widokami Gdyni, w tym budującego się portu. W swoich pracach pokazał rozwój floty wojennej, ale też ludzi, którzy tworzyli port i miasto – od bezimiennych robotników



i marynarzy po dostojnikach odwiedzających Gdynię. Co ciekawe, samego autora znamy jedynie z dwóch niezbyt wyraźnych zdjęć zachowanych w zbiorach Muzeum Miasta Gdyni. Jego szczegółowa biografia i wizerunek pozostają więc zagadką.

MUZEUM MIASTA GDYNI, DO 12 KWIECZNIA 2020

BEZPŁATNE BADANIA PRZESIEWOWE W CENTRUM JASKRY

W Centrum Jaskry w Warszawie można zrobić bezpłatne badania przesiewowe na jaskrę. Centrum ma innowacyjną aparaturę E-jaskra wykorzystującą sztuczną inteligencję. Urządzenie zaprojektowała grupa naukowców – lekarzy, fizyków i informatyków – pod kierunkiem prof. Jerzego Szaflika. Jest to efekt ich dwuletniej pracy.

Badanie opiera się na komputerowej analizie barwnego zdjęcia dna oka, uzupełnionej o pomiar ciśnienia wewnątrzgałkowego. Sztuczna inteligencja przyporządkowuje zdjęcie do kategorii zdrowych lub chorych na jaskrę, korzystając z bazy danych, która została wcześniej wprowadzona do systemu. Do jej stworzenia posłużyło ponad 2,5 tys. zdjęć osób zdrowych oraz chorujących na jaskrę, które dostarczyły Kliniczny Szpital Okulistyczny w Warszawie oraz Centrum Mikrochirurgii Oka Laser. Jaskra w pierwszym okresie nie daje żadnych

objawów, a uszkadza nieodwracalnie nerw wzrokowy. Niestety, nie ma profilaktyki tego schorzenia. Zachorowaniu sprzyjają jaskra w rodzinie, choroby układu krążenia, wiek, częste migreny, wady wzroku. Natomiast na to, czy będziemy ją mieli, czy nie, nie mamy wpływu. Tylko wczesne wykrycie schorzenia, na które cierpi obecnie ok. 900 tys. osób, pozwala na skuteczne i prostsze jego leczenie, a także na zatrzymanie tej choroby lub istotne jej spowolnienie.

Na jaskrę można zachorować w każdym wieku, ale dotyczy ona głównie osoby starsze. Dlatego grupa, którą przede wszystkim powinno się badać, to ludzie po 55. roku życia. W Polsce jest ich 10 mln. Jednak normalne badanie jest kosztowne i wymaga czasu. Zdaniem specjalistów przebadanie tak licznej grupy jest technicznie, fizycznie i finansowo niemożliwe. Wielu lekarzy i naukowców na całym świecie optuje więc za uproszczonymi badaniami,

które wyodrębnia grupę osób zagrożonych. Także działania polskich badaczy poszły w tym kierunku.

– Za pomocą sztucznej inteligencji próbujemy dokonać selekcji, aby do lekarza trafiło nie 10 mln osób, ale dużo mniej – tłumaczy naukowcy z Centrum Jaskry.

Wiadomo, że z 900 tys. chorych na jaskrę leczy się tylko 300 tys., pozostali w ogóle nie wiedzą, że są chorzy, a ich nerw wzrokowy się degeneruje. Pacjenta nic nie boli, dolegliwości występują dopiero wtedy, gdy zniszczeniu ulegnie 50% nerwu. Dlatego badania przesiewowe w kierunku jaskry są tak ważne.

Centrum Jaskry

tel. 22 825 38 57

www.centrumjaskry.pl

Przed wizytą należy zadzwonić.

Jaskra pod nadzorem

Z jaskrą można żyć bez większego obciążenia, ale trzeba stosować krople

Rozmawia Barbara Jagas

Kto powinien skorzystać z badania za pomocą systemu sztucznej inteligencji E-jaskra, którego są państwo pomysłodawcą?

– Ponieważ chorych na jaskrę z wiekiem przybywa, przede wszystkim powinny się zbadać osoby po 55. roku życia. Ale mogą też przyjść młodszy. A także ludzie z grupy ryzyka: osoby mające w rodzinie jaskrę, ze schorzeniami naczyniowymi, migrenami, niskim lub wysokim ciśnieniem, wadami wzroku, skłonnością do zimnych rąk, zimnych stóp. Pamiętajmy, że jaskra jest jedną z trzech głównych przyczyn ślepoty w Polsce.

Co nam daje takie badanie?

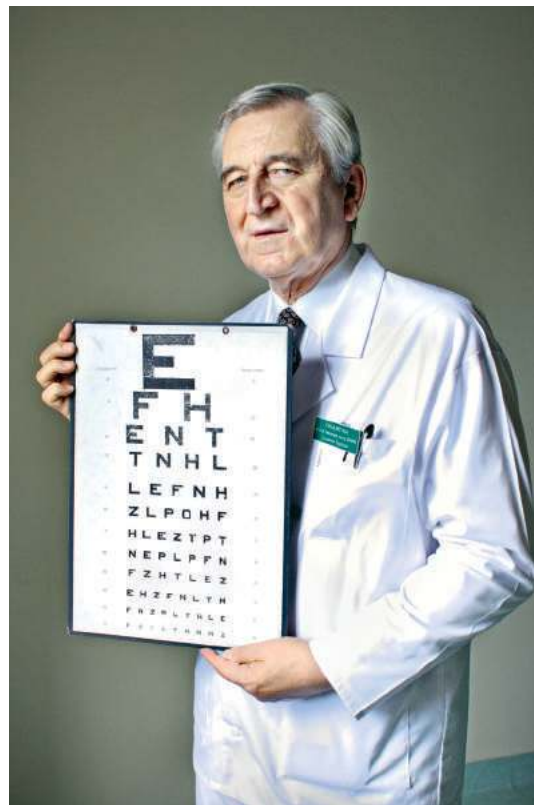
– Użycie sztucznej inteligencji pozwala wydać opinię, czy mamy do czynienia z osobą, u której występuje

zagrożenie jaskrą. Jeżeli ono jest, trzeba iść do okulisty, a jeżeli nie ma – za rok należy znowu się zbadać. Jeżeli wybiorą państwo nas, czyli Centrum Jaskry, to obsłuży was bardzo dobra kadra. Mamy tutaj sprzęt bardzo nowoczesny i skuteczny. Przeprowadzimy bardzo dokładne

Jaskra jest jedną z trzech głównych przyczyn ślepoty w Polsce.

badania i ustalimy, czy rzeczywiście jest jaskra. Jeżeli ją potwierdzimy, to proponujemy leczenie. Chętnie też będziemy dalej się zajmować pacjentem – kontrolować go co jakiś czas.

Badając się za pomocą aparatury E-jaskra, dostaniemy opinię, że możemy być zagrożeni jaskrą. Ale co to naprawdę znaczy?



PROF. JERZY SZAFLIK

– założyciel Centrum Jaskry

– To oznacza, że jest jakieś zaburzenie, które może wskazywać na jaskrę.

I co dalej?

– Należy się zgłosić do okulisty, który wykluczy lub potwierdzi jaskrę. A potem będzie leczył. Bo ten system nie leczy, nie mówi: pan choruje na jaskrę. Jest tylko podejrzenie, że ktoś może być chory na jaskrę.

Jak się leczy tę chorobę?

– W zasadzie prosto: stosuje się krople, mierzy ciśnienie wewnątrzgałkowe, robi badania obrazowe, obserwujemy, czy nie ma postępu choroby. Jeśli nie ma, można potem latami żyć z jaskrą. Bo z jaskrą praktycznie można żyć bez większego obciążenia. Pacjent po prostu pamięta, że rano albo wieczorem musi sobie zapuścić krople, i to robi. Oczywiście zdarza się, że mimo leczenia nie jest dobrze. Albo są tacy pacjenci, którzy myślą, że skoro stosują krople i właściwie nic się nie zmienia, to przestają je brać. Tymczasem choroba postępuje. Dlatego ważne jest, aby pacjent miał świadomość, że trzeba stosować krople i kontrolować się.

Jaskra to choroba nerwu wzrokowego?

– Jest to schorzenie, które powoduje niszczenie nerwu wzrokowego.

Na czym polega leczenie jaskry?

– Mechanizm jest taki, że lek zazwyczaj obniża ciśnienie w oku. Bo główną przyczyną niszczenia nerwu jest ciśnienie w gałce ocznej. Może ono być nawet relatywnie niskie, ale za wysokie dla tego oka – i już jest problem. Może też być taka sytuacja, że zawsze badamy pacjenta o godz. 9 rano i ma wtedy dobre ciśnienie. Ale gdybyśmy go zbadał o godz. 14, okazałoby się, że jest ono wyższe, a o 18 jeszcze wyższe. Albo ciśnienie krwi jest tak niskie, że w nocy stosunek między ciśnieniem krwi obwodowej a ciśnieniem krwi w naczyniach oka jest taki, że nie odżywia ona właściwie nerwu wzrokowego. I pojawia się jaskra.

Jakie są możliwości przeprowadzenia badań u państwa, jeśli chodzi o jaskrę?

– Mamy świetną diagnostykę, sprzęt, który umożliwia bardzo precyzyjne oceny, badanie. Stosujemy nowoczesne leki. Korzystamy ze wszystkich osiągnięć medycyny, jeśli chodzi o jaskrę. A przede wszystkim

mamy bardzo dobrą i doświadczoną kadrę, o dużym potencjale naukowym i badawczym. Myślę, że nasi pacjenci potwierdzą to, że potrafimy leczyć bardzo dobrze. Centrum Jaskry wydzieliliśmy z większej placówki – z Centrum Mikrochirurgii Oka Laser, ale to ten sam ośrodek.

Mikrochirurgia ma zastosowanie w jaskrze?

– W niektórych sytuacjach tak, coraz częściej. Na pewnym etapie, jeśli nie udaje się leczyć jaskry kroplami, musimy operować. I to wcale

Zacmę trzeba operować wtedy, kiedy przeszkadza.

nie jest takie rzadkie. Odbывается to w przypadku jaskry zaawansowanej, złe rokującej, gdy dotychczasowe leczenie nie daje efektów.

Przy okazji chciałabym zapytać, co nowego, jeśli chodzi o leczenie zacmę.

– Bardzo dużo się dzieje, mamy nowe techniki operacyjne, a także wszczepiamy nowe soczewki. Dzięki temu pacjent ma nowe możliwości widzenia. Soczewki są lepsze, nowocześniejsze, pozwalają na odcinanie części widma słonecznego UV, które jest dla siatkówki niekorzystne.

Co to daje?

– Dzięki takim soczewkom zmniejsza się ryzyko schorzeń powodo-

wanych przez ten zakres światła, np. zwyrodnienia plamki żółtej, a także występowania innych schorzeń siatkówkowych. Poza tym możemy wszczepić taką soczewkę, że pacjent widzi i czyta bez okularów, jak w młodości, nie musi zakładać okularów do czytania czy na ulicę. Jeżeli ktoś ma astygmatyzm, też możemy dobrać odpowiednią soczewkę i tej wady już nie będzie miał. Jest wiele różnych nowości.

Jedni lekarze uważają, że zacmę należy operować jak najwcześniej, drudzy – że kiedy dojrzeje. Co pan radzi?

– Zasada jest taka: zacmę trzeba operować wtedy, kiedy przeszkadza. Jeżeli stwierdzamy zacmę, a pacjent dobrze widzi, to po co operować?

Wtedy bierze się krople na zatrzymanie choroby?

– Można próbować. Ich skuteczność jest niewielka, ale jakoś działają. Natomiast jeśli pacjent sobie radzi, nie ma większych problemów z widzeniem, to trzeba po prostu kontrolować wzrok. Nie ma na świecie żadnej operacji, o której można powiedzieć, że jest pozbawiona ryzyka. Zawsze jakieś istnieje. Dlatego dopóki zacma nie przeszkadza, nie operujemy. Mam pacjentów z zacmą rozpoznaną 10 lat temu, którzy do dziś nie byli operowani i świetnie sobie radzą.

Wyślij SMS o treści MIRABELKA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

Zastanawiałeś się kiedyś jak wygląda końska starość? Czy to przyproszone siwizną skronie? A może sztywny chód na obolałych nogach? A może zapadnięte od zbyt ciężkiej pracy plecy? A może to nie upływ lat ani stan zdrowia decydują o tym, czy to już starość. Może jednak to człowiek stwierdza, że koń, który skończył 10 lat, nadaje się już tylko do rzeźni. Człowiek. Pan życia i śmierci.

Do takiego właśnie wniosku doszedł właściciel Mirabelki. Siwa kucyka mieszkająca u niego wiele lat. Urodziła mu kilka źrebaków, które wysłał już dawno do rzeźni. Dzieci właściciela wyrosły, zmieniły zainteresowania, przestały zaglądać do mirabelkowej stajenki. Niedługo ukończony kucyk stał się z dnia na dzień zbędny. Stał się zwierzęciem, które tylko je, a nie przynosi żadnego pożytku. W ekonomicznym świecie właściciela nie ma miejsca na sentymenty.

Właściciel nie zwlekał długo. Zawezwał handlarza, pieniądze wziął, stajnię uprzątnął, o kucyku zapomniał. A Mirabelka stanęła w oborze handlarza. Ma jeść i tyć, by więcej ważyła. Ustalony już został termin jej śmierci...

Jeszcze możemy ją ocalić. Potrzeba 1800 zł, by spłacić jej życie. Potrzeba też 950 zł na transport do naszego ośrodka. Mamy czas tylko do 20 grudnia. Kochani, wierzymy, że wspólnie ocalimy życie Mirabelki. Ona



ma tylko 10 lat. Może żyć drugie tyle, ale trzeba ją uratować. Prosimy, w imieniu swojej Mirabelki i swoim. Pomóżcie!

Ty także możesz pomóc, wystarczy, że dokonasz darowizny z tytułem MIRABELKA na konto PKO BP 72 1020 5138 0000 9102 0166 4523.

Ogólnopolska Fundacja Dla Zwierząt

Hallera 190/6, 53-203 Wrocław, tel. +48 576 091 472
www.fundacjadlazwierzat.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Społecznej
Regulamin: fundacjadlazwierzat.pl/rk.html

Okazją przez świat

Jak powinniśmy podróżować w erze katastrofy klimatycznej?

Mateusz Mazzini

Lot z Londynu do Edynburga, dwóch ważnych brytyjskich ośrodków miejskich, zajmuje niecałe półtorej godziny. Pięć lotnisk zlokalizowanych w stolicy lub na jej obrzeżach oferuje łącznie nawet 17 połączeń dziennie do największego miasta Szkocji. Łatwo zatem policzyć, że jednego dnia trasę tę przemierza nawet kilka tysięcy osób. Pozostawiony w czasie tej podróży ślad węglowy każdej z nich, mimo lotu na relatywnie krótkim dystansie, równy jest ilości dwutlenku węgla, którą przeciętny obywatel większości krajów Afryki Subsaharyjskiej wygeneruje w ciągu roku.

Tej i innych działających na wyobraźnię statystyk Międzynarodowa Organizacja Transportu (ITA) używa do pokazania nam wszystkim, że latanie szkodzi klimatowi bardziej, niż nam się wydaje. Ruch lotniczy generuje już 3% całkowitej emisji dwutlenku węgla na świecie, w dodatku odsetek ten rośnie

czonych przybyła, żeby wziąć udział w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. W chwili, w której stawiała pierwsze kroki na amerykańskiej ziemi, dla mediów dużo ważniejsze od celu jej przybycia było to, jak do USA się dostała. 16-letnia Szwedka spędziła dwa tygodnie na Atlantyku, pokonując dystans z Europy do Ameryki Północnej na jachcie. Zrezygnowała z dużo krótszej podróży samolotem, ponieważ nie chciała zwiększać swojego śladu węglowego i tym samym przyczyniać się do dalszej degradacji środowiska naturalnego. Zamiast tego 14 sierpnia weszła w brytyjskim Plymouth na pokład jachtu „Malizia II” i przez kolejne 14 dni zmagając się z falami i prądami morskimi, do Nowego Jorku docierając w stylu właściwym bardziej dla XVIII niż XXI w.

Kolejny sukces wizerunkowy i skuteczne zwrócenie uwagi na problem katastrofy klimatycznej, ale Greta Thunberg dzięki tej – przynajmniej w deklaracjach – neutralnej węglowo podróży przyczyniła się też do rozkwitu innego zjawiska. Na całym świecie odżył ruch kiedyś

Na całym świecie odżył ruch kiedyś bardzo popularny, a w ostatnich latach niemal zapomniany: morskie łapanie okazji.

z roku na rok. Co prawda, wciąż bardziej trują samochody, bo jest ich zwyczajnie więcej i są częściej używane, jednak samoloty szybko nadrabiają stratę. Również dlatego, że w porównaniu z 1990 r. intensywność podniebnych podróży wzrosła globalnie o ponad 300%.

Nie dziwi więc fakt, że lotnictwo stało się jednym z głównych obiektów krytyki ekologów, również Greta Thunberg, szwedzkiej ikony globalnego ruchu na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi. Kiedy 28 sierpnia schodziła na nabrzeże portu w Nowym Jorku, witały ją dziesiątki ekip telewizyjnych i fotoreporterów oraz ponad pół tysiąca uczniów nowojorskich szkół. Do Stanów Zjedno-

bardzo popularny, ale w ostatnich latach niemal kompletnie zapomniany – morskie, a nawet oceaniczne łapanie okazji.

Podróżowanie z innymi osobami cudzym środkiem transportu bez konieczności płacenia za tę podróż kojarzy się z samochodem. Nie za bardzo również można to nazwać rejssem na gapę, bo takie określenie ma z kolei negatywny wydźwięk. Faktem jest jednak, że dzięki medialnej wrzawie wokół rejsu Greta Thunberg w oszałamiającym tempie powstają nowe i rozrastają się już istniejące społeczności żeglarzy – zarówno amatorów, jak i profesjonalistów – oferujących sobie pomoc przy organizacji rejsu czy wręcz wspólny



transport. Właśnie po to, by na drugi koniec świata nie lecieć i tego świata dalej nie niszczyć.

Co zatem trzeba zrobić, by załapać się na rejs przez Atlantyk, wokół archipelagów Polinezji Francuskiej czy nawet dookoła świata? Wbrew pozorom nie jest to takie trudne i w wielu przypadkach nie trzeba mieć żadnego doświadczenia na otwartym morzu. Wystarczy chęci i biegłość w obsłudze mediów społecznościowych. Na Facebooku bez trudu można znaleźć grupy poświęcone morskemu „autostopowi”. Największa, Sailboat Hitchhikers and Crew Connection (ang. Łączenie Żeglujących Autostopowiczów i Załóg), ma już ponad 22 tys. członków. Kilka lub kilkanaście razy w ciągu dnia pojawiają się tam oferty wspólnej podróży. Najczęściej piszą półprofesjonaliści i amatorzy, którzy deklarują dostępność w określonym miejscu i na określony czas.

Charlotte, 29-letnia Norweżka, z 33-letnim partnerem szukają możliwości pierwszego w ich życiu rejsu na otwartym morzu. W zamian chcą pracować na pokładzie, najchętniej w charakterze kucharzy, dorzucając się też do wydatków i dołożą „coś ekstra” dla bardziej doświadczonych podróżników, którzy zechcą ich nauczyć żeglarskiego abecadła. David, 29-letni Szwajcar, również jeszcze nie pływał po morzach,



rzają jak mantrę – każdy wspomina o zaletach bezemisyjnych podróży, niektórzy bezpośrednio odwołują się do Szwedki jako inspiracji, wzoru do naśladowania. I choć są świadomi, że wybór jachtu w miejsce samolotu zwielokrotni czas, a także koszty ich eskapad, są gotowi ponieść te konsekwencje, byle nie przyspieszać i tak rozpędzonej już katastrofy klimatycznej.

Rebelia przeciw podróżom lotniczym, zdecydowanie najbardziej szkodliwej długodystansowej formie przemieszczania się, manifestuje się jednak nie tylko poprzez morskie łapanie okazji. Zwłaszcza na krótszych, lądowych trasach coraz więcej osób zamienia samolot na pociąg. Do tej pory kolej jako alternatywa była jednak krytykowana za ograniczenia. Pociągami można, owszem, łatwo i wygodnie się przemieszczać, ale przede wszystkim na mniejsze odległości.

podpisał z Siemensem opiewający na 200 mln euro kontrakt na konstrukcję 13 nowych składów sypialnych. Połączą one Wiedeń z Berlinem, Hamburgiem, Zurychem, w przyszłości dojechać mają też do Brukseli i Belgradu. Już wcześniej ÖBB po kilku latach przerwy wznowił m.in. nocne połączenie z Wiednia do Wenecji.

W samym 2019 r. liczba pasażerów nocnych pociągów w Austrii wzrosła o 10% rok do roku. Niektóre trasy, jak ta do Brukseli, odnotowały nawet 20-procentowy wzrost liczby pasażerów. Bum na kolejowe spanie i zwiedzanie nastąpił także w Skandynawii. Jeszcze pięć lat temu szwedzkie koleje rozważały skasowanie połączeń z Göteborga i Sztokholmu na daleką północ – dziś jeździ nimi aż o 43% więcej pasażerów niż w 2014 r. Podobnie wygląda sytuacja w sąsiedniej Norwegii, gdzie krajowy operator od stycznia 2018 r. uruchomił dwa nowe połączenia sypialne. Może zatem będziemy jeszcze w stanie zwiedzać świat, nie niszcząc go przy okazji?

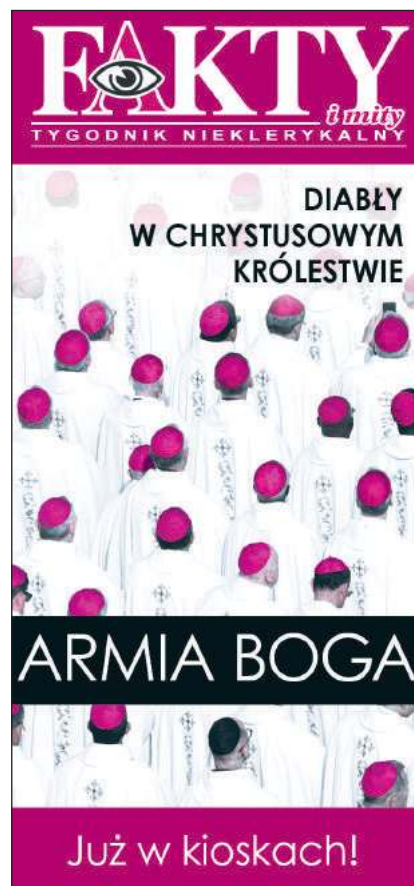
Wielu podróżnych zamienia samoloty na pociągi.

za to marzy mu się zwiedzenie Ameryki Południowej. Podobnie jak Greta Thunberg nie chce na drugi koniec świata lecieć samolotem, żeby nie zwiększać śladu węglowego. Postanowił więc Atlantyk przepłynąć i szuka partnerów w tej przygodzie. Na pokład może wejść, jak sam pisze, w „każdym porcie Hiszpanii i Portugalii”. Caroline z USA i jej chłopak Antoine z Francji chcą popływać po Karaibach, a 34-letnia Hiszpanka Sandra szuka członków załogi swojego jachtu, w tym roku celując w Tahiti. Gary, 54-latek z Los Angeles, chce z kolei wrócić na ocean, po tym jak w 2017 r. jego łódkę zniszczył huragan Irma. Oprócz doświadczenia proponuje jako wkład „własną gitarę i fenomenalny śpiew żony”. Pod zdecydowaną większością postów znaleźć można co najmniej kilka odpowiedzi z ofertami – udziału w rejsie lub nawet krótkiego przeszkolenia żeglarskiego na mniejszej jednostce, jeśli akurat zainteresowani podróżnicy mieszkają blisko siebie.

Grupa istnieje wprawdzie od 2017 r., ale ponad jedna trzecia użytkowników dołączyła do niej po rejsie Gretty Thunberg. Chętni na morską podróż dookoła świata słowa o dbałości o środowisko naturalne powta-

Podróże międzypaństwowe, nawet w dość dobrze skomunikowanej i ujednoliconej pod tym względem Europie, stanowią większy wysiłek – czasowy, finansowy, ale i logistyczny. Wielogodzinne przesiadywanie w przedziale jest niezwykle męczące, a usługi kolejowe w ostatnich dziesięcioleciach przeżywały raczej drastyczną redukcję niż rozkwit. Niedawno jednak, przynajmniej na Starym Kontynencie, pojawiło się światło w kolejowym tunelu.

Remedium na problemy długiej jazdy koleją przez lata stanowiły pociągi nocne, szczególnie te z wagonami sypialnymi. Łatwiej było przejechać z Brukseli do Mediolanu czy z Amsterdamu do Wiednia, wiedząc, że w trakcie podróży będzie można się przespać, zjeść śniadanie, wypić kawę. W tej dekadzie chociażby niemieckie koleje zupełnie zlikwidowały pociągi sypialne (w 2015 r.), włoskie skasowały ikoniczne połączenie nocne między Paryżem i Rzymem, a na naszym podwórku wyeliminowany został skład sypialny ze Szczecina do Zakopanego. Teraz nocne pociągi wracają na europejskie trasy. Absolutnym liderem pod tym względem jest austriacki operator kolejowy ÖBB. Kilka miesięcy temu holding



Wkurzony jak dzięcioł

Bębnienie, które słyszymy w lesie, nie ma nic wspólnego z kuciem dziupli – służy komunikacji i oznaczaniu rewirów

Dzięcioł białogrzbiety z Puszczy Podkarpackiej.

Jacek Karczewski

Domowej roboty dzemy, miód, sery, jogurt, jajecznicę z leśnymi grzybami, małosolne ogórki i pomidory zebrane z ogrodu. Oprócz tego owsianka – bez niej śniadanie w Estonii się nie liczy. My jedliśmy nasze w ogrodzie. Mieliliśmy stąd oko na żurawie, kaczki, sójki, orzechówki, roje ważek i motyli. Otoczone lasami, perliło się estońskie babie lato. Na starej, omszonej śliwie wylądował dzięcioł. Doleciał tutaj swoim charakterystycznym, falistym lotem. Na zmianę machał skrzydłami i wznosił

To... jest... dzięcioł... białogrzbiety! Kiedyś częsty w całej Europie, dzisiaj jeden z najrzadszych.

Wygląda jak prototyp dzięcioła. Pokryty biało-czarnymi wzorami, w czerwonej czapeczce. Ale uważa, tę na głowie mają tylko samce. Stateczne samiczki noszą czarną. Łatwo go pomylić z dzięciołem dużym, od którego zresztą jest większy. W przeciwieństwie do tego najliczniejszego, białogrzbiety to obok trójpalczastego najrzadszy z naszych dzięciołów. W całym kraju mamy jakieś 400-600 par. Wszystko dlatego, że jeszcze bardziej niż kuzyni związany jest z dojrzałymi, wilgotnymi

niż sto młodych. A martwe drzewa są w lesie tak samo potrzebne jak żywe. Taka już ich natura, że często mają w sobie więcej życia po śmierci niż za życia. Im więcej w lesie martwego drewna, tym większa w nim różnorodność gatunków. Nie wierzycie? Przyjdźcie do Estonii. (...)

Jak każdy porządny dzięcioł, białogrzbiety ma kilka oryginalnych, choć typowych dla swojej rodziny rozwiązań anatomicznych. Jego mózg chronią wzmocnione kości czaszki, które amortyzują efekty walenia dziobem w drzewo. Inżynierowie skopiowali ten model, projektując kaski dla rowerzystów. Amortyzację zapewniają też elastyczne, ściągiste połączenie dzioba z czaszką oraz silne mięśnie karku. Oczywiście już sam dziób ma specjalną, odporną na wstrząsy konstrukcję. W zależności od zadania może być młotkiem, klinem, dłutem, lewarkiem, heblem... Albo precyzyjnymi szczypcami. Niektóre dzięcioły uderzają nim 15-20 razy na sekundę. W dziobie, a przede wszystkim w czaszce, ukrywa się długi język. Większe gatunki mogą wysuwać go na odległość 20 cm. To czasami połowa długości ich ciała! Do tego jego końcówka porusza się niezależnie od reszty i jest zaopatrzona w lepkie haczyki. Te w głębokich szczelinach, poza zasięgiem wzroku ich właścicieli, działają jak miniaturowe harpuny. Na czas pracy w drewnie dzięcioły

Dzięcioły wybierają drzewa, które zapewniają im dobrą akustykę i rezonans. Najlepsze są martwe lub półmartwe.

się do góry, po czym przyciskał je do ciała i opadał w dół. W taki energetycznie oszczędny sposób lata większość wróblaków (niektóre aż do Afryki!) oraz kiepscy lotnicy, tacy jak dzięcioły. Może ten tutaj wpadł po ostatnie tego sezonu śliwki? A może zatrzymał się w drodze po żołędzie? Nagle straciłem go z oczu. Niby dzięcioły takie pstre i wyraziste, ale jak tylko przestają się ruszać, to tak jakby rozpuściły się wśród gałęzi i liści. Dam mu kilkanaście sekund. Żaden zdrowy dzięcioł nie wytrzyma dłużej w tej samej pozycji. Jest! Ale zaraz...

lasami, w których dużo jest tzw. martwego drewna. W nim ptaki poszukują różnych owadów i ich tłustych larw. Kornik drukarz? Dlaczego nie! Zwykle wierna sobie para ptaków potrzebuje ok. 100 ha takiego lasu. Dlatego Estończycy mogą pisać w swoich folderach turystycznych, że mają sześć razy więcej dzięciołów białogrzbietych niż Polacy na obszarze prawie siedem razy mniejszym niż Polska! U nas takich lasów ze świecą szukać. (...) Drzewa są jak wino. Im starsze, tym lepsze! Jeden stuletni dąb utrzymuje więcej życia

zastaniają oczy specjalną membraną. Coś jakby ochronne gogle. Mają też szerszą i głębszą niż inne ptaki klatkę piersiową oraz grubszą skórę. To dodatkowe zabezpieczenie przed ostrymi drzazgami i odłamkami drewna, na wypadek gdyby tarcza z bardzo twardych piór okazała się niewystarczająca. Wzmocniona skóra chroni też (a może przede wszystkim) przed ukąszeniami najróżniejszych owadów, na które dzięcioły z taką determinacją polują. W końcu setki tysięcy mrówek gotowych oddać życie za rozkopane mrowisko to nie jest przeciwnik, którego można zignorować. Mocne pióra w ogonie zapewniają ptakom solidne oparcie, gdy te z rozmachem uderzają w drzewo albo nerwowo przesuwają się po nim we wszystkich kierunkach. Tutaj dobrze też sprawdzają się silne palce rozstawione po dwa do przodu i do tyłu (oczywiście nie dotyczy to trójpalczaka). Każdy palec zakończony jest pazurem, który jest jak hak do wspinaczki. Dzięcioł przyczepiony do pnia drzewa może sobie nawet pozwolić na drzemkę w tej pozycji.

Bębnienie, które słyszymy w lesie, nie ma nic wspólnego z kuciem dziupli. Charakterystyczne werble służą komunikacji i oznaczaniu rewirów. Wzmacnianie leśnym echem mogą się nieść na odległość 4 km. Ptasie

ją i osłuchują drzewa. Badają w ten sposób ich kondycję oraz sprawdzają, czy i gdzie ukrywają się żyjące w drewnie owady. Nie bez powodu dawniej ptaki te powszechnie nazywano doktorami. Dzięcioły w ogóle robią dużo hałasu. Poza sekcją perkusyjną oferują różnorodny, choć mało wyrafinowany wokół. Ich głosy są jak one same: zdecydowane, mocne i szybkie. Może z wyjątkiem maleńkiego dzięciołka, który jest wielkości wróbla! Duży za to ciągle

Często opukują i osłuchują drzewa, badając ich kondycję i sprawdzając, gdzie ukrywają się owady.

coś tam popiskuje i trajkocze. Jakby tego było mało, co i rusz eksploduje ostrym i penetrującym „kyk! kyk!”. Najpiękniejszy z naszych dzięciołów, złoto-zielony dzięcioł zielony, regularnie zanosi się głośnym, choć trochę smutnym śmiechem. Być może najbogatszy repertuar ma największy z nich, dzięcioł czarny. Każde z jego zawołań brzmi, jakby pochodziło od kogoś innego. Czasami brzmi jak myszołów lub inny ptak drapieżny. Czasami wibruje jak gliniane gwizdki na wodę. Innym razem odzywa się jak podekscytowana kawka. Gdy się rozpędzi – jak kilka podekscytowanych kawek jednocześnie. To jego

jak to dzieciąt z dudkiem wybrali się kiedyś za morze. Lecieli bardzo długo i znużony dzięcioł zaczął zasypiać. Już prawie wpadł do wody, gdy w ostatniej chwili poderwało go głośnie „du!-du!-du!”. Od tamtej chwili jego czubaty towarzysz nie spuszczał z niego oczu i budził go za każdym razem, gdy dzięcioł niebezpiecznie zbliżał się do morskich fal. W końcu obaj szczęśliwie dolecieli na nowy ląd. W podzięce za uratowanie życia dzięcioł wykuł swojemu

przyjacielowi solidny dom w drzewie. I tak już zostało: dzięcioły robią dziuple, a dudki „dududu”... Być może w tamtą podróż z dudkiem i dzięciołem poleciały też sikorki, kowaliki, muchołówki, pleszki, kopciuszk, szpaki, sowy, a nawet niektóre gołębie i kaczki – wszyscy razem ratowali dzięcioła, bo całe to towarzystwo najchętniej korzysta z jego dziupli. Poza ptakami zajmują je m.in. nietoperze, orzesznice, popielice i wieiórki, a także pszczoły, osy, trzmiele i wiele innych owadów.

Dzięciołowe dziuple mają bardzo szerokie zastosowanie. Służą nowym właścicielom jako spiżarnie, noclegowiska albo tylko dzienne hotele. Cieszą się takim wzięciem, że wielu jest gotowych się o nie bić. Z samym dzięciołem lepiej jednak nie zadzierać. Charakter ma tak samo twardy jak dziób. Dzięcioły mogą ucztować tam, gdzie nikt inny nie sięga, i z nikim nie muszą się dzielić. Oczywiście poza swoimi. Ale zdobywanie jedzenia to ciężka praca, tak samo jak kucie dziupli. Dzięcioły czasu nie mają, włosy na czworo nie dzielą. Co innego drzewo... Inaczej niż wiele innych ptaków, nawet czułości sobie nie okazują. Jeśli już poddają się jakimś emocjom, to zwykle jest to wkurzenie. Wkurzony jak dzięcioł! – mogłyby mawiać zwierzęta w lesie.

Na czas pracy w drewnie dzięcioły zastaniają oczy specjalną membraną. Coś jakby ochronne gogle.

tam-tamy. Używają ich obie płcie, czasami w duetach. A że on i ona grają na różnych konarach i różnych drzewach, efekt bywa bardzo ciekawy. Ptaki zaczynają hałasować już w lutym, bo wtedy nie ma jeszcze liści, które pochłaniają i wygłuszają dźwięki. Dzięcioły wybierają drzewa, które zapewniają im dobrą akustykę i rezonans. Najlepsze są martwe lub półmartwe. Czasami ptaki testują osiedlowe lampy, a nawet rynny i parapety! Sam miałem okazję się o tym przekonać. To był jedyny raz, kiedy życzyłem ptakowi śmierci. Właściwie to życzyłem mu jej kilka razy z rzędu, gdy w maju około godziny piątej nad ranem pewien dzięcioł duży przylatywał do okna mojej sypialni, żeby pobębnić w parapet. Miał szczęście, że w gruncie rzeczy bardzo mnie to śmieszyło. Dzięcioły często opuku-

pieśń godowa. Wreszcie zawodzi przeciągle i melancholijnie... Ostatni ptak, z którym moglibyśmy skojarzyć te nuty, to temperamentny dzięcioł. Doktor Jekyll i pan Hyde? Cały na czarno, w czerwonym berecie i z białym okiem, pod kolor dzioba.

Wykuwanie dziupli to ciężka praca, wymagająca skupienia i precyzji. Zajmuje nawet trzy tygodnie. To zadanie samczyka. Ten każdego roku musi przygotować nowe lokum. Jest przy tym tak zajęty, że nawet na miłość trudno go namówić. Ona woła, zaczepia, dwoi się i troi. W końcu kładzie się gdzieś wysoko na gałęzi, a on tuż obok swoim wielkim dziobem dalej rąbie drzewo! Co jakiś czas najwyżej rzuci okiem w jej stronę, można by przysiąc, że poirytowany. W końcu robi sobie przerwę. Na moment... Legenda mówi,

Fragment książki
Jacka Karczewskiego
Jej wysokość gęś.
Opowieści o ptakach,
Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2019





Zbiory imbiru





Imbir – przyprawa znana już od 3 tys. lat, używana zwłaszcza w kuchni azjatyckiej i meksykańskiej. W Polsce w okresie świątecznym nie można o nim zapomnieć, przygotowując pierniki. Imbir stosowany jest także w celach leczniczych. Działa przeciwbólowo, wzmacnia układ odpornościowy i krążenia, pomaga przy przeziębieniach.

Uprawiany i zbierany jest m.in. w Chinach. Rozwijanie uprawy imbiru pomaga walczyć z biedą należącym do ludu Yao mieszkańcom wioski Caodui w Regionie Autonomicznym Guangxi. Sześć dotkniętych ubóstwem miejscowości z rejonu Pinggui zwiększa w ten sposób swoje dochody.



Bronisław Tumitowicz

Na pytanie, kim chciałby być, gdy dorośnie, nastolatek nie odpowiada natychmiast. Zaczyna się zastanawiać albo ucieka w żart. Powód? Rzadko organizuje się lekcje związane z preorientacją zawodową i młodzi ludzie najczęściej znają tylko specyfikę pracy rodziców, o ile ci nie robią z niej tajemnicy. Czego więc nastolatek oczekuje od życia w przyszłości? Bycia szczęśliwym i zajmowania się ciekawymi rzeczami. Dorośli podpowiadają intratne zawody: lekarz, adwokat, menedżer, informatyk, ale to wymaga dłuższej lub krótszej nauki. Po co, skoro można od razu być np. youtuberem, instagramowym influencerem, standuperem występującym na scenie albo znaną streetwearu? To jest namacalna przepustka do szczęścia.

Będę youtuberem

Dzisiejszy nastolatek jest obeznany z różnymi elektronicznymi gadżetami, z nich czerpie więc wzorce. Często korzysta z platformy YouTube, przegrywa sobie piosenki, ogląda filmy. Nierzadko zazdrości kolegom, że ich filmik miał już setki odsłon, był na tyle sensacyjny, że wszyscy go sobie przesyłali. Orientuje się też, że można na tym zarabiać, ba, utrzymywać się z robienia filmików i umieszczania ich na platformie. Dostępne są przecież programy do montażu, każdy może się nauczyć obróbki nagranych materiałów. I choć nieraz mówi się, że youtuberzy właściwie nic nie robią, niczego sobą nie reprezentują, a zarabiają krocie, w wielu wypadkach jest to opinia niesprawiedliwa. Nie da się jednak ukryć, że stają się coraz bardziej popularni, reklamodawcy zaś nie skąpią im wynagrodzenia za współpracę.

Ile można zarobić na filmikach? Justyna Szymczyk, zajmująca się pisaniami różnych poradników, uchyla rąbka tajemnicy. „Przyjmuje się, że milion odsłon to w przeliczeniu na złotówki ok. 500 zł. Jeden youtuber uzyska jednak ten milion w ciągu tygodnia, inny roku, zarobki więc rozkładają się i czasami mogą wynosić kilka groszy tygodniowo. Oczywiście wszystko zależy od tego, jak wyświetlana jest reklama, ile się zarabia na

Ani strażak, ani policjant, ani lekarz

Marzenia młodego Polaka

YT, zależy od reklam znajdujących się w filmie, czy zostaną one obejrzone w całości, czy będzie wielu subskrybentów itd. (...) Średniej wielkości kanał na YT za kampanię może zarobić nawet 20 tys. zł”. Nikt też nie ukrywa, że liderzy wśród youtuberów porobili wielkie kariery i zdobyli prawdziwy majątek. Często zwraca się uwagę na Krzysztofa Gonciarza, który odniósł ogromny sukces. Dał się poznać na dwóch kanałach YouTube’a: komediowym Zapytaj Beczkę oraz wideoblogu Krzysztof Gonciarz. Z Kasią Mecinski współtworzy kanał TheUwagaPies, występuje również gościnnie na jej kanale Fifty na Pół. Przygodę z siecią zaczynał jeszcze w liceum. Choć studiował kulturoznawstwo, działa w szeroko pojętej reklamie, pisze książki, sporo podróżuje, obecnie mieszka w Japonii.

Zjawisko karier youtuberskich znalazło odbicie w badaniach naukowych. W raporcie „Młodzi 2018” socjolog Maja Brzozowska-Brywczyńska, adiunkt na UAM w Poznaniu, pisze: „Nie jest to (...) sława wynikająca z ciężkiej pracy czy wybitnych osiągnięć naukowych, tylko raczej z obecności w kulturowym obiegu, umożliwianym przez media i technologie kultury popularnej (jak Facebook, YouTube czy Instagram); to sława mierzona zarówno w kategoriach sukcesu finansowego, jak i celebryckiego. Ich sława jest tyleż intensywna, co krótkotrwała i niejednokrotnie ograniczona do specyficznych nisz zainteresowań. We współczesnym gwiazdობie młodziem młodziem czołowe miejsca może zająć zarówno piosenkarz, jak i youtuber porównujący na swoim kanale składki produktów różnych marek w akcie na pół ironicznego buntu konsumpcyjnego”.

Badaczka dodaje, że masowy dostęp do wytwarzania treści

Magdalena Urbaniak jest autorką bloga tractormania.pl.



kulturowych nie wnosi tak naprawdę nic nowego do kultury. To jedynie odtwarzanie, przetwarzanie, remiksowanie starych treści. Efekt takich przedsięwzięć, tylko pozornie twórczych, określa się mianem kultury reakcji, cyfrowego maoizmu.

Prof. Krystyna Szafranec, socjolog z UMK w Toruniu, w innym raporcie stwierdza, że „wyraźnie zauważalne jest »schłodzenie« poziomu aspiracji edukacyjnych. Coraz więcej osób zamierza zakończyć swoją edukację na poziomie zasadniczej szkoły zawodowej bądź średniej o profilu zawodowym. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się technika. Coraz mniej młodzieży planuje studia wyższe. (...) Wzrasta zainteresowanie kształceniem zawodowym, krótszym, niewymagającym zbyt dużych inwestycji. Poziom aspiracji edukacyjnych młodzieży obniżył się we wszystkich typach środowisk, najbardziej jednak wśród dobrze uczącej się młodzieży wiejskiej pochodzącej z rodzin o średnim i wyższym statusie oraz wśród młodzieży wielkomiejskiej z rodzin o niskim statusie. (...) Dominuje przekonanie, że najważniejsze w pracy są odpowiednie dochody – tak sądzi 78% młodych w wieku 18-29 lat”.



Choć dostrzega się zagrożenia w tym ukierunkowaniu ambicji młodzieży, rynek usług oczywiście reaguje na zapotrzebowanie. Na szkoleniu youtuberów można przecież zarabiać. Ten trend wyczuł Almaturo, kiedyś biuro podróży młodzieży akademickiej, dzisiaj największy w kraju organizator obozów młodzieżowych. Obozy dla youtuberów, w których bierze udział młodzież w wieku 12-18 lat, pozwalają nie tylko podejrzeć metody pracy „zawodowców”, ale także nabrać przekonania, że to kusząca perspektywa ciekawej pracy – są pieniądze i dodatkowo, a może przede wszystkim, pojawia się popularność w środowisku, co dla młodych ludzi jest niebagatelną wartością. Wystarczy, że ma się pomysł na filmik i smartfon ze sprawną kamerką.

Zainfluensuję na Instagramie

Influence to stosunkowo nowy termin w naszej blogosferze. Influencerzy umiejętnie budują wokół siebie grupę lojalnych odbiorców, z którymi łączą ich silne relacje i zainteresowania. Dzięki tym cechom coraz szerzej rozpychają się łokciami w świecie reklamy i marketingu. Influencerem jest najczęściej osoba, która ma bloga, vloga, konto na YouTube, Snapchacie

lub innym portalu społecznościowym i może swoją opinią wpłynąć na decyzje lub sądy co najmniej kilkuset osób. Wystarczy powiedzieć początkującym: czy wiesz, że możesz zarabiać na dostatnie życie, robiąc sobie zdjęcia? Nie wierzysz? Zobacz, jak popularny na całym świecie jest Instagram, jak wielu ludzi chce śledzić życie innych,

Liderzy wśród youtuberów porobili wielkie kariery i zdobyli prawdziwy majątek.

a zwłaszcza obserwować, co sobie kupują. Nie musisz pytać, skąd mają pieniądze na te wszystkie gadżety i stroje, na kosmetyki i modne obuwie, ty im tylko zazdrościsz, że to wszystko mają, że sobie kupili. Jednak jeśli się postarasz i zainteresujesz swoimi zakupami wielu innych oglądających Instagram, to i tobie zaczną płacić, dostarczać atrakcyjne towary, abyś się z nimi pokazał. Instagramowiec musi tylko trafić w gust masowego odbiorcy. A skąd się dowiesz, jakie są najnowsze trendy? Obserwuj uważnie Instagram, to się zorientujesz.

Magdalena Urbaniak, autorka bloga Tractormania, napisała poradnik: jak-zostac-influencerem-10-krokov-ktore-pomoga-ci-pozyskac-

internetowa-spoleczosc. Oczywiście zachęca do influensowania i kusi wysokimi zarobkami. „To czas influencerów. Czas ludzi, którzy tworzą, publikują, mają głos i używają go, aby wpłynąć na innych. Dodatkowo często dobrze na tym zarabiają. Chcesz być jednym z nich? Influencer to jedno z najgorętszych słów ostatniego roku w Polsce i ostatnich dwóch lat na świecie. Statystyki pokazują, że w tym roku przeżywa apogeum. W czasach przesytu jednostronną, sztywną komunikacją serwowaną przez tradycyjne media autentyczność »wplywaczy« jest szczególnie doceniana. Osoby, które tworzą treści, budują autorytet i rozgłos, są pożądane. To świetni specjaliści budowania marki własnej”.

W jakich dziedzinach działają influencerzy? Jedną z baz zawiera aż 35 tys. adresów. Dominują influencerzy pracujący dla wielkich korporacji, ale tworzą sieć marketingowców także dla drobnych marek. Główne produkty to te z branży elektronicznej, artykuły spożywcze, kosmetyki, AGD, alkohole. Drugą grupę stanowią współpracownicy domów medialnych. Zadania dla influencerów są zróżnicowane. Jeśli chodzi o rynek produktów, wystarczy, że masz dostęp do tysiąca odbiorców, i już możesz zaczynać współpracę. Oczywiście lepiej mieć w zasięgu 100 tys. osób. Jeśli masz wpływ na drobnych twórców (filmików, wpisów),

realizujesz zadanie, opierając się na grupie kilkunastu, kilkuset lub nawet tysiąca takich autorów.

Gdy twoje możliwości kontaktów są o wiele większe, obejmujesz zasięgiem od 20 tys. do miliona followersów, możliwości wpływania stają się ogromne. Możesz brać udział w niezliczonych kampaniach w stylu „25 lat wspomnień z Grzańcem Galicyjskim” czy „Idealny prezent dla dziecka”. Efekty pracy influencerów są precyzyjnie mierzone, bo od rezultatu zależy jego dochód.

Mój stand-up cię rozbawi

Stand-up – komediowa forma artystyczna w postaci monologu ▶

► przed publicznością. W przeciwieństwie do kabaretu *stand-up* opiera się bardziej na charyzmie wykonawcy i kontakcie z publicznością niż na dopracowaniu każdego elementu przedstawienia i jego wartości artystycznej.

Do kabaretów chodzą dorośli, ale młodzież też lubi się pośmiać. W młodzieżowych klubach coraz więcej jest miejsca dla domorosłych komików, standuperów czy standuperek. W klubach organizuje się często imprezy *open-mic*, na których każdy może

mentuje je, czasem kompletnie odchodząc od tematu. Śmiechu jest co niemiara.

Pokażę ci, jak się ubrać

Moda uliczna, czyli z angielska *streetwear*, to dosyć szeroka dziedzina, bo chodzi tutaj nie o ciuchy, w których wychodzi się z domu, ale o specjalną stylizację, która w danym momencie jest OK. Skąd brać inspiracje? Z imprez, na których bywa

wtajemniczonych. Fakt, że ludzie coraz częściej zakładają kicksy zamiast pantofli, a na piątkową imprezę zamiast przywdziewać garnitur, wkładają bluzę i podarty jeans, świadczy o tym, że czują się na luzie, ale zarazem są trendy. Mniej czy bardziej? To też problem.

By wejść na najwyższy możliwy szczebel *streetwearu*, potrzebujemy pomocy jeszcze jednej grupy społecznej, której zachowania wpływają na cały świat – celebrytów, którzy w dobie social mediów dyktują, co jest trendem, a co nie. *Streetwear* w Polsce to coraz popularniejszy temat. Chodzi o ubrania i obuwie o charakterze ulicznym. Dla wielu młodych jest to prawdziwa pasja, znają na wyrywki modele limitowanych butów, ustawiają się w wielogodzinnych kolejkach, aby zdobyć wymarzony ciuch. Dla zapaleńców to także praca. Można handlować rzadkimi ubraniami i butami, wrzucać swoje „fity” na Instagram albo prowadzić blogi w całości poświęcone *streetwearowi*. Wymienianie marek kolejnych odmian *streetwearu* i sklepów, które oferują taką odzież, nie ma sensu. Zrobi to za nas internet.

Nudno i straszno

Świat social mediów jest dostępny na wyciągnięcie ręki. Używają ich papieże i prezydenci, wpisy na Twitterze czy Facebooku mają ogromne znaczenie, można stracić posadę lub wywołać skandal, wrzucając kilka niewybrednych słów, ale również zasłynąć z niezwyklej odwagi lub poczucia humoru. Można stać się gwiazdą albo postem na Sejm. Ogromna łatwość komunikowania się w sieci daje wielkie szanse budowania osobistej pozycji i wyczuwają to ludzie zajmujący się młodzieżą, choć nie zawsze znajdują klucz do jej zainteresowań. Posłuchanie, o czym rozmawiają nastolatki na letnich obozach czy podczas przerwy w szkole, daje szansę wejścia w ich świat i czasem podjęcia w porę interwencji. Bo w internecie krążą rozmaite wpisy. Są np. praktyczne poradniki, jak dokonać zamachu samobójczego, są oferty ekstremalnych organizacji politycznych, jest też mnóstwo nudnych wpisów za czymś lub przeciwko czemuś. Trzeba trzymać rękę na pulsie.

Bronisław Tumitowicz



Krzysztof Gonciarz z Kasią Mecinską współtworzył kanał TheUwagaPies.

wystąpić i pokazać coś zabawnego. Co pokazać? Spójrz w internet, ile tam jest żartów i zabawnych historii nagrywanych przez amatorów. Sprawdź się, może i ty tak potrafisz.

Wspomniany już wcześniej Krzysztof Gonciarz na blogu Zapytaj Beczkę udowadnia, że w internecie nie ma głupich pytań, są tylko same głupie filmiki. Blog postanowił założyć po przeczytaniu kilku głupich komentarzy pod swoimi filmami. Oprócz głównego prowadzącego w programie występują Gimbus, Krzysztof Kanciarz, Polaczek i Gonchak98.

Influencer to jedno z najgorętszych słów ostatniego roku w Polsce i ostatnich dwóch lat na świecie.

Pierwszy odcinek ukazał się na kanale Wybuchające Beczki w serwisie YouTube. Program, jak piszą dowcipni autorzy, jest kręcony połączeniem odkurzacza, dywanu i ludzkich dusz, itd., itp. Na początku Krzysiu się wita (dawniej okrzykiem Bumcfsz), po czym na ogół mówi, ilu internautów obejrzało poprzedni film, i pokazuje jednogłośnie opinie po ostatnim odcinku. Oczywiście zawsze wszystko jest OK. Następnie przechodzi do programu i pokazuje komentarze spod poprzedniego odcinka. Ko-

kolczyki itd. *Streetwear* staje się coraz poważniejszym zawodnikiem w fashion-grze, a projektanci mody zdali sobie sprawę z tego, że trzeba się z nim liczyć. W efekcie narodziły się zupełnie nowe marki, które dziś proponują konkretne stylizacje, dyktują, z jakich tkanin i w jakich kolorach się szyje, czy nosić skarpetki, czy nie, czy spodnie mają opadać, czy być przykrótkie. Fani konkretnych stylów mają odrębny język, a na określenie czyjegoś wyglądu tworzą liczne skróty, jasne tylko dla

Dyletanci 2019 (i pewnie dalej...)

Historia lubi się powtarzać. W czasach Polski Ludowej MSZ traktowane było jako zasób atrakcyjnych synekur. Na kolejnych zakrętach historii kierowano tam rozmaitych towarzyszy, którzy akurat wypadli na pobocze. Wielkiego szaleństwa w tym nie było, towarzysze zostawali na ogół ambasadorami, tak żeby mogli i cieszyć się prestiżem, i mieć odpowiednią dietę. A żeby placówka nie podupadła, z reguły na stanowisko zastępcy ambasadora kierowano zawodowego dyplomata. No i oczywiście zawodowcy królowali w centrali, do nich należały stanowiska wiceministrów i dyrektorów departamentów. Ewentualne straty nie były zatem wielkie.

PiS zmodyfikowało ten model. Po pierwsze, utrzymało zasadę, że ambasadorem może być nominat polityczny. W ten sposób ambasadorami na ważnych placówkach zostali absolutni amatorzy. A po drugie, przeniosło zasadę łupów do centrali. I oto mamy sytuację, że w kierownictwie ministerstwa, składającym się z ministra, jego zastępców i dyrektora generalnego, na siedem osób tylko dwie wcześniej pracowały w MSZ, były na placówkach i mają jakiekolwiek doświadczenie w dyplomacji.

A w zasadzie jedna – Maciej Lang. Bo dyrektor generalny Andrzej Papierz, były działacz Ligi Republikańskiej i oficer UOP, to bardziej kadrowy niż dyplomata.

A pozostali? Jacek Czaputowicz nigdy nie był na placówce. Szymon Szynkowski vel Sęk, Piotr Wawrzuk, Marcin Przydacz i Paweł Jabłoński w ogóle wcześniej nawet nie wchodzili do MSZ. To skąd tam się wzięli?

Historia Pawła Jabłońskiego, który właśnie został podsekretarzem stanu, wiele wyjaśnia. Ma on 33 lata,

ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, studiował także na Uniwersytecie Pompeu Fabry w Barcelonie. Z zawodu jest adwokatem. Poza tym był doradcą premiera Morawieckiego i zastępcą dyrektora Departamentu Koordynacji Projektów Międzynarodowych KPRM. W ostatnich wyborach kandydował do Sejmu z listy PiS, w okręgu nr 31 (Katowice). Otrzymał 1362 głosy i mandatu posła nie zdobył. Teraz premier rzucił go do MSZ.

Po co? Paweł Jabłoński nie ma kwalifikacji, by kierować choćby fragmentem polskiej dyplomacji. Można w ciemno zakładać, że nawet nie będzie rozumiał, co podlegli mu dyrektorzy departamentów będą do niego mówić. Jego rola w MSZ będzie więc się sprowadzała do czego innego – ma być okiem i uchem Morawieckiego w ministerstwie. Bo swoje oczy i uszy mają tam i prezydent Duda, i minister Kamiński, i Zbigniew Ziobro. Pora zatem na premiera.

Tak oto na naszych oczach następuje upadek polityki zagranicznej, trudno bowiem sądzić, że rozkwitnie coś, czym kierują dyletanci.

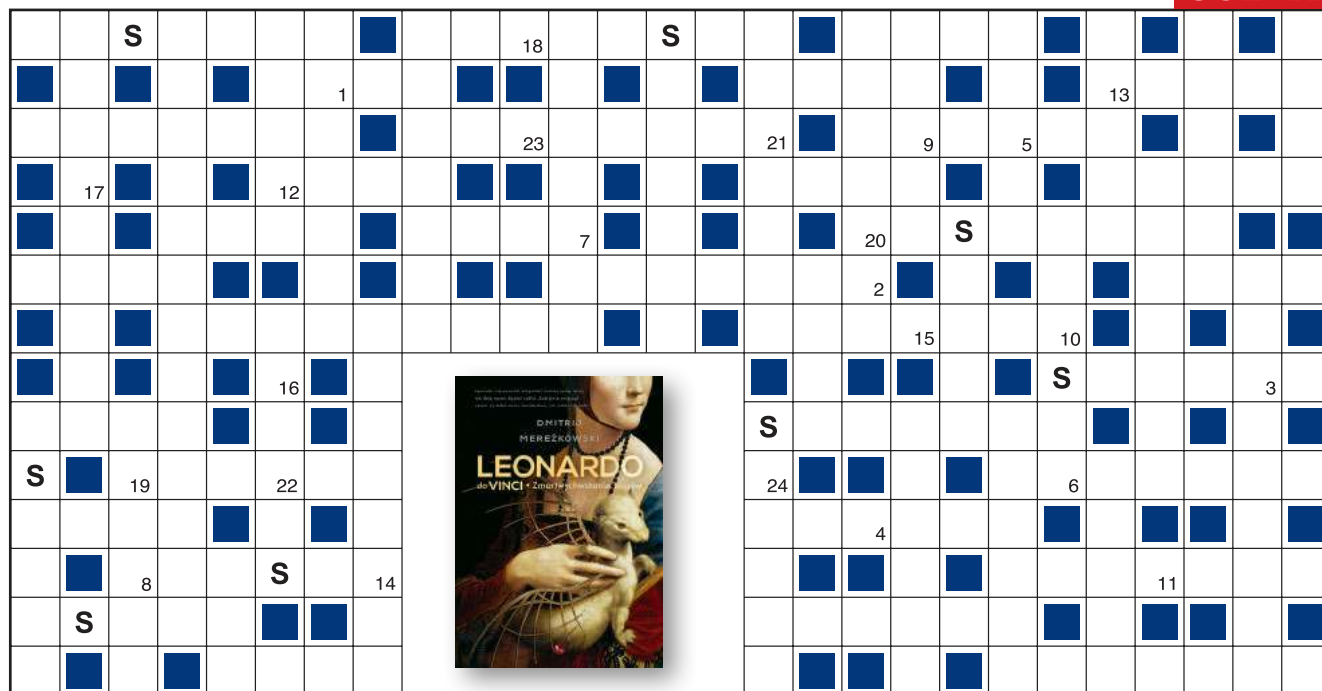
Można też spojrzeć na sprawę z zupełnie innej strony – skoro ekipa PiS nie rozumie polityki zagranicznej i jej *de facto* nie prowadzi, jest zupełnie obojętne, kto kieruje MSZ. Bo i tak jest to instytucja, używając języka prezydenta Macrona, w stanie śmierci mózgowej. Ważne są więc układziki, dostęp do synekur, drobne gesty... A polityka odsuwa się na daleki plan. W takiej biosferze i Jabłoński może być wiceministrem, nic to nie znaczy.

Milej zabawy.

Attaché

Protest przeciw handlowi futrami, zorganizowany w Barcelonie przez organizację AnimaNaturalis w przeddzień otwarcia madryckiego szczytu klimatycznego COP25.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- zebrane w dossier
- powód lub zachęta do czegoś
- po polsku smaczkliwa
- poniżej karku
- była głównym składnikiem lutu
- „...jeden wie, co rzuciło mnie w to uzdrowisko”, śpiewał Młynarski
- Zygmunt z sercem

- dochodzeniowa lub remontowo-budowlana
- walczy jak lew w obrocie drzew
- miejsce inne niż otoczenie, oaza spokoju
- dom zajezdny, karczma
- imię poety Siewierianina
- zwany gazem musztardowym
- i rodzaj nawiasu, i mocowania w skale

- imię filozofa Wittgensteina
- gilgotki
- „Serce to samotny...”
- ślepe do ćwiczeń wojskowych
- jajodajna zielononóżka
- szkolny, alimentacyjny albo podatkowy
- wolna godzina w planie lekcyjnym
- otwierane w mieszkaniu lub w komputerze
- mieć je na kogoś to obserwować
- ryba, którą można stanąć
- można mieć je w kimś
- banderola lub uciskowa
- nakładany na rany
- oddział szpitalny z wyciągami
- Rostockański Narodowy
- filmowa to np. „Czy leci z nami pilot?”

- chwast z rodziny traw wiechlinowatych
- bagażownia lub budynek na płody rolne
- łączy gardło z żołądkiem
- może istnieć między kobietą a mężczyzną
- i szczeniaki, i grzyby niejadalne
- czaple pióro do kapelusza
- w nich faceci w tytule komedii o Robin Hoodzie
- tam meldują się goście hotelowi
- trafia w niego igła gramofonu
- Palikota już nie istnieje
- czepliwe zapięcie
- marszałek... – prowadzi pierwsze posiedzenie Sejmu
- trofeum wojenne Irokeza
- „...z marzeniami” Kinga lub szkolny
- w gardle – nieobca palaczom

- każda z trzech Laszek dla starego Budrysa
- w nim herbata dłużej gorąca
- wyrabianie gobelinów
- damska lub herbaty
- w Układzie Słonecznym jest trzeci pod względem wielkości
- rzepa albo kalarepa
- lata na miotle i rzuca czary
- można ją z kimś zacieśnić
- ...Lipiński lub ...Nazarowa
- parlamentarne albo prezydenckie
- dam lub solenizanta wypijane
- i rzecz zapodżiana, i kłęska
- „...prawdy” Zygmunta Miłoszewskiego
- fenomen i coś zadziwiającego, pięknego
- pora, gdy się ściemnia
- sposób na zgubienie krycia

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-938”. Do rozlosowania książki „Leonardo da Vinci. Zmartwychwstanie bogów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 grudnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-935” z 24 listopada: Jeśli chcesz, to nie musisz. Nagrody otrzymują: Bronisława Balcerek z Cieszyńska, Alina Koziej ze Świdnika, Beata Kubik z Zawiercia.

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

MICHAŁ FISZER,
EKSPERT WOJSKOWY

Samoloty MiG-29 kupiliśmy prosto z fabryki. Dbaliśmy o nie i eksploatowaliśmy zgodnie z wszelkimi wymaganiami. Nie zawodziły nas. Potem odebraliśmy jeszcze dziesięć MiG-29 od Czechów. Czeskie maszyny też były zadbane, ich stan nie budził zastrzeżeń. Te MiG-29 nie zawodziły. Dziesiątkami lat latały i nie spadały. Trzy poważne incydenty wydarzyły się w samolotach, które w 2004 r. otrzymano z Niemiec. Zakupiliśmy je wówczas za symboliczne euro od sztuki i wydawało się, że robimy doskonały interes. Ale te eksniemieckie myśliwce były całkowicie zużyte. Zarznięte na amen. Niektórych w ogóle nie opłacało się remontować, były bowiem w fatalnym stanie. Do służby faktycznie wprowadzono tylko połowę z nich. Potem było już tylko gorzej.

zwierciadło **WERONIKA SZWARC-BRONIKOWSKA,**
WICEPREZESKA AGENCJI
MEDIOWEJ MEDIA PEOPLE

W pewnym momencie mieliśmy poczucie, że na poziomie wartości rozjeżdżamy się z naszym byłym współpracownikiem Robertem Zygierem, mieliśmy inną wizję rozwoju MediaOn. Uznaliśmy więc, że trzeba kupić firmę albo odejść. Nie dogadaliśmy się, a nasz

wspólnik miał 51% udziałów. Założyliśmy więc Media People, nie mając ani jednego klienta. Co więcej, nie wzięliśmy ani jednego pracownika z poprzedniego miejsca pracy, bo to obiecaliśmy byłemu wspólnikowi. Naiwnie to zabrzmiało, ale napętniał nas entuzjazm młodych ludzi, którzy dochodzą do wniosku, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Press **ROBERT WIĘCKIEWICZ,**
AKTOR

Dlaczego tak nie lubi pan wywiadów?

– Bo co to ludzi obchodzi? Moja wypowiedź jest na ekranie. Moim ideałem jest, żeby być tylko tam i nigdzie indziej. Do tego dążę i to się stanie, już się dzieje. Wybieram tylko te wywiady, w których mogę mówić o pracy. Może już dosyć tych moich wynurzeń. Jest taka piękna anegdota o Konwiczu. Jako zapalony kibic zapytany, czy ogląda polską piłkę nożną, odpowiedział: „Tak, ale gardzę sobą”. Też mam teraz takie poczucie. Skłaniam się ku ascezie. Wszystkiego jest dla mnie za dużo. Zawsze dużo myślałem o starości. Starość ma tę przewagę nad młodością, że widzi swoją młodość, a młodość nie widzi swojej starości. Próbuje więc destylować, odparowywać, szukać esencji, ekstraktów. Nie jest źle.

Aby język giętki...

DANIEL PASSENT
O MARIUSZU KAMIŃSKIM

Czy wszystkie siły służb zaangażowane są w śledzenie opozycji, a nikt nie pilnuje własnego podwórka?

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO
O MENTALNOŚCI POLAKÓW

W Polsce dominuje mentalność drobnomieszczańska w różnych wcieleniach.

RAFAŁ TRZASKOWSKI
O MEDIACH RZĄDOWYCH

Przez rok urzędowania miałem bodajże 10 dni, kiedy nie byłem atakowany.

ANDRZEJ SKWORZ O „PRESS”

Opisujemy rynek, ale nie ekspozujemy siebie. Szacunek w naszej branży waży.

MARIUSZ JANICKI O ANDRZEJU DUDZIE

Dostał zadanie zwodzenia, uwodzenia, przymilania się. Ma być znowu swojakim, „idealnym zięciem”, który spodoba się także wyborcom opozycji.

JERZY URBAN DO ŁUKASZA WARZECZY

My, mężczyźni, nie powinniśmy kobietom szczędzić końcówek.

JAŚ KAPELA O EDUKACJI

PIS nie jest zwolennikiem edukacji, bo z wykształciuchami i edukatorami są same problemy.

MARIA PESZEK
O BEZWSTYDNYM SZCZĘŚCIU

Śmiejmy się, krzyczymy głośno, uprawiajmy dużo seksu, biegajmy na golasa.

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ
O SEKSIE

Co czwarta Polka mogłaby żyć bez seksu, mimo że tkwi w niej potencjał erotyczny.

ALLAN STARSKI
O KŁÓTNIACH Z POLAŃSKIM

Roman na wszystkim zna się najlepiej. Zawsze chce więcej. To jego znak firmowy.

WERONIKA ROSATI O ALIMENTACH

Stać mnie na markowe torebki, co nie znaczy, że moja córka nie ma dostawać pieniędzy od swojego ojca.



Według danych World Wildlife Fund w Morzu Śródziemnym gromadzi się rocznie 570 tys. ton plastiku z okolicznych krajów – plus inne śmieci.

FOT. AFP/EAST NEWS

Tata bibliofil = córka koszykarka?

Wzrost dziecka w dorosłym życiu zależy m.in. od umiejętności rozumienia przez jego rodziców czytanych tekstów, czego dobrym wskaźnikiem jest liczba książek znajdujących się w domu – ogłosili badacze, którzy przyrzekli się danym pochodzącym od prawie 40 tys. osób z 34 krajów Europy i Azji. Jak tłumaczy współautorka analizy, dr Ewa Jarosz z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, osoby czytające ze zrozumieniem potrafią lepiej zadbać o zdrowie i dobrostan potomków, co przekłada się na lepszy stan ich zdrowia i wyższy wzrost.

Co za dużo, to niezdrowo (dla jego ego)

Z kolei trwające 15 lat badania na ponad 6 tys. amerykańskich małżeństw wykazały, że mężczyźni są najbardziej zestresowani, gdy są jedynymi żywicielami rodziny. Ich poziom stresu spada wraz ze wzrostem zarobków żony, ale... jedynie do momentu, gdy osiągną one 40% udziału w dochodach gospodarstwa domowego – potem zaczyna rosnąć. Kiedy zatem panie zaczną wreszcie zarabiać tyle samo, ile panowie, musimy się liczyć z masowym tysieniem i epidemią zawałów.

Monopol na miłość

31-letni Aaron Smith, bezskutecznie poszukujący miłości życia, postanowił zwiększyć swoje szanse i przy pomocy przyjaciela stworzył własną aplikację randkową. Działa ona podobnie jak popularny Tinder: przeglądamy zdjęcia i opisy innych osób, a następnie przesuwamy palcem po ekranie w prawo (wstępne zainteresowanie) lub w lewo (brak zainteresowania). Singularity wyróżnia się jednak

tym, że jedynym mężczyzną, którego profil wyświetla się korzystającym z niej kobietom, jest jej twórca. Tym razem musi się udać!

Bo ginąca przyroda nie za(s)czeka

Zoo w Fort Worth w Teksasie sztucznie rozmnaża zagrożone wyginięciem portorykańskie ropuchy. Pozyskiwanie spermy od dojrzałych samców przeważnie jest łatwe, ponieważ wypuszczają ją razem z moczem, a ten oddają, gdy tylko zostaną przez kogoś podniesione. Niestety, niektóre osobniki okazały się oporne, co zmusiło naukowców do opracowania innej taktyki. Okazało się, że dobre efekty przynosi wzięcie pana ropucha w dłoń, spojrzenie na niego i naśladowanie odgłosów wydawanych przez psa. Czego się nie robi dla Matki Ziemi!



Azbest? Dawno temu i nieprawda!

Kanadyjskie miasteczko Asbestos, w którym do 2012 r. funkcjonowała kopalnia sławetnego surowca, zmieniła nazwę, gdyż zdaniem jego samorządu obecna „nie budzi pozytywnych skojarzeń” i „utrudnia nawiązywanie współpracy gospodarczej”. Jak poinformował burmistrz, nazwa odstraszyła od inwestowania co najmniej kilku przedsiębiorców, a paru innych odmówiło nawet przyjęcia wizytówki. Ciekawe, czy inne miasta i państwa również skorzystają z takiego rebrandingu.

Wyjątkowo czarny piątek

Globalny dzień przedświątecznych wyprzedaży, obchodzony w tym roku 29 listopada, okazał się wyjątkowo pechowy dla szwedzkiej marki Foreo. W wyniku błędu osoby obsługujące stronę internetową 38 tys. klientów, w tym jedna czwarta z Polski, kupiło urządzenie do pielęgnacji skóry przecenione aż o 96%, z 1199 zł do 43 zł.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Konkurs Szopek Krakowskich na Rynku Głównym co roku przyciąga turystów. Artysci prześcigają się w pomysłach. Są szopki w obwarzanku albo w kieliszku.

– Straciliśmy ponad 10 mln dol. przychodu, ale zyskaliśmy prawie 40 tys. nowych klientów z całego świata – filozoficznie stwierdził twórca i prezes Foreo, Filip Sedic.

Kradzież, że płakać się chce

Gigantyczne powodzie doprowadziły w Indiach do rekordowego, nierzadko pięciokrotnego wzrostu cen cebuli, będącej na subkontynencie jednym z najważniejszych produktów żywnościowych. Jak to bywa z kryzysami, także ten postanowili wykorzystać przestępcy. Przykładem może być jedno z weekendowych włamań w Suthacie w Bengalu Zachodnim. Złodzieje nawet nie tknęli sklepowej kasy – ich łupem padły worki wypełnione drogocennym warzywem, a ponadto trochę czosnku i imbiru. Szanse na wytropienie gangu są niewielkie. No, chyba że po zapachu...

Stop przejażdżkom na słoniu

Od początku przyszłego roku w kompleksie świątynnym Angkor w Kambodży, odwiedzanym przez kilka milionów turystów rocznie, zakazana będzie jazda na słońiach. Do tej pory wielu turystów przemierzających się między świątyniami korzystało z usług 14 słoń. Zwyciężyli przeciwnicy tej tradycji, uważający tę praktykę za naganną. Już pięć zwierząt zostało przeniesionych do odległego o 40 km lasu, by mogły tam żyć w naturze. Decyzja władz kambodżańskich nie zamyka jednak problemu, ponieważ słońie jako egzotyczne taksówki dla turystów wykorzystywane są także w Wietnamie, Laosie i Tajlandii.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepanińska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Zamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkała,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



JAK OSWOIĆ PARAGRAFY?

TYGODNIK

ANGORA

CO TYDZIEŃ „PRAWNIK RADZI”

ZMYŚLOWA
ROZKOSZ
CZYTANIA

COMING OUT

2019.

Podczas Coming Outu 2019 swoje prace dyplomowe zaprezentują utalentowani absolwenci wydziałów: malarstwa, rzeźby, grafiki, architektury wnętrz, wzornictwa, konserwacji i restauracji dzieł sztuki, zarządzania kulturą wizualną, sztuki mediów oraz scenografii z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Młodzi artyści stawiają pytania o istotę postrzegania świata, interpretują wydarzenia w swoim otoczeniu i życiu, pokazują przenikanie się wielu dziedzin sztuki, budzą emocje. Dzięki Coming Outowi mają niepowtarzalną okazję zaprezentować się szerokiej publiczności.

Biurowiec Wola Retro
Warszawa, ul. Skierniewicka 16/20
do 15 grudnia

1.
SZAWEL PŁÓCIENNIK
Feta, Fatum, Nosferatu
2.
BOGNA STEFAŃSKA
Autoportrety kobiet XXI wieku.
Sztuka, tradycja, Internet
3.
AGATA SŁOWAK
Jestem piękna,
jestem wielką artystką!



1.



2.



3.

eprasa.pl feb774696c

• TEATR CAPITOL •

Wystrzałowy

Sylwester

Przywitaj Nowy Rok w capitalnym stylu!



PREMIERA
WRZESIEŃ 2019

WYKRYWACZ
KŁAMSTW

• TEATR CAPITOL • Duża Scena

START 17:00

W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 160 zł

• TEATR CAPITOL • Scena Mniejsza

START 18:00

W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 130 zł

Akt
równoległy

PREMIERA
LISTOPAD 2019

SKOK
W BOK

Multikino®

Multikino Ursynów ALKomisji Edukacji Narodowej 60

START 20:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

Multikino®

Multikino Ursynów ALKomisji Edukacji Narodowej 60

START 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

• KUP



• Bilety już od 130 zł! • www.teatrcapitol.pl •

ŁUKASZ **WABNIC**
MARCIN **ZARZECZNY**
MAREK **SIUDYM**
EWA **KASPRZYK**
GRZEGORZ **KOWALCZYK**
ŁUKASZ **NOWICKI**
JERZY „**JURAS**” **WROŃSKI**

NIE MA RZECZY
NIEMOŻLIWYCH

SERCE DO WALKI

REŻYSERIA
KACPER ANUSZEWSKI

WYKONAWCY: ŁUKASZ WABNIC, MARCIN ZARZECZNY, MAREK SIUDYM, EWA KASPRZYK, GRZEGORZ KOWALCZYK, ŁUKASZ NOWICKI, MONIKA DRYL, JERZY „JURAS” WROŃSKI, MIECZYSLAW HRYNIEWICZ, PATRYCJA POTYRALSKA, DARIUSZ JAKUBOWSKI,
MICHAŁ MIŁOWICZ, MICHAŁ MICHALAK, ANTONI ZAKOWICZ
WYKONAWCA GŁÓWNA: KACPER ANUSZEWSKI
WYKONAWCA GŁÓWNY: MAJA PASZKOWSKA
WYKONAWCA GŁÓWNY: MARTYNA STEJSKAŁ
WYKONAWCA GŁÓWNY: WOJCIECH ANDRZEJUK
WYKONAWCA GŁÓWNY: Studio PRL
WYKONAWCA GŁÓWNY: TOMASZ WOLSZCZAK
WYKONAWCA GŁÓWNY: FILIP WALCERZ
WYKONAWCA GŁÓWNY: MAGDA PAROL
WYKONAWCA GŁÓWNY: TOMASZ WALASEK
WYKONAWCA GŁÓWNY: KACPER ANUSZEWSKI
WYKONAWCA GŁÓWNY: ANNA SIERGIEJ, CEZARY TORMANOWSKI
WYKONAWCA GŁÓWNY: KACPER ANUSZEWSKI

W KINACH OD **13 GRUDNIA**

